

Do II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 167.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1882.

SERYA V.

Lipiec.

TOM III. — ZESZYT VII.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

— 227 —

Ukończono druk dnia 5 lipca 1882 r.

T R E Ś Ć

stron.

I. O pojęciach pedagogicznych Karola Dickensa. Przez d-ra Władysława Seredyńskiego.	1
II. Dramat niemiecki XIX-go wieku. (Studyum literackie). Przez Teodora Jeske-Choińskiego. (Ciąg dalszy).	23
III. U stóp Pienin. Przez autora „Wycieczki w Czorsztynskie.” Wspomnienia z podróży odbytej w r. 1880. (Dokończenie).	51
IV. Pod wyrokiem. Opowiadanie z lat 1706—1713. Przez Kajetana Kraszewskiego. (Ciąg dalszy).	70
V. Pogląd na prace naszych rzeźbiarzy. Studyum krytyczne. Przez Karola Matuszewskiego. (Dokończenie).	85
VI. Drugi zjazd lekarzy i przyrodników czeskich w Pradze. Przez B. P.	104
VII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa obrazów i rzeźb na Polach Elizejskich.—Puis de Chavannes: „Lulus pro Patria.“—Beaudoin: „Historya Zboża.—Obrazy religijne: „Fra Angelico“ p. Maignon. — Obrazy historyczne: „Cesarz Rudolf u alchemisty;“ „Trubadur“ p. Brozika.—„S-ty Jan Chryzostom“ i „Cesarzowa Eudoksyja“ p. Wenkera.—„Vauban“ p. Tonę Robert Fleury.—„Ostatnie chwile cesarza Meksyku Maksymiliana“, przez J. P. Laurent.—„Śmierć zakładników,“ p. Motte.—Obrazy mitologiczne: „Homer,“ p. Lecomte de Nony.—Portrety, krajobrazy.—Sceny rodzajowe: „Wieczór letni na wsi w okolicach Finistera,“ J. Bretona. „Bezrobocie kowali,“ p. Soyer.—Rzeźby: „Obrona Belfortu,“ p. Mercie—Malarze polscy: p. Józef Brandt (Jarmark w Bałcie). PP.: Chelmoński, Piotrowski, Merwart, Szyndler, Zier, Loewy, Przepiórski, Bakałowicz, Gąsowski, Kraczkowski, Ciesielski, Karbowski, Krabański, Roszczewski.—Rzeźbiarze polscy: pp. Cypryan Godebski, Kossowski.—Akwarele: pani Konstancya Boulard i panna Helena Duchńska.—„Emalia:” panna Stryjeńska.—Pięćdziesięcioletnia rocznica założenia Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu.	119
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„Posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w roku 1136.” „Codex diplomaticus Majoris Poloniae,“ documenta et jam typis expressa et adhuc inedita complectens Annum 1400 attingentia. Editus cura Soc. litter. poznaniensis. (Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski, obejmujący dokumenta tak już drukowane, jak dotąd nie ogłoszone, sięgające do r. 1400. Wydany staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego. Poznań, 1877—1881, t. I—IV. Tom IV z mapą Wielkopolski epoki Piastowskiej. Przez E. Calliera.	130
James John Stuart Mill, biography a criticism, with personal Recollections. Przez Baina. Przez A. N.	143

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 167.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1882.

— 00 —

Tom trzeci.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera,
ulica Elekoralna, Nr. 14.

—
1882.



De. II. A.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Июня 1882 года.

O POJĘCIACH PEDAGOGICZNYCH KAROLA DICKENSA ¹⁾.

PRZEZ

D-ra Władysława Seredyńskiego,

DYREKTORA C. K. SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIEGO ŻEŃSKIEGO W KRAKOWIE.

Nowella i romans, najpopularniejsze obecnie rodzaje poetycznych utworów, zawdzięczają swe powodzenie przedewszystkiém téj okoliczności, że się szczególnie nadają do wyrażenia tych uczuć, zapatrywań i pojęć, które są właśnie tętmem obecnej chwili. Trudno zaprzeczyć wpływowi, jaki wywiera dramat lub komedia na społeczeństwo, nikt nawet nie wątpi, że teatr to w swoim rodzaju świątynia i szkoła w swoim rodzaju; lecz kiedy wpływ tych form estetycznych jest różnemi względami wielce ograniczony, to romans i nowella wciska się wszędzie i zarówno w salonach pałacu jak i w przedmiejskich izdebkach, ponętą formą opowiadania, charakterystyczném obrazowaniem sytuacji, przeplatanych żywym dyalogiem zestawionych postaci, przywodzą gromadnie całą masę społeczną do jaśniejszego poczucia szlachetniejszych pojęć, zapatrywań, pragnień i dążeń.

Edukacyjny ten wynik literatury, nie zawsze i nie przez wszystkich pisarzy sumiennie brany w rachunek, w chwili artystycznej kreacji, zaprzeczyć się przecież nie da, i jeśli prawdą komunał, że literatura jest najdoskonalszym bo najzupełniejszym wyrazem społeczeństwa, to o wiele prawdziwsza, że społeczeństwo jest rezultatem tych kierunków, idei i dążeń, które mu siłą uroku artystycznego, form poetycznych, tragicznego lub satyrycznego humoru nadało piśmiennictwo. Zapewne, że odkrycia tajemnic przyrody choćby w dziedzinie mikroskopowej dokonywane szanowną pracą uczonych badaczy, wyśledzenie nowych praw fizycznego działania lub chemicznego procesu, nawet od-

¹⁾ Rzecz, którą podajemy czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej,” wykładał d-r Seredyński w r. b. w dwóch prelekcjach, w sali ratuszowej na dochód Osad rolnych, w obec bardzo licznie zgromadzonej publiczności.

tworzenie ze zbutwiałych pomników przeszłości prawdziwie rumianego życia, pełnego ruchu i prawdy, jakimi tryskało rzeczywiście przed lat tysiącem, wszystko to nie jest bez utylitarnego lub moralno-praktycznego wpływu na społeczeństwo a nawet na codzienne życiowe stosunki; zdobycze te jednak uczonego geniuszu ludzkości dopiero wtedy potężnym cieszą się skutkiem i osiągają wpływ zwany postępem, kiedy je rzesza powołanych ku temu pracowników w przystępne, więc zrozumiałe dla ogółu a przedewszystkiem w ponętne ustroi formy. Zwłaszcza wyniki badań filozoficznych, prawdy dobyte z rozpierzchnionych doświadczeń wieków, prawa wynikające ze stosunków życia tak indywidualnego, jak z życia narodów i społeczeństw, wszystkie w ogóle rezultaty dumań psychologicznej i etycznej natury tylko w obrazowaniu stosunków życia, w rzeźbie charakterów, w ścieraniu się i kolizyjach mniemań, a więc w nowelli i romansie znajdują swój wyraz najzrozumialszy przez ogół i przyswajany na własność najłatwiej.

Et hic sunt dii! I tu są bogowie! Zchodzą oni ze szczytu naukowego Olimpu w postaci ludzi zwyczajnych, odzianych tylko w świąteczne szaty sztuki, i niosą życiem umęczonemu społeczeństwu ambrozyę myśli i serdeczny nektar, któremi krzepią strudzone pracownicy darząc je siłą wytrwania, otuchą i wiarą w lepszą przyszłość, i przekonaniem o moralnym porządku świata, wychodzącym zawsze ostatecznie z tryumfem. Więc też pisarze tej kategorii zawsze z dwu punktów widzenia roztrząsani i oceniani być winni. Wzgląd artystyczny, jako wzgląd formalny zwraca przedewszystkiem uwagę: on to właśnie ujmuje i chwytą za serce czytelnika oryginalnością obrazowania, szczególnie zestawieniem sytuacji, prawdą i konsekwencją charakterów, tajemniczą kunsztowną architekturą, żywością i barwnym układem opowiadania. Byłoby jednak niemałym błędem krytyki, gdyby wzgląd drugi, a mianowicie duch i idee, zamiary i cele wyższe, którym służyć utwory beletrystyczne powinny, nie były brane pod ścisły obrachunek. Owszem, wartość tego rodzaju kreacji, wzmaga się nie względem formalnym, artystycznym tylko; ale przeważnie rośnie w miarę wartości tych idei, które ze sobą wnoszą zręczność i siłę, udatność i moc przekonywania; a kiedy w dramacie i powieści poetycznej może być mowa wyłącznie o zasadniczej idei, to po nowelli i romansie spodziewać się możemy nawet tendencji, nie tylko bez ujmy dla sztuki, ale z korzyścią zarówno na rzecz formy jak na rzecz znaczenia i skutku w społeczeństwie, o jaki się starać powinny. Każdy romans, mówi p. Brunetiere, jeden ze znakomitszych dziś krytyków francuzkich, jestto studjum wewnętrznej pracy szlachetnej nad sobą duszy, aby przywieść do zgody swe szczęście z złożonym w sercu człowiekiem poczuciem obowiązku, a gdy ta równowaga psychiczna przyszła do skutku, romans się kończy.

Jeżeli gdzie o rozkwicie romansu obyczajowego może być mowa, to w Anglii; od „Robinsona Kruzoa” począwszy a od „Pameli” szczególnie, a to z wielu powodów: po pierwsze, bo Anglia to kraj jego rodziny, a każda roślina rozwija się najlepiej w swoim klimacie. Po-

wtóre, on jest wynagrodzeniem za braki, że powiem drogą umysłowego odpływu. Braknie tam muzyki, którą tak żywo interesują się ludy niemieckie, braknie salonów Francyi i konwersacyi towarzyskiej a ludzie zawsze mają potrzebą myśleć i czuć, w nim téż znajdują wspólny środek wymiany na „przedzę swych myśli i swych uczuć kwiaty.” Kobieta szczególnie się nim zajmuje, więc w obec braku towarzyskiego pożycia i ciepła obrzędów religijnych, otwiera on szerokie pole dla imaginacyi i trafia w serdeczną potrzebę marzeń i snów. Wreszcie przez swe obrazowe szczegóły schodzące aż do codziennych drobiazgów i przez swe wskazówki i rady praktyczne wnosi on cały skarb treści przed umysł tego narodu z natury poważny i ścisły, surowo moralny i praktyczny. Śmiało powiedzieć można, że we Francyi romans jest wyrazem chwili ustawicznie falującego poziomu społeczeństwa, w Anglii społeczeństwo jest ze wszystkimi instytucjami swojemi rezultatem statecznie coraz wyżej dźwigającego się poziomu, a to w skutek całego mnóstwa zdolnych pisarzy tego wpływowego kierunku. Dwu z nich na szczególniejszą zasługują uwagę; obadwaj utalentowani i oryginalni, obadwaj są szermierzami tych samych zasad i idei, a przecież od siebie różni, nawet sobie przeciwni. Obaj moralisci nawskroś, obrońcy uczuć naturalnych i praw a prawd serdecznych w obec konwencyonalnego formalizmu skostniałych instytucyi towarzyskich. Obadwaj zbrojni precyzją obrazowania, trafnością obserwacyi, przenikliwością psychiczną, wytrwale i ciągle wstrząsają umysł społeczny cierpką, aczkolwiek artystyczną napaścią i cucą z innym wprawdzie zamiarem i innym stylem stare walczące duchy Sifta i Fieldinga.

Dickens i Thakerey oto ci dwaj szermierze, których portrety literackie przedstawił nam Taine w swój literaturze angielskiej.

Thakerey może jest uczeńszy, bogatszy w treść i zasoby gruntownej nauki a więc silniejszy, lubownik to rozpraw filozoficzno-moralnych, istny doradca publiczny, nierzadko rodzaj kaznodziei. Mniej broni on biedne i uciśnione; ale zajęty cały surowym sądem człowieka i społeczeństwa, po których dużo wymaga! Delikatnej satyrze swojej niesie on w usługi, gruntowną znajomość serca ludzkiego, zdolność geniuszu i zręczność artysty wypróbowaną, a nadto rozumowanie przekonujące i cały zasób głęboko przemyślanej nienawiści głupstwa i moralnej nędzy, które téż zwalczał i prześladował z całą ich parentellą wszystką bronią głębokiego rozmysłu.

Dickens może nie tyle uczony, ale gorętszy i całym wylany sercem; oddany swemu natchnieniu maluje obrazy przykre, nierzadko nawet rażące, lecz zawsze na tle niebiańskiego błękitu. Niby prozaik, a przecież pełny elegicznego liryzmu, ztąd panem jest łez i śmiechu, ztąd śmiejem się za jego wpływem pełni rzewności, a boleść, którą nam sprawia nieprzygnębienia naszego umysłu; ztąd satyra jego surowa tchnie wyrozumieniem i żalem, które nie przekonywają wprawdzie rozumów, ale pokonywają stanowczo serca. Jego oryginalna pomysłowość i twórczość fantazyjna, niezmiernie wrażliwa czułość na wszystko, co upokorzone i cierpiące, jego żarty i błazeństwa nawet bolesne, zuchwały styl

i wybryki wzruszeń dają nam widok wszystkich sił i słabości jego jako artysty; ale zarazem obraz tak czystej i szlachetnej duszy człowieka, że jój wiele dziwactw przebaczyć musimy.

Jakkolwiek obie te postaci kontrastem uzupełniają się wzajemnie i o umysłowości angielskiej dają wybitne wyobrażenie, to przecież zajmiemy się tutaj tylko ostatnim, i to ze strony arcyszczególniej, którą odznacza się i wyróżnia pośród wszystkich pisarzy swojego kraju, a nawet całego kontynentu.

Według sposobu artystycznego przedstawienia rzeczy, uznano Dickensa powszechnie za realistę, a nawet przeciwstawiają go wszystkim romansopisarzom idealnego kierunku; lecz kiedy w jego humorze, często bardzo zewnątrznie pojmovanym, tkwi głęboka powaga, surowy pogląd na świat, nierzadko przeciągła boleść, to owe realistyczne szczegóły tchną duchem treści najidealniejszej, duchem pragnień najszlachetniejszej natury, bez którego nie miałyby one ani téj mocy czarującej, ani poetycznej barwy i życia, które nas zdumiewają i rozbijają stanowczo. Nie przeczę, że wiele charakterów przedstawia przesadnie, wiele scen może za drastycznie, nawet grymaśnie; ale zasady i ideje, którym hołduje, ale zamiary i cele, za którymi goni, są na wskroś zdrowe i znoszą się z upragnioną w ideale rzeczywistością. Usunmy téż tylko dziwaczne jego postaci użyte z potrzeby akcji w fabuli, lub wzięte dla śmiechu nie bez celu do różnej satyrycznej nauki, a znajdziemy, że wszystkie wybitne jego charaktery dzielą się: na ludzi tkliwych, i ludzi bez serca. Wszystkie jego powieści stanowczo dążą ku temu, aby przeciwstawić dusze, które wydała natura w swojej prostocie, umysłom, które się wypaczyły i rozwinęły przewrotnie wśród stosunków życia towarzyskiego. Jakto? miałyby Dickens cofnąć się o sto lat wstecz i walczyć za idee niepraktyczne i skrajne J. J. Roussa, lub być jednym z apostołów nowych teorii społecznych, które pod każdym względem zasługują na pogardę uczciwego rozumu ¹⁾? Broń Boże! ani z Roussem, ani z teoryami nurtującymi porządek społeczny, nie ma on nic wspólnego mimo téj zasadniczej idei, dającej się wycisnąć ze wszystkich jego romansów. Dickens nie dopatruje się w naturze ideału ostatecznej mądrości i cnoty, i nie potępia cywilizacji, jako źródła zepsucia i przewrotności; on nie jest wrogiem instytucji społecznych i towarzyskich jak Rousseau, owszem, walczy o nie całym swoim zapalem, właśnie szermierząc zręcznie przeciw ludziom, którzy je poniewierają lub znieważają brakiem ludzkości, wyparciem się odwiecznego zakonu natury. W walce téj przedkłada on instynkt ponad rozumowanie, natchnienie szczerego serca, spekulacji i wyrachowaniom pozytywnym: rachuje więc skrupulatnie nędze i śmieszności charakterów i umysłów rachujących wyłącznie i wyrachowanych, wyszydza niemilościwie zazdrość, nieużycie i egoizm zasklepiony tak przemysłowców, jak szlachty, złorzeczy miastom fabrycznym, które więżą tysiące w at-

¹⁾ Despine, „Psychologie naturelle:” „l'homme ne pens, que comme il sent!”

mosferze sztucznej wśród dymu i kałuży, a umysły ich spychają w bagno codzienności bez promyka pociechy. Wyszukuje więc biednych wyrobników, kuglarzy i podrzutków, a przedstawiając ich dobry zmysł dany z natury, szlachetność, w swoim choćby rubasznym rodzaju, niezrządkiem jednak ich delikatność, głęboki instynkt i gotowość do ofiar, łączy bez miłosierdzia fałszywy rozum, fałszywą wiedzę, fałszywe szczęście i fałszywą cnotę tych możnych i bogatych, którzy dla nieszczęśliwych z losu, niosą w dodatku niewyrozumiałość i wzgardę. Punktem wyjścia etyki społecznej Dickensa, jest czysty humanizm chrześcijański nie mający nic wspólnego ani z filozoficznym kaprysem Rousseau, ani z teoryjami przewrotu, humanizm płodny w postęp, płodny w naprawę paczących się stosunków, a wszystko w celach równowagi umysłów i serc i w ogóle właściwszego układu stosunków między ludźmi, i wzajemnie warunkującego się prawdziwego szczęścia.

Zająwszy tak szczerze, a czysto humanitarne stanowisko poglądu na świat i takim ideom poświęciwszy swój geniusz pisarski, cóż dziwnego, że na pierwszym miejscu w walce o wszystko co słabsze i nieporadne, najwyższą miłością ogarnął świat dziecięcy, i nim się z całym upodobaniem zajmuje. Nie ma prawie ani jednej powieści, w którejby nie było szkoły lub pensjonatu, nauczyciela lub guwernantki, pedagogów i wychowawców najrozmaitszej metody. Co więcej, dziatwa w ogóle stanowi nawet głównych bohaterów jego romansów, a ta okoliczność wyróżnia go charakterystycznie od wszystkich pisarzy jego ojczyzny a nawet kontynentu. Wszystkie jego powieści mają na sobie to pedagogiczne piętno, i dowodzą nam głębokiej myśli autora, dążącego zasadniczo z wyraźnym planem do celu reformy stosunków w kraju, którą od wychowania pokoleń poczynąć, i systematycznie rozwijać należy, jeżeli grunt stały na przyszłość ma jej być zapewniony.

A jakież śliczne te jego dzieciaki! wyprowadzając je na scenę, zdaje się nie mieć zamiaru pouczać, a wszystkich niemi zachwyca. Wszystkie niezmiernie delikatne i czułe, kochają wszystko całą serca prostotą i chcą, by je również kochano; wszystkie wonieją świeżością i zdrowiem, o młeczno rumianej cerze, tak perłowo czystej, jak przezroczyście ich naiwna wiara i sposób myślenia; wszystkie o oczach niebieskich tak pełnych wyrazu, że są podobne do kwiatów. Pieści się też niemi sam autor, bo z oczu ich tryska zaufana niewinność szczerym szafiru połyskiem, a przeczuwa, że te wątłe konwalie i fiołki więdną i skruszą się pod rubaszną dłońią tych, którzy im zechcą nadać kształt według swych niedołęжных pomysłów, lub zgoła sprośnych i przewrotnych zamiarów i celów.

Autor każe im wzrastać na łonie rodziny, jako w miejscu najprzenajświętszym, gdzie miłość wzajemna jest i zakonem jedynym i wszystką poezią, wśród której żyją. Działwę pozbawioną tych naturalnych bytu warunków, uważa za najniezszczęśliwszą, zawsze też za mało mu słów, aby wyczerpująco wyrazić nędzę tak twardego ich losu. Te małe bohaterzy jego pasują się z dziecinnymi boleściami swemi, które są równie głębokie jak troski i zgryzoty mężów; dlatego Dickens tak

chwytą nas niemi za serce i budzi dla nich nietylko żywy interes, ale najwyższe współczucie. Połowa każdej niemal powieści, to szereg obrazów tego rodzaju stosunków, które zakończył świetną historią Dawida Kopperfielda w „Wspomnieniach sieroty.” Śledząc bliżej przyczyn szczególnego interesu autora w świecie dziecięcym i w ogóle w sprawie wychowania, dopatrywać się musimy takowych w kolejach własnego jego dzieciństwa i wychowania, a Dawid Kopperfield to własna jego historia. „Zdaje mi się — pisze on do przyjaciela swojego Forstera (25 października 1851 r.) wśród pracy nad tą powieścią — zdaje mi się, jak gdybym połowę swojej istoty wysyłał z Dawidem w krainę cieniów.” I słusznie, bo wszystko co się własnym doświadczeniem odczuło, wszystko co odbołało zawodem i rozczarowaniem, znalazło swój ostatni już wyraz w „Wspomnieniach,” a kto tak twardą przeszedł w młodości szkołę, musiał lepiej zrozumieć, niż ktokolwiek inny i świat dziecięcy i jego istotne potrzeby.

Ścisła nauka przez usta Herbarta twierdzi, że trzy czynniki wpływają na sprawę wychowania człowieka: natura, towarzystwo i los. Towarzystwo i los wszystkiego odmówiły małemu Dawidkowi; wyłącznie dobrej jego naturze zawdzięcza Anglia Dickensa. Gibbon powiada jeszcze ogólniej, że jedno wychowanie otrzymujemy od ludzi, a drugie własną zdobywamy pracą. Biograf i przyjaciel naszego autora Forster, słusznie zauważył, iż Dickens miał sposobność tylko tej drugiej metodzie wszystko do zawdzięczenia. Z ciężkiego losu przypadło mu być autodydoktą. Wyjazd ojca z Chatham do Londynu wydarł dziewięcioletniego chłopca ze szkoły, której brak boleśnie uczuwał.

„Kiedym rozmyślał w komórcie mojej nad tém, com stracił tracąc Chatham, czegożbym nie dał (gdybym miał co do dania) aby gdziekolwiek dalszą pobierać naukę.” (Forst. T. II, K. 1). Szkoła w której dwa lata następnie przepędził, gdzie chłopcy o wiele lepiej myszy w pulpitach hodowane różnych przyuczali zręczności, niż to czynili nauczyciele z młodzieżą; szkoła Dawidka w Salemhouse, nie wiele przyniosła mu korzyści. Wszystko on dobrej naturze swojej zawdzięczał i własnej pracy tak dalece, że w późniejszym wieku nikt nie mógł się dopatrzeć ani przeczuwać, jak luźną była jego nauka, jak przypadkowe i niesystematyczne jego wychowanie w młodości. (Forst.). Mimo to, nie skarży się na to ani nasz autor, ani najbliższy sercu jego bohater. Owszem, Dawidek wypowiada zdanie, które było „złotym prawidłem” Dickensa w całej życia kolei:

„Byłem bardzo szczęśliwy we wszystkiém, co przedsięwziąłem, wielu ludzi o wiele więcej łożyło starań i ani połowy tego nie dokonali co się mnie udało; lecz nigdybym nie dokonał tego bez nawyknienia do ścisłości, porządku i pilności, i bez postanowień, aby się ograniczać do jednego przedmiotu wszystkim zapałem, chociażby te przedmioty rychło po sobie następować miały.” Nicco dalej zwierza się znowu Dickens przez usta Kopperfielda:

„Talent i szczęśliwe okoliczności mogą być poręczami drabiny,

po której wybrani wspinać się mają coraz wyżej; lecz szczeble jój muszą być z hartownego ciosane materyału; nic nie zastąpi w tój mierze wytrwałej a rzetelnej pracy! Więc niczego się nie chwytać jedną tylko ręką, niczego połowicznie, co całą duszą opanować należy, a w tém żadnego nie lekceważyć przedsięwzięcia, oto jak dziś widzę, było zawsze dla mnie „złotém prawidłem” („Wspomnienia” R. 42). W ten sam sposób pisze Dickens do syna (1868) udającego się do Australii: „Upominam cię bardzo, postanów i wytrwaj, by wszystko cokolwiek przedsięweźmiesz, dokonałeś jaknajlepiej cię stać i jaknajlepiej można.” (Forst. III, 19).

Nic połowicznie, wszystko wszystką energią: oto złota reguła twardém doświadczeniem życia wypróbowanego umysłu; oto hasło, które wypisane być winno na czelném miejscu w pokojach naszych dzieci i w salach nauki; hasło, z którego wysnućby można całą teorię wychowania, jak jest istotnie zakonem dla wszystkich rozumiejących swe powołanie rodziców i pedagogów.

Myślę, że po Dickensie, owym obrońcy uciśnionych w ogóle, a przedewszystkiém pocie niemal pierwszego rzędu, nie będzie się nikt spodziewał jakiejś teoryi filozoficznej wychowania i nauki, jakiegoś systemu, któryby z całą wynikliwością rozumowania przeprowadzony, mógł pouczyć, lub posunąć naprzód zapatrywania ludzi ściśle fachowych. Trudno byłoby zebrać wszystkie jego obrazki w ład taki, aby z nich bez luki odtworzyć całość jego poglądów, aż do szczegółów w praktyce zastosowanie znaleźć mogących, zwłaszcza, że wiele z nich należą wyłącznie do stosunków angielskich tój chwili, w której żył autor i pisał. Takim np. w Mikołaju Nickleby jest ów przerażający opis pensjonatu chłopców w Dotheboys, gdzie Squeers, ten istny handlarz i spekulant na tych białych murzynów, tyran pełen najbezcześniejszej hipokryzyi, z zasady wynędznia i niszczy działwę głodem i zimnem, kijem i lekarstwem naprzemian. Gdy nauka u niego jest praktyczną, więc działwa po rannój egzekucyi tortur najrozmaitszych, rozbiega się po folwarku, pełniąc ostatnie usługi w ekonomicznych widokach przełożonego zakładu. SMIKE, uczeń najnieszczęśliwszy, bo zaległy z ratami wypłat, obrócony na sługę, był przy skonie jednego chłopaka, który wołał swoich znajomych i żegnał; „lecz ja, powiada ten mały bohater, gdy będę umierał, kogóż uścisnę? nikt nie przyjdzie na moje wołanie, a gdyby przyszedł, to jaby się przeląkł, bo zawsze i wszędzie ja się bałem tylko!”

Zakład o takim systemie wychowawczym (a Dickens zwiedzał umyślnie Yorkshyr, aby go poznać) nie istniał prawdopodobnie na naszych obszarach, jak niewątpliwie dziś nie byłby w Anglii możebny, dzięki zapewne wpływom satyry naszego autora; wszak sto pięćdziesiąt lat wcześniój głęboki umysł Lockego przestrzegał rodaków, że jak na drżącój kartce, tak i na drżącym od strachu umyśle nic szlachetnego nakreślić nie można; upominał poważnie, ale widocznie bez skutku.

Więcej może dotknąłby nas obrazek „pensjonatu małych dzieci”

pani Wackles, gdzie trzy jej córki rozdzieliły między siebie wszystką naukę przedmiotów, zostawiając naukę sztuki podobania się, kary cielesne, post, przeróżne męki i utrapienia, samą pani Wackles. Pensjonat głupstwa i blagi! Trudno zamilcząć o pensyonacie pani Monfathers, gdzie starsze panienki dręczą się od świtu do nocy panięciovą nauką słów bez rozumienia rzeczy, bez ruchu i świeżego powietrza, ale w atmosferze wysoko moralnej, którą po całym zakładzie na całe gardło oddycha mistrzyni. Biędna Nell, przyszedłszy sprzedać teatralne bilety, przyjętą jest, jako „niepocziwa dziewczyna,” długim kazaniem w obec całego pensjonatu, treści niezmiernie moralnej. Z niego wynika, że się czuć winna tym szczęśliwszą, im ciężiej pracuje, że mała, pilna pszczołka, mówi się tylko o dzieciach znakomitych rodziców, przez pracę u nich rozumieć należy haft, dzierganie i malowanie na atłasie, u biędnych to jest wcale inaczej: to praca we młynie lub stępaku, która ich uszczęśliwiać powinna. Nell pobita niezastużonem upokorzeniem uszycza chustkę, którą łązy ocierała. Podnosi ją jakaś pocziwsza pensyonarka: oczywiście była to ta właśnie gminna i prostacza dziewczyna w pojęciu mistrzyni, ta niegodziwa, trzymana za darmo, wystugująca się gorzko we dnie i w nocy za tę reklamę miłosierdzia pani zakładu, bezczelna nawet, bo talentem i pracą przewyższała najwięcej płacące baronówny—była też pastwą mistrzyni i guwernantek, nienawidzących się wzajem śmiertelnie, zapewne dla dobrego przykładu.

Jestem pewny, że wzmianki o tych obrazkach nikogo tu nie urażą, bo tego rodzaju stosunki bywały u nas wprawdzie, ale wyjątkowo i na zawsze minęły. Miliej mi jednak wspomnieć tę szlachetną postać nauczyciela wiejskiego, który za cały aparat karności miał czapkę błazniską ze starych gazet, upstrzoną w kolorowe opłatki! Umiera mu najpilniejszy chłopaczek, duma jego starań i cel jego miłości. Działwa szkolna pod wrażeniem tego wypadku podziela żmartwienie staruszka i zachowuje się przykładowie; lecz puszczone na wolność, w kilka minut zapomina o smutku i przestrojach nauczyciela, z hałasem wraca do domów. „Jakież pocziwe te moje chłopaki, że mię tak nie długo słuchają!” powiada ten sumienny pedagog, dając nam rodzicom i nauczycielom głęboką naukę o wyrozumiałości dla temperamentu i wieku. Takich obrazków i szkiców moglibyśmy przytoczyć bez liku, a każdy z nich w swój sposób, najczęściej w formie satyry, stwierdza dodatnio pojęcia naszego autora i to we wszystkich kwestiach, we wszystkich kierunkach nauki i wychowania. Nie chcąc się zgubić w tych cennych, artystycznych szczegółach, wypada nam zgrupować przypomnienia tylko i wzmianki w ład pewien co do zasadniczych pytań, a być może, że się nam uda odtworzyć całokształt jego poglądu, choć niewątpliwie ze stratą uroku, jakim technie każdy szkic jego po mistrzowsku oddany, lub scena.

Skreśliwszy powyżej przy ogólnej charakterystyce Dickensa zasadę chrześcijańskiego humanizmu, której całą duszą hołdował, nie trudno dowieść, że jego pojęcia o zadaniach i celu wychowania a nauki

będą jak najrozleglejsze i najzgodniejsze z potrzebami i prawami oświeconego wieku, w którym żyjemy. Nauka elementarna, powszechne oświecenie ludu, w Anglii aż do ostatniej dziesiątki lat bieżącego stulecia w najzupełniejszym prawie były zaniedbanie. Z tego powodu w powieściach jego spotykamy takie mnóstwo ludzi nie umiejących czytać i pisać, a wiele prawie zupełnie głupich i idiotów. Dickens ciskając w oczy narodowi swemu te fatalne postaci, stwierdza przekonanie, że nauka elementarna, że oświecenie obok sumiennój pieczy prawdziwej i szczerój religijności, jest najtrwalszym puklerzem przeciw rozlicznym usterkom i zbrodni, jedynym ratunkiem przeciw moralnym i umysłowym upadkom, których jaskrawe przykłady z całym zadowoleniem poczucia tej niezbitój prawdy maluje. Zkąd społeczeństwo śmie rościć sobie prawo kary zbrodniarzów, gdy młodym pokoleniom nie dało sposobności wychowania, a uczciwą nauką nie wskazało mu dróg właściwych i prawidłowych? Tak woła Dickens przez usta nieszczęśliwej matki, gdy sędzia puszcza na wolność głuchoniemego zbrodniarza, a syna jój na surową karę zasądza: „Jeżeli tego puszczać na wolność, bo nie jest zdolny dobrego od zła odróżnić, czemuż nie oszczędzacie mi syna, którego nikt tej różnicy nie nauczył? Tamtego Opatrzność skazała na niewiadomość, mojego wy sami pozostawili w ciemności! Ileż to dziewcząt i chłopców, ile mężów i kobiet staje przed waszym sądem iście głuchoniemych na sercu i duszy, ileż z nich wpada na najgorsze drogi i znosi srogie kary na duchu i ciele, kiedy wy długie wytaczacie spory, czy w ogóle tego lub tamtego, czy tak, czy owa k uczyć należy!” (Kram rozmaitości, 45).

Jedna z nader ujmujących postaci, ow zamiatacz śmieci ulicznych Jo w Bleakhouse, który „zgoła nic nie wie,” bo na wskrós głupiećki, wyraża nam przekonanie poety, że człowiek, którego społeczeństwo zaniedbało, schodzi z wolna do stanu niżej zwierzęcia (Bleakhouse, 16); potonki psów, gdy je bez opieki i należytej tresury zostawimy, w dzikości mogą zapomnieć szczekać, ale nigdy kąsać. Jo umiera wczesnie, zupełnie upadły moralnie; świetny jednak rezultat tego systemu obojętności, równającój się w skutkach z przewrotnością w edukacji publicznej, oglądamy w Magwitch, w powieści: „Wielkie oczekiwania.” Słyszemy tam z ust własnych o jego życiu, opowiadaniem Pipowi, którego on, zbrodniarz, z oszczędności więziennych pragnie na porządnego wprowadzić człowieka. Zaniedbany w dzieciństwie, nauczył on się czytać od deztertera, a pisać od przejezdnego olbrzyma. W towarzystwie jakiegoś hultaja, roztropniejszego od siebie, popełnił jakieś przestępstwo, w którym najpodrzedniejszą grał rolę; schwytany jednak, otrzymał podwójnie surową karę, „jako źle wychowany.” Odtąd szło już w porządku: z kozy do więzienia, z więzienia do kozy, a ledwo wypuszczony, trafia znów do więzienia i tak ciągle, aż do najtragiczniejszego końca zbrodniarza, którego z natury dobry, a okolicznościami fatalnymi zezwierzęcony charakter, po mistrzowsku Dickens maluje. Prócz rozrzuconych szkiców tego rodzaju, stwierdzających jasno zapatrywania

naszego autora o znaczeniu i wartości instrukcyi mas, cała powieść pod tytułem: „Lady Ledlou,” jak wszystkie, głęboko psychologiczna, poświęcona jest na wyrażenie własnego i zdobycie u czytelników przekonania o niezbędnej potrzebie gruntownej i sumienniej oświaty ludu.

Poważna ta matrona po stracie męża i córki żyje tylko dla syna, gromadząc mu środki do działania w myśl konserwatywnych przekonań i zasad. Otoczona szeregiem panien respektownych, prowadzi dom zamknięty, oszczędny i wyrachowany, ale w stylu wysoko patryarchalnym, dziś i w Anglii już coraz rzadszym. Pełna dobroci i miłosierdzia, gotowa nieść pomoc i ulgę wszystkim zawsze i wszędzie, w oświacie ludu jednak, w jego dopominaniu się w tej mierze o prawa człowieczeństwu należne, widzi zgubę porządku społecznego w tym duchu i formie, w jakich z dzieciństwa wzrosła i w ogóle bunt przeciwko wszelkiemu moralnemu porządkowi. Autor przeciwstawia jej młodego pastora, o jasnym poglądzie na świat, kapłana pełnego zapału w swoim zawodzie, o przekonaniu, że już mijają czasy patryarchalnej protekcyi ludu, a nastają inne, które powołując w masach poczucie i świadomość praw, żądają od wszystkich stosunkowego poczucia i pełnienia obowiązków społecznych, a więc samoradności i samopomocy każdego indywiduum z osobna. Czasy to ciężkie, ale konieczne w naturalnym rozwoju powszechnego człowieka; a w takiej chwili przełomu pastor ów jedynie w zdrowej i religijnej oświacie widzi ratunek społecznego porządku i społeczeństwa przed upadkiem w głupstwo, nędzę i zbrodnię. Obie te postaci szanują się nawzajem głęboko, prześcigają niemal nawzajem w ofiarności na rzecz swoich przekonań, a walcząc przeciwko sobie, więcej walczą w sobie i przechodzą cały szereg wewnętrznych niepokojów, utrapień i tortur. Wreszcie wytrwałość pastora zwycięża zwolna, jak zwolna ustępuje milady. Buduje się szkoła, syn brakoniera, ten sam, co złamał nogę z tego, jak twierdziła Lady, powodu, że go ukradkiem czytać nauczono, syn włóczęgi, zostaje w niej nauczycielem, dziewczyna ze wsi nauczycielką; co więcej, ów był piekarz, obecny sąsiad i postępowy gospodarz, obok wielu innych osób różnej opinii i stanu, wraz z pastorem, nauczycielem i nauczycielką schodzą się co tygodnia wieczorem na skromne uczty u Lady, która po stracie syna w idei wychowawczej ludu znalazła zaspokojenie swój serdecznej potrzeby poświęceń, świeży i ożywiony interes życia i prawdziwe szczęście.

Hołdując w powieściach tak widocznie tego rodzaju zapatrywaniom, Dickens dopominał się i inną jeszcze drogą u swego społeczeństwa o sprawiedliwsze i rozumiejsze uporządkowanie tej gałęzi gospodarki krajowej. Przewodnicząc przy otwarciu Ateneum w Manchester (1843), w mowie „O wychowaniu biednych” wykazywał dowodnie, jak błędnem jest przekonanie, które szczupłą wiedzę uważa za niebezpieczną, a przekładając nawet najszczerplejszą ponad brak nauki, przedstawiał żywe obrazy nędzy, jaką spotykał w nocnych wycieczkach swoich po ulicach Londynu; porównywał następnie okropny stan tych ty-

sięcy nieśmiertelnych istot w grubéj ciemnocie z niewysłowioną uciechą i błogostawieństwem, jakie spłynęły na ludzi o najmniejszej nauce i bez środków właśnie z zarodków maluczkiej wiedzy, powołując na świadki Fergussona, Arkwrighta, Franklina, Bloomfielda i Burnsa. W końcu witał z całym zapalem myśl urządzenia tak zwanych „Ragged Schools,” które najbiedniejszej i najwięcej zaniedbanéj dziecinie w kraju przynosić miały widoki lepszego losu.

W r. 1844 wypowiedział dwie mowy na zgromadzeniach publicznych, szermierząc w obudwu z całą siłą przekonania i dziwnie rzetelnej swojej miłości za sprawą sumiennego wychowania ludu.

W Birmingham powiada, że tylko zasada bezstronnego i stosownego wychowania ludu jedyną daje gwarancję bezpieczeństwa i porządku, bo poznanie wartości cnoty jedynie jest zdolne budzić wstret do wszelakiej zbrodni. W Liwerpoolu ostro przemówił doborowemu towarzystwu słuchaczy, że jeśli są szczęśliwi z powodu własnego dobrego wychowania, toć jeden powód więcej zniewalać ich powinien wszystkich dokładać starań, aby to samo dobrodziejstwo zrobić udziałem wszystkich, zwłaszcza, że szlachectwo, które nadaje nauka, najwyższą cenę należy. (Forster, II, R. 4).

Przytaczam te zapatrywania, o których uznanie w tém zgromadzeniu kruszyć kopie byłoby niemal brutalstwem; przytaczam, bo raz jeszcze muszę przypomnieć, że oświecenie ludu w Anglii aż do najnowszych czasów zostawione było usiłowanóm prywatnych stowarzyszeń i to nie bez cechy sekciarskich namiętności i współzawodnictwa; rząd do téj sprawy długo nie przykładał protekcyjnej, lub organizującej swéj dłoni. Dopiero kiedy we Francyi Guizot stworzył szkolnictwo ludowe, Lord Brougham i Russel dopominali się w parlamencie o poparcie tego ekonomicznego kierunku i w r. 1833 zaledwie 2000 funtów na ten cel uzyskano. Któż wie, o ile „Olivier Fwist” Dickensa przysposobił umysły i ułatwił osiągnięcie takiego przynajmniej rezultatu? Mikołaj Nickleby wyszedł w r. 1840, Chuzzlewit w 1844, a Dombey i Syn w r. 1846, w którym wyszła historia Anglii dla dzieci, arcydzieło w swoim rodzaju. Ależ w r. 1846 parlament ustanawia stałą komisję edukacyjną, której prezydent był rodzajem ministra oświecenia, a ta powołała do życia Training Schools, mające przysposabiać nauczycieli ludowych. „Wielkie oczekiwania,” „Wspomnienia sieroty,” „Ciężkie czasy,” wychodzą następnie z pod pióra naszego poety, a w r. 1868, kiedy Forster (nie biograf Dickensa) zostaje prezydentem komisji, przygotowuje się bil na r. 1870, który pod nazwą „Elementary Education act,” podziś dzień jest regulatiwą wszystkiej początkowej edukacji publicznej w Anglii. Ja nic nie twierdzę, mógłby to czynić tylko rodak autora, lepiej znający stosunki; zestawiam jedynie fakta, z których trudno nie uznać, że prace Dickensa w ścisłym zostają związku z duchowym rozwojem narodu, przejawiającym się w urządzeniach publicznych. Wszystko całą energią, dla wszystkich wspólne prawo udziału w szczęściu dobrego wychowania: oto dwie przeczyste perły

szlachetnego geniuszu Dickensa, oto najogólniejsze pojęcia pedagogiczne sercem i głową myślącego poety, z których jeśli pierwsza dla wszystkich bez wyjątku jednostek, to druga dla wszystkich bez wyjątku społeczeństw, dążących drogą prawidłowego rozwoju, stać się powinny zakonem, bo są rozwiązaniem kwestyi pierwszych słów monologu Hamleta: to by or not to by, that is the question.

Wykazawszy powyżej stanowisko autora w najogólniejszej, bo ekonomiczno-pedagogicznej kwestyi o niezbędnej potrzebie sumiennego wychowania ludu dla ludu i publicznego dobra, spróbujemy wysłedzić niektóre zasadnicze myśli o wychowaniu i nauce w szczególności. Zgóry też uprzedzić mi należy, że ktoby z powyż nadmienionych pojęć i zapatrywań Dickensa ten wyciągał wniosek, iż poeta wymaga dla całej masy społecznej równomiernej i jednakowej instrukcyi, lub szablonowej nauki z urzędu bez uwzględnienia potrzeb indywidualnych i to wszelkiej kategorii, ten byłby w niemałym błędzie. Jakkolwiek powszechnem ma być wychowanie, jakkolwiek dobrodziejstwo nauki na wszystkie warstwy społeczne spływać powinno: to przecież ani wszystkie warstwy bezwzględnie równego wychowania i nauki potrzebują, ani wychowanie każdego człowieka z osobna nie może pożądaných przynieść owoców bez uwzględnienia jego warunków i potrzeb, a zwłaszcza bez względu na indywidualność.

Takich przekonań u Dickensa domyślać się nam każe całe mnóstwo obrazków, szkiców i notatek, pełnych sarkazmu, dowcipu lub gryzącego żalu, a przedewszystkiem realistycznym wierności, z jaką on wszelką maszynową tresurę i wszelkie szablonowe postępowanie pedagogiczne potępia. Szydzi on bez miłosierdzia z praktyk tego rodzaju tak po szkołach publicznych swojej ojczyzny (co i gdzieindziej się zdarza), jak w ogóle z wszystkiego niestosownego wychowania i nauki bez uwzględnienia indywidualnych potrzeb i osobniczych talentów. Dla przykładu ograniczę się tutaj do wzmianki o nieszczęśliwym Ryszardzie Carstone w Bleakhouse. Pocziwa ta dusza, chwiejna jednak w postanowieniach i niedość silna, aby się zdecydować i poświęcić stale jakiemu zawodowi, upada w końcu pod ciężarem złudzeń odwiecznego i fatalnego procesu bez nadziei. Otrzymał on niby bardzo staranne wychowanie i jeszcze świetniejsze wykształcenie, ośm lat strawił w najwyższych naukowych zakładach. „Atoli nie słyszałam nigdy, zapisuje w dzienniku swoim, przeznacza i rozumna Estera, żeby ktoś choćby najmniejszy zadał sobie trud, aby zbadać, w jakim kierunku jego naturalne skłonności się objawiały, lub jakiej natury były jego słabości i niedostatki, a wreszcie, jaki sposób uczenia byłby dla niego najodpowiedniejszy. Cały jego umysł przystosowano do nauki, zamiast naukę do jego zastosowywać skłonności i potrzeb;” dlatego dobra Estera objawia wątpliwość, którą my za pewność uznać musimy: „czyby nie było z większą dla Ryszarda korzyścią, gdyby jego ktoś gruntowniej był zbadał, niż to, że on tak gruntownie poezję łacińską rozumiał.“

Przykład ten dostatecznie nam stwierdza ogólną prawdę, jako przekonanie Dickensa, że wszystko wychowanie i nauka winny być zastosowane do indywidualności. Gdyby lekarz chciał naturę osobniczą pacjenta nagiąć do środków, choćby najskuteczniejszych, a nie środki do natury stosował, nazwalibyśmy go podobno waryatem; i w wychowaniu często środki z wielu względów najskuteczniejsze, nie stosowane właściwie, najopaczniejsze przynoszą rezultaty. Diagnoza poprzedza użycie środków stosownych i zastosowanych, a cel będzie niechybny — oto zasada! Pierwszym był niewątpliwie Locke, który się zwrócił do gruntowniejszego badania natury człowieka, więc jako twórca empirycznej psychologii, oddał niezmierne usługi dla pedagogiki. Rousseau stanowczo już żąda badania natury wychowanków, pod względem ich różnorodnych uzdolnień i skłonności, zanim się znacznie wywierac wpływ edukacyjny. Kładzie on przez to antropologiczną podstawę dzisiejszej umiętności tego kierunku, i nie masz dziś prawdopodobnie pedagoga tak naiwnego, któryby nie wiedział, że wychowanie nie jest rzemiosłem, lecz sztuką, i to ponad wszystkie inne trudniejszą, ile że wykonywa swe dzieła na materyale żywym, rozwijającym się fizycznie i duchowo z siebie i ulegającym rozlicznym wpływom od mistrza niezależnym. Prawo stosowania wychowawczej czynności dziś uznano w nauce powszechnie. Stosować wychowanie należy zarówno do najogólniejszych, jak i do najszczególniejszych warunków osobniczych młodego pokolenia; stosować do właściwości religii i towarzyskiego, geograficznego położenia, wieku i rodzaju, do sił fizycznych, intelektualnych i moralnych, a wreszcie stosować do całego mnóstwa najszczególniejszych już różnic indywidualnych, uzdolnień, przypadłości i warunków, które stanowczo różnego wymagają wpływu, aby osiągnąć cel pożądanym. Przecież zarówno po prostaczku za pługiem, jak po mężu nauki, tak po rzemieślniku przy warsztacie i kupcu, jak po osobie trzymającej w ręku sprawiedliwość i rząd, żądamy przedewszystkiem, aby był człowiekiem! A przecież dwu liści na drzewie nie ma jednaki, i różnym będzie zawsze liść dębu od sosnowej szpilki, mimo że jedno i drugie jest i winno być liściem.

O potrzebie stosowania nauki i wychowania do osobniczych warunków pokoleń i warstw, stanowczo wyraziła się komisya edukacyjna zeszłego stulecia. Diesterweg i Pestalozzi z całym szeregiem adeptów w Niemczech, przekonywali swoich rodaków o téj prawdzie — byli to jednak filozofowie z powołania, pedagogowie z zawodu! Dickens był poetą i powieściopisarzem!

Na rzecz téj antropologicznej podstawy i psychologii dziecięcej, bez których umiętne wychowanie, wymagające dokładnego zrozumienia osobniczych właściwości rozwijającego się umysłu i pełnego miłości wnikania w jego potrzeby, miejscaby mieć nie mogło, złożył Dickens w powieściach swoich całe skarby najcenniejszych doświadczeń i obserwacji; szczególnie w „Wspomnieniach sieroty” i w „Wielkich oczekiwaniach,” gdzie młode bohaterki jego opowiadają nam swoje wra-

zenia z dziecięcych lat. Wszystko przedstawia się im wielkie i tajemnicze, wszystko obudza trwogę i niepokoje: gęsi, chodzące ostrożnie po podwórku, imponują Dawidkowi swoją wielkością i tym ciągłym swoim namysłem; śni też on o nich w nocy, jakby dorosły, żyjąc w krajach równika śnił o lampartach i lwach. Kogut, zwłaszcza gdy pieje, nawet przez okno kuchenne, wyraźnie knuje przeciw chłopięciu jakiegoś podstępne i niegodziwe zamiary; ganek i ciemna spiżarnia, to miejsca pełne tajemnic i przerażenia. Świeżości dziecięcego umysłu odpowiada zmysł dostrzegawczy szczegółów tak bystry, i to tak wczesnie, że spostrzeżenia w pierwszych latach zdobyte, najtrwalsze są i najdłużej nie zawodzą człowieka. Nauka ścisła stwierdziła już dziś, że w pierwszych trzech latach życia człowiek najwięcej zdobywa wyobrażeń, a Dickens przez usta Dawida zwierza się nam w ten sposób:

„Może to jest igraszką mojej wyobraźni, chociaż ja mocno wierzę, że pamięć o wiele dalej sięga w naszą dziecięcą przeszłość, niżeli powszechnie mniemają, podobnie jak mocno wierzę, że zmysł dostrzegawczy u małych dzieci, jest zadziwiająco bystry, nierzadko nawet głęboki i dokładny. Mniemam nawet, że większa część ludzi dojrzałych, odznaczających się tą zdolnością, raczej nie utraciła jej niż ją zyskali z latami, a świeżość wyobraźni i pewne usposobienie do zadowolenia z własnej doli, jest chyba arcybłogiem dziedzictwem naszych dziecięcych lat” (Wspomnienia R., II).

Owó żywy dar spostrzegania, ma za towarzysza niezmiernie ruchliwą i czynną fantazyę, która przy braku doświadczenia i za tém idącego rozumu, przyprowadza dźwiatwę do wniosków najosobliwszych. Dawidek dziwi się, czemu ptaki nie dziobią ramion poczciwej Pegotty, kiedy takie rumiane i jędrne, jak jabłka; kawałek wosku, którego używa do szycia, z powodu zmarszczków, przedstawia mu się jako coś starego. Nie inne wnioskowanie, według przypadkowej analogii, które u dziecka poprzedza właściwe rozumowanie, spotykamy w uwagach, jakie Pip wypowiada nad pomnikami swoich rodziców, i jak sobie z kształtu nagrobków wyobraża postaci zmarłego rodzeństwa. Dzieje się to dlatego, że umysł dziecięcy przecenia wielkość przedmiotów, bo sam jeszcze maluczki; ztąd też wyobrażenia, które w dzieciństwie z obrazków i z opisów otrzymujemy, fantazyja w ogromne rozszerza rozmiary i zdobi w najczarowniejsze uroki. Ztąd wieża w Pizie nie przedstawia się Dickensowi w rzeczywistości, ani tak krzywą, ani tak wysoką, jak sobie to wyobrażał w dzieciństwie; nawet Koloseum rzymskie, oglądane na oko, zawiodło zrazu spodziewane oczekiwanie. Inny z bohaterów Dickensa rozczarował się na widok słońca w naturze, bez téj niezdobytéj fortecy na grzbiecie, wyobrażając sobie z dzieciństwa, że z nią na świat przychodzi.

Owó wyobraźnia i fantazyja twórca, to najściślej z sobą złączone, raczej dwie odmiany niemal idetycznej zdolności ducha ludzkiego, a od prawidłowego ich rozwoju zależy wynik prawie wszystkiéj nauki. Słuszna więc, że Dickens, który sam poetycznej lekturze w najwcze-

śniejszej młodości rozbudzenie swoje intelektualne i moralne zawdzięczał, uprawie umysłu w tym kierunku przypisywał wielkie znaczenie. Aby jednak z ustępów, pełnych szyderstwa, na zimno rozumową tresurę, na naukę liczącą się tylko z faktami wiedzy, nie dopuścić fałszywego wniosku, że autor nasz zbyt wielki i za przesadny kładł nacisk na kształcenie w młodzieży fantazyi i uczuć, lub żeby miał nie wiedzieć o skutkach tak niefortunnéj jednostronności, przytoczę tylko jeden ustęp z dziennika Estery z Bleakhouse. Jestto zdanie jéj opiekuna Jarndyce o panu Skimpole, owym dziwaku szczególnego humoru i drażliwości, owym fantaście, pełnym śmiesznych wykrętów i niby naiwnej przebiegłości, a w rezultacie egoiście choć nieszkodliwym:

„On cały jest wrażliwością i czuciem, na wskroś sentymentalnością i fantazyą, a wszystkie te przymioty i właściwości, nie wiem, jak się to dzieje, nie są u niego w należytej karności i równowadze. Przypuszczam, że ludzie, którzy je właśnie w jego młodości uwielbiali, przeceniać musieli ich znaczenie i wartość w wychowaniu—i ztąd braknie mu równowagi umysłu, więc został tém, czém jest” (Bleakhouse R. 43).

Jakkolwiek zadaniem racjonalnego wychowania jest, aby tym właściwościom ducha nie dozwolić wybujać przesady, inaczej bowiem mogłyby przynieść w skutku jeszcze gorsze następstwa, niż w nadmienionym powyż szczegółle, to równém prawem należy potępić każdy system wychowania, któryby nie poświęcał tym władzom należytego starania i pieczy, lub co gorsza, zaniedbaniem i kosztem takowych, rozwijał wyłącznie teoretyczno naukowy lub praktyczny rozum i zimne wyrachowanie. Dickens, głęboko przekonany o téj prawdzie, która jest zdobyczą dzisiejszój niemal nauki, stwierdza swoje pojęcia całym szeregiem obrazów i charakterów, a nawet całą powieścią, pełną powagi i artyzmu, uderzając boleśnie satyrą na system dający gruntowną i rozległą naukę, ale bez uwzględnienia naturalnych potrzeb, i bez stosowania téj sztuki do indywidualnych usposobień młodzieży.

W powieści „Dombey i Syn“ spotykamy się ze zakładem d-ra Blimbera, który urządzony z całym komfortem, nawet przepychem naukowym, zasobny we wszystkie przybory i środki, przystępnym jest tylko dla majątniejszych. Nie ma tam mowy o poniewierce fizycznej lub umysłowém zaniedbaniu młodzieży, nie ma tam ani Squeersa, ani Creakle'a, ale natomiast tam inna panuje tyrania, tam inne, może i gorsze się odbywają tortury. Zakład ten był właściwie olbrzymią umysłową cieplarnią, gdzie parowa maszyna edukacyjna od świtu do późnej nocy była czynną bez przerwy. Wszystko tam zakwitało przedwześnie, wszystko sztuką pędzone, sztuczne, ale téż i nietrwale wydało owoce.

„Umysłowy groszek bywał na Boże Narodzenie, intelektualne szparagi miewano przez cały rok, matematyczny agrest (wprawdzie mocno kwaśny), był rzeczą zwyczajną o każdéj porze, i to na małych już krzaczkach, dzięki sztuce uczonego doktora; wszystkie rodzaje greckiej i łacińskiej jarzyny wyprowadzano na najwzięlejszych wy-

rostkach o porze, według życzenia. Natury nie uwzględniano tam wcale; mniejsza o to, ku czemu chłopak zdolnością zdradzał właściwe przeznaczenie swoje—pan Blimber wszystko z każdego zrobić potrafił, że to rozkosz była prawdziwa!”

Dickens nie sztydzi jednak z tego, że wszystkimi naukami młodzież kształcono, ale sztydzi z systemu, sposobu i metody, w jaki to sprawowano. System był arcydowcipny, a skutki jego zupełnie naturalne.

„To ciągłe utrapienie z czasownikiem bez serca, dzikimi rzeczownikami z tą nieużyta składnią i niegodziwym rzędem słów, a wreszcie to przerażające straszycło ćwiczeń i zadań szkolnych nie dało działwie użyć nawet spokojnego snu” (snu, owęj najpożywniejszėj ucztę żywota, jak mówi Makbet). To też pod wpływem tego cieplarnego systemu, pod wpływem tych wyścigów nauki bez odetchnienia „każde pachole w przeciągu trzech tygodni pożegnało się ze wszystką tyle błogosławioną żywością. Każdy uczeń przebolewał wszystkie troski całego świata w trzech miesiącach; w czwartym odczuwał gorzkie wyrzuty dla rodziców i opiekunów, w piątym był już skończonym mizantropem, a w szóstym zazdrościł Curtiusowi jego szczęśliwėj do Hadesu ucieczki. Z końcem roku szkolnego oswoił się ze stanem swojego umysłu i przyszedł do przekonania, którego nigdy więć nie zmienił, że wszystkie utwory poetów i wszystka mądrość a nauka mistrzów i myślícíchi starożytnego świata, jest dowcipnym układem słów i reguł gramatycznych, nie mającym ani innego celu, ani żadnej innej wartości” (Dombey i Syn R. II).

Z tych słów widoczna, jakich-to niebezpieczeństw uniknąć pragnął nasz autor przy nauce filologii klasycznej, oczywiście nie innych, jak tych, ku którym dzięki głębokiej cywilizatorskiej nauce niemieckiej, przez czas pewien płynęliśmy niedawno jeszcze pełnemi zagłami. A ileż tam scen rozkosznych, któremi siece on system tego rodzaju, metodę i jej skutki. U stołu nawet ów sztywno wykrochmalony doktor rozwija swój kram archeologicznych rupieci o przepychu i zbytku uczt rzymskich, niecierpliwąc się niezmiernie kaszlem chłopczyzny, zbijającym go z toru tēj naukowej przyprawy: obraz to satyryczny na ów szczególny rodzaj pedantów, którzy nie dają działwie przeknąć nawet obiadu bez greckiego sosu i łacińskiej musztardy. Skutki też nie są inne. Najzdolniejszy uczeń zakładu opada z tych kwiatów i staje się prostym głąbiem; młody Toots w chwili klujących mu się wąsów goni już resztkami owego sztucznie wydobytego rozumu, a postać ta służy pocie w dalszym ciągu powieści jako przykład ofiary metody jednostronnej i fałszywej i wychowania szkolnego bez rachunku z naturą młodego umysłu i potrzebą życia. Ów niegdyś wzorowy uczeń, cel podziwu sztuki pana Blimbera, zachowa się w każdej sytuacji właśnie najniestosowniej, szczęściem, że w Zuzannie Nipper, kobiécie uczciwej i pełnej zdrowego rozumu, znalazł pożądany przewodnik.

Kiedy w zakładzie Blimbera wszystko oddycha atmosferą klasy-

czną, kiedy panna Blimber, córka wykrochmalonego doktora, grzebie jakby jaka hyena po grobach umarłych języków, a żona zawsze naiwna zrywa się czasem paplać o Cyceronie i jego tusculum, w jednym z ostatnich swoich romansów p. t.: „Ciężkie czasy,” wprowadza nas Dickens znowu do szkoły innego całkiem rodzaju, która pod auspicjami pana Bounderby i Gradgrind znakomite przynosi owoce. Nauka w niej odpowiada zupełnie atmosferze maszyn, węgla i kominów fabrycznych, bo protektorowie jej to są ludzie „realni,” nie mający żadnego względu na wszelkie rojenia fantazyi i jakieś tam sentymenta dziecinne.

„Czego ja żądam, to rzeczywistości i faktów; nie ucicie tych chłopców i dziewcząt niczego, tylko samych faktów, bo tylko fakta mają w życiu wartość. Nie wszczepiać niczego nadto, owszem, wykorzeniajcie wszystko inne, bo wszystko inne zbyt cenne. Duszę myślącego zwierzęcia tylko faktami ukształtować można, nic zresztą innego nie przynosi korzyści. Według tych zasad własne chowam dzieci i nie chcę, by te inaczej kształcono. Trzymaj się pan tylko faktów bezwzględnie! Nam trzeba ludzi o tęgich głowach i jeszcze tęższych ramionach: precz z uczuciami! fantazyja a głupstwo to jedno! precz z marzeniami!”

Tak mówi Gradgrind do p. M'Choakumchild, który nie zawiedzie oczekiwania. Jego i 140 podobnych wydał zakład, raczej faktoryja, a wszyscy usposobieni jednako, utoczeni kunsztownie, jak stołowe nogi. Przebył on wszystkie nauki i wszystkie pokonał egzamina, pochłonął całą bibliotekę i mnóstwo wiedzy nie w głowie tylko, lecz na końcu palców posiada. Ależ bo Tomasz Gradgrind umiał dobrać sobie człowieka.

„Tomasz Gradgrind, to człowiek rzeczywistości (a man of realities), mąż faktów i liczb: on wie, że dwa a dwa są cztery, a nie więcej i nie da się w tej mierze inaczej przekonać. Tomasz Gradgrind zawsze ten sam, jak z brązu ulany, z wagą w ręku i miarą, a szcztami w kieszeni, gotów zawsze do ocenienia człowieka według właściwej jego wartości: to rzecz prostego rachunku. Inny sposób widzenia możecie przypisać Janowi Gradgrind, Józefowi Gradgrind, Jerzemu Gradgrind (postaciom zmyślonym), ale nigdy Tomaszowi Gradgrind! Nie, nie, panowie! Tomasz to mąż rzeczywistości; nie, nie! on wiedział dobrze, jakiego mu potrzeba nauczyciela.”

Więc mistrz dobrany nalewa stojące przed nim naczynia w formie głów ludzkich aż po brzegi swojemi wiadomościami, nadzieja ich faktami bez końca, ale i bez względu na psychiczną robotę fantazyi, bez myśli o potrzebach serca i bez względu na charakter i właściwości młodzieży.

„Newer wonder, tylko się nie dziwić, mówi ów mistrz wzorowy, oto tajemnica kształcenia rozumu; fantazyja, czucie i skłonności, to głupstwo. Bo i czemuż się dziwić, gdy wszystko dzieje się przez proste cztery arytmetyczne działania i nic więcej. Dajcie mi dziecko, co

ledwo chodzić poczęło, a ja je nauczę, że się niczemu i nigdy dziwić nie będzie!”

Szanowna trójka tych mężów pozytywnych zbiera najlogiczniejsze owoce swojego posiewu, a Gradgrind przedewszystkiemi! Ludwika, jego córka, perła tej szkoły, zamknięta w sobie i niezadowolona z wszystkiego, jest najnieszczęśliwsza w małżeństwie. Pierwsza pokusa sprowadza ją na pochyłość, lecz blizką niemal upadku ratuje wspomnienie dziewczęcia, biednej sieroty, nie pojmującej wprawdzie wiele nauki, ale przenikającej sercem słabości i potrzeby serca; jęj też dobry instynkt w stanowczych chwilach odnosił tryumfy w obec wyrozumowanych kombinacji.

Synek dopuszcza się rozboju kasy i w ucieczce z kraju musi szukać ratunku honoru swojego ojca. Bitzer jednak, najlepszy uczeń tej szkoły, zapewne w uczuciu wdzięczności wyśledził zamiar skrytej ucieczki i stawia zapory nie do pokonania, odrzuca nawet wysoką zapłatę, bo wyższe miejsce w banku uważa za rzecz większych dla siebie korzyści. Kiedy Gradgrind pełen rozpaczki pyta go wreszcie: „czy ty masz serce?” Bitzer odpowiada mu pogardliwie szkolną definicyą o krążeniu krwi według prawa Harweya.

Z tego widzimy jasno, że Dickens potępia stanowczo każdy jednostronny system, a przedewszystkiemi ten, który skażony modnym pozytywizmem nauk ścisłych, ponad ograniczony liczbą i wyrachowaniem widnokrąg wznieść się nie zdoła, wymagając wyłącznie uprawy naukowego i praktycznego rozumu. Z zapału, z jakim zwalcza te jednostronności i wykazuje fałsz takiego w wychowaniu kierunku, trudno nie uznać, że umysł jego hołdował zasadzie, jaką zdobywa dzisiaj, że powiem, ostatnia nauka, śledząca prawdy bezstronnie. Autor wymaga ścisłej rachuby z indywidualnością młodzieży, żąda troskliwej pieczy i pomocy w rozwoju wszystkich jęj właściwości i danych z natury usposobień; chce zarówno prawidłowego kształcenia władz intelektualnych trzymających się w właściwej równowadze, jak ukształcenia charakterów przez karne wypielegnowanie uczuć wszelkiego rodzaju, a przedewszystkiemi uczuć moralnych i estetycznych. Słowem, autor nasz żąda harmonijnego rozwoju wszystkich potęg psychicznych, żąda, aby wykształcić w każdym osobniku całego, zupelnego człowieka! Daleki od zaprzędania jasnego swego rozumu jakikiejsz filozoficznej teorii lub szkole, nie filozof i nie pedagog z zawodu, Dickens powieściopisarz, uchwycił czystą prawdę w istocie genialnym instynktem, dobrą z gruntu naturą swojego umysłu, a przez to samo złożył i w tej mierze świadectwo stanowisku, na którym bronił praw prostej natury w obec przemądrzałych spekulacji i szkolniczych teorii, jednostronnych, może wynaturzonych dowcipów naszego czasu.

Głęboki psycholog, a przedewszystkiemi znawca dziecięcych umysłów i serc, wiedział dobrze sposób i miarę ożywiania tej iskry, „która raz tylko w młodocianym zapala się wieku,” czyto by świecić gwiazdą Platona i wskazywać nowe tory ludzkości, czyto by skromnym

lecz ciągnął palić się płomieniem codziennych obowiązków i ci-
chych choć najtragiczniejszych poświęceń, ku spełnieniu wszystkim
wspólnego i najwyższego zaszczytu powołania człowieka! Wy-
śmiewając więc baśnie i cudaczne historye, któremi i w Anglii karmio-
no młode umysły, umiė on oddać słuszność poetycznej lekturze i opo-
wiadaniu, których przepotężny wpływ edukacyjny, ożywczy, i o przy-
szłym charakterze człowieka decydujący, uznała filozoficzna teoria,
wymagając tak zwanęj koncentracji nauki. Podobnie jak on
z powieści, które ojciec jego zakupił, otrzymał pierwsze duchowe po-
trącenie, tak tēż i sobowtór jego Dawidek, doświadcza tego pod wpły-
wem ksiązek pozostających po ojcu. Z tēj iście błogosławionej na pod-
daszu izdebki przemawiały do duszy dzieciaka całą potęgą uroku tak-
ie bohaterzy jak „Wikary z Wakefieldu,” „Don Quichot” i „Robinson
Kruzoe” i dotrzymywały mu wiernie towarzystwa wednie i w no-
cy, w chwilach swobody i ciężkiej troski.

„One-to, mówi Dawidek, utrzymywały moję wyobraźnię i moje
nadzieje w ożywieniu, one odkrywały mi światy wcale odmienne od te-
go, w którym żyłem. Im-to—„Tysiącom nocy i jedna,” perskim po-
wieściom o geniuszach dozgonne składam ja dzięki! Nie zrządziły mi
one żadnej krzywdy, bo złe, co mogło się w tych dziełach znajdować,
nie mogło mię dosięgnąć w wieku niewinności. Nie wiem kiedy je prze-
czytałem wśród obmierzłych z Murdstonem lekcyi, lecz w nich jedyną
znajdowałem pociechę w méj niedoli. Wcielałem się w ulubione bo-
hatery moje, przemieniając nienawistnych w Murdstona i jego siostrę.
Raz, nie pomnę z którój powieści, polubiłem niezmiernie przygody mę-
żnego kapitana, a stawiając się w jego położenie, uzbrojony prawidłem
od butów, przebiegałem kąty naszego domu naigrawając się z dzikich,
którzy mię do niewoli wziąć chcieli. Kapitan nigdy nie ubliżył powa-
dze swojego stopnia, chociaż często dostał po uszach gramatyką łaciń-
ską—na złość wszystkim gramatykom wszystkich języków całego świa-
ta doznawałem złudzeń najmiłszych, bo one podnosiły mię do zna c z e-
nia człowieka.” („Wspomnienia,” rozdz. 4).

Podobnie tēż wyraża się Scrooge, mały bohater w „Pieśni Boże-
go Narodzenia;” poetyczne postaci towarzyszą dziecięciu na każdym
kroku, obcuja z niēm nieustannie, i zwolna wnikają do głębi jego serca
i stają się źródłem najszlachetniejszych pojęć, zasad, przekonań i po-
stanowień, zarodem świetnego charakteru jak brylant.

Jeżeli stosowanie nauki i wychowania do indywidualności jest
niezbędnym warunkiem pomyślnych rezultatów, to również stanowcze-
go znaczenia w tēj sprawie jest osobistość samego wychowawcy lub
nauczyciela i jego do młodzieży stosunek, który przy jednym, przy-
puście nawet najlepszym systemie naukowym, zależąc znowu od indy-
widualności wiele może być różnym, nawet najrozmaitszym. I w tej
mierze nawskroś ludzkie i proste pojęcia Dickensa są w najzupełniej-
szej zgodzie z tēm, co nam po tylu doświadczeniach i próbach, po tylu
rozmaitych teoriach i praktykach przedmiotowa przynosi nauka.

W charakterze nauczyciela, w jego szorstkiem, zimno obojętnem i wstępnem lub życzliwo przyjacielskiem obejściu się z młodzieżą widzi on, i to z całą słusnością stanowcze warunki pomyślnych, lub mniej pomyślnych rezultatów. Jak w logice jest prawda, że „la méthode c'est la science,” tak w wychowaniu rezultat to wychowawca. Kopperfield wypowiada otwarcie, że człowiek taki jak Creakle, istna kreatura bez myśli, wyrobnik nauczycielski w Salemhouse, „do swego zawodu tak mało miał powołania, jak do godności lorda-admirała, albo hetmana wojsk, a na tych stanowiskach byłby przecież znośniejszy, bo mniej uczyniłby krzywdy społeczeństwu, niż jako przewodnik i wychowawca młodzieży.” („Wspomnienia sieroty,” rozd. 7).

Najlogiczniej i najkorzystniej do swego humanitarnego stanowiska sądzi nasz autor, że źródło wszelkiego skażenia charakteru młodzieży, tkwi w przygnębieniu poczucia godności, które już wczesza budzić, a prawidłowo kształcić, podnosić i uszlachetniać należy. Uczucia tego nic tak nie razi, wreszcie nie zgnębia u młodzieży, jak podporządkowanie jej pod ludzi umysłowo lichych a moralnie małych, lub co gorsza nędznych i podłych. Działwa, która na wszelką krzywdę ma niezmiernie dotkliwe uczucie, a nie ma siły aby uniknąć takowej, staje się w takich warunkach rozwoju, złośliwą, chytrą i przewrotną, zakaża się pochlebstwem i podłością, zatrzymując te piętna charakteru stale na całe życie. Tyrania wychowawcy robi z niej podłe i nędzne pieski, które drżą z obawy przed jego siłą, moralnym lub fizycznym gwałtem, a zawsze gotowe uwielbiać jego podłe dowcipy i nieludzka pastwę, skoro tylko ku innym, choćby najbliższym są zwrócone. Brak humanitarnego postępowania u wychowawców paraliżuje w młodzieży czynność postęgu nawet rozumu. Dawid porównywa wpływ Murdstona i jego siostry i sposób ich postępowania przy odpytywaniu lekcji do czaru ogłupiającego, jaki wywierają dwa węże na drobną ptaszynę; po mistrzowsku też, jako głęboki psycholog, przedstawia utratę pamięci i myśli i próżnię swjej świadomości sprawiane ich widokiem tak dalece, że nie był zdolnym, chyba do coraz gorszych, do coraz nierozsądniejszych odpowiedzi. Porzućmy jednak ideały ostateczności; zimna obojętność nauczyciela pociąga za sobą nie tak złe wprawdzie, lecz równie niepomyślne następstwa. Choćby się on najlepszą posługiwał metodą, choćby obowiązki zawodu spełniał najsumienniejsz, bez zamiłowania swojego kapłaństwa, bez niewyczerpanego zapasu w służbie myśl bożą rozwijającą, bez wiary że buduje przyszłość, szczęśliwszą, praca jego nie przyniesie pożądaných korzyści. Cóż może zrobić Feeder ów pomocnik Blimbera „rodzaj katarynki w ludzkiej postaci, maszyny o pewnej ilości wskazówek i informacji, które z rutyną nakręconego zegarka rozwijać umie jak z motka bez odmiany i końca.” („Dombey i Syn,” rozd. 2). Z młodości możeby w wojsku zrobił karierę, kto wie, możeby został nawet podoficerem, gdyby szczególny los skazujący przecież przeważnie uczciwych ludzi na pedagogów, nie był go popchnął na te dość nieszczęsne tory. Nie innym jest i Mr

Choakumchild w „Ciężkich czasach“ a wiemy jakie zebrał owoce. Uczy, jak sam był uczony, jak na tokarni kształtuje wszystkie umysły na jedną modłę nadziewając je wiedzą pozytywną encyklopedyi powszechnej. Poeta nasz wyliczywszy wszystką jego uczoność, nie może się wstrzymać od głębokich słów: „Zadużo, panie! zadużo posiadasz nauki! Kto wie, czy mniej wiedząc, nie umiałbyś nieskończenie więcej być użytecznym swemu społeczeństwu!”

Ależ bo wszystko wychowanie jako sprawa arcyważna, według Dickensa, gruntować się winno i szukać niewzruszonej podstawy, którą jedynie znaleźć można w zdrowém poczuciu godności własnej, w szacunku własnym młodzieży, bo ta jako stan poświadczony wyjątkownie nauce, otaczać się, i otoczona być winna *summa cum reverentia!* Nie chodzi tu oczywiście o premie i nagrody, medale lub urzędy szkolne, laudesy i złote księgi, które budząc indywidualne ambicje i współzawodnictwa, okazały się w praktyce mniej korzystne na rozwój charakterów młodzieży. Dickens jasno tłumaczy się z tego pojęcia opisem szkoły d-ra Stronga w Canterbury „która tak była różną od szkoły w Salemhouse jak dzień od nocy. We wszystkiem panował tu porządek i przyzwoitość! Doktor opierał się na honorze i prawości uczniów, a uczucia te rozwijał w nich jak najtroskliwiej. Przypuszczają, że każdy posiada te przymioty, dopóki postępowaniem swojem nie zniszczył dobrego o sobie mniemania. Z takiego rzędu najpiękniejsze wynikały skutki, czuliśmy wszyscy, że pomyślność, że sława i godność zakładu, obchodzi nas jak własne, osobiste dobro. Czas podzielony był na gruntowną naukę i szlachetne zabawy; używaliśmy godziwej swobody a pracowali na seryo, więc wszędzie o nas jaknajlepiej mówiono, wychwalano naszą postawę i zachowanie i wszędzie, gdzieśmy się pokazali, okazywano nam zasłużony szacunek.”

Gdyby nie pewność, że czytamy Dickensa, zdawałoby się że to ustęp z pamiętnika którego z uczniów szkoły krzemienieckiej; czekamy niemal, czy dalej nie ma słów inauguracji Czackiego: „wszystko to dla was, my dla was jesteście!” Bo niemniej zacną i szlachetną była postać tego doktora i to we wszystkich jego stosunkach; obok głębokiej nauki, dziecinna prawie prostoduszność; wyszukiwany też bywał przez wielu, tylko nie przez młodzież, którą w zupełności podbija zawsze i wszędzie tylko szczerą miłość i prawda charakteru wychowawców.

Zbliżamy się do ostatniego kresu naszego założenia. Z wydartych kart powieściopisarza, wzięta nas pokusa odtworzyć obraz jego zapamiętany i pojęć w kierunku, stanowiącym specjalną naukę i sztukę. Wstępując do łodzi, która nas nieść miała po tajemniczej głębi genialnych myśli pisarza, złote jego życia prawidło zabłysło nam u steru jak świetny sztandar, wróżąc dobrą otuchę. Nadzieje nas nie zawiodły, bo chociaż powierzchnia wód zadrgała często satyrą, bryzną piłą ironii, a nieraz i tonie oburzeniem zawrzały, metu nie było w głębi tej duszy i grunt czysty stałych przekonań odbijał zawsze

pokój błękitu. Jasno też i szczerze wyjawiał nam przekonanie swoje o niezbędnej potrzebie gruntownego i sumiennego wykształcenia ludu, o charakterze tego rodzaju instrukcyi, o obowiązku społeczném spełnienia tej powinności zarówno w moralnym jak materyalnym interesie narodu. Roztaczając przed nami całe bogactwo swych obserwacyi dozwolił nam oglądać wszystkie słabości i niedostatki jednostronnych lub zgoła fałszywych systemów wychowania, jakie widocznie za jego czasów w Anglii, a w zeszłym i bieżącym stuleciu na kontynencie rzeczywiście były w użyciu i niemal kolejno po sobie następowały. Wprowadzając nas w tajemnicę natury dziecięcego umysłu z prawdą, geniuszem, przenikliwością i sztuką, które nam się wydają być echem Szekspira, owego dotąd najgłębszego psychologa na świecie, wyznał dziś już naukowo niezbity zasadę stosowania wszystkiej wychowawczej sprawy do indywidualności, stawiając powszechny dla wszystkich ideał i cel w harmonijnym rozwoju zupełnego człowieka. Szeregiem obrazów i charakterów wykazał jak przeważnie na osobistości wychowawcy zależy, jeśli z tej sprawy pożądaných oczekiwać mamy owoców. Dickens nie filozof, nie pedagog z zawodu, Dickens powieściopisarz, nie pominął żadnej ważniejszej kwestyi, która wchodzi w zakres naszej umiejętności i sztuki, a chociaż nie wystawił ściśle naukowego systemu, rozwinął cały szereg zapatrywań i pojęć, w których trudno dopatrzeć się śladu niepewności przekonań lub sprzeczności twierdzeń, pragnień i ideałów. Et hic sunt dii! bo choć to wszystko, rozrzucone w czterdziestu tomach powieści, to przecież wszystko wiąże się w całość, bo wszystko wyszło z genialnej świadomości mistrza, którą ożywił duch nieograniczonej miłości i prawdy, nie zakazony interesem stronnictw ani namiętnością koteryi.

O tego ducha, który ożywiać winien wszystkie społeczne stosunki, a przedewszystkiem być głównym czynnikiem wychowania, o tego ducha którego nie daje choćby najwyższa nawet nauka, lecz darem udziela Opatrzność różnym, w równej mierze do różnego społecznego użytku, o tego dobrego ducha z natury walczy nasz autor na każdym kroku, a jeśli go zbrakło w naszym wykładzie, krytycznie rozbierać go nie będziemy, bo analiza to śmierć. A przecież dla myśli Dickensa na wskroś tym ożywionój duchem, niesiemy w hołdzie szczyptę ciężko zaśluzonego kadzidła.

Dramat niemiecki XIX-go wieku *).

(STUDIUM LITERACKIE).

PRZEZ

Teodora Jeske-Choińskiego.

Z Wajmaru przeniósł się Kleist do Osmanstädt, do cichego tusculum starego Wieland'a, gdzie przeżył kilka bardzo szczęśliwych miesięcy. Przez syna o gościu dobrze uprzedzony, przyjął autor „Oberona“ młodego literata bardzo serdecznie. Sława Goethe'go podrażniła Kleist'a. Chciał mu sprostać, przewyższyć go, chciał stworzyć coś zupełnie odrębnego, a tém czémś miał być podjęty nanowo „Robert Guiskard.“ Musiała to być wspaniała kompozycya, bo kilka ustępów, deklamowanych przez autora z pamięci, zachwyciły starego Wieland'a tak bardzo, że pisał do Wajmaru: duchy Eschyla, Sofoklesa i Szekspira zbiegły się w Guiskardzie. Wieland miał piękną córkę, spoglądającą mile na Kleist'a. Ale demon sławy oślepił znów poetę tak dalece, iż stracił zmysł do pospolitego szczęścia. Więc kiedy mu oczy panny w pracy przeszkadzać zaczęły, zabrał po swojemu manatki i uciekł z Osmanstädt. Ruszył do Lipska, Drezna, zajrzał powtórnie do Szwajcaryi i do Paryża. W drodze stracił nić do „Guiskarda“ i ochotę do pracy. Zwątpił powtórnie o swoim talencie, spalił manuskrypt, złamał pióro, a pragnąc śmierci, postanowił zaciągnąć się do wojsk francuzkich, jako prosty szeregowiec. Lecz Francuzi nie chcą Prusaka. Ambasador dworu berlińskiego w Paryżu, Lucchesini, każe mu wracać do kraju. Poeta zabiera się więc z powrotem do Prus, lecz w drodze rozchorowyywa się na tę samą niemoc, której już raz w Szwajcaryi uległ. Rozpacz ogarnia go powtórnie. Dopiero w lipcu 1804 r. dowłókł się do Poczdamu... chory, beznadziejny i ubogi, bo resztę majątku zabrał powtórny pobyt w Paryżu.

Przybył do Poczdamu bez pragnień, bez woli i bez środków do utrzymania. Potężny duch jego złamał się, zawiedziony przez ostatnią

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za maj r. b.

nadzieję, przez sławę. Sprzedajna ulicznica uśmiechała się do wszystkich fabrykantów bieżącego towaru, rzucając im wieńce i zaszczyty, a na autora najlepszej komedyi owego czasu i na twórcę groźnego dramatu: „Rodzina Schroffensteinów” nie raczyła nawet spojrzeć.

Siostra Ulryka, dowiedziawszy się o powrocie brata do kraju, pośpieszyła do niego. „Zrzec się nieszczęsnej poezyi, wyrwij z serca szalone sławy pragnienie i zostań „porządnym” człowiekiem,” przekonywała. Jeszcze przed rokiem byłby się Henryk na tak „rozumne” słowo oburzył, byłby uciekł za kraje, za rzeki; lecz teraz był już tak znękanym, że ukląkł przed siostrą, jak bezwolne dziecię, prosząc o przebaczenie, obiecując... poprawę. Pojechał też do Berlina, aby się tam o rządową starać posadę. Lecz król, zrazu zdolnemu oficerowi przychylny, nie udzielił mu teraz nawet audyencji. Porzucił karierę wojskową, włożył się gdzieś po świecie, pisał nawet wiersze! Nie, taki awanturnik nie może zostać porządnym człowiekiem. Trzy razy stukał rozbitkę do podwojów królewskich w Szarlottenburgu, trzykroć zabroniono mu wstępu. Cierpliwie słuchał nędznych wymówek nędznych dworaków, ze łzami w oczach błagał o wyrozumiałość dla obłąków młodości, lecz bezskutecznie. Stargany i osierocony, prosił rodzinę, aby mu pozwoliła wrócić do domu choćby na miesiąc, na tydzień, na dobę jedną, pragnąc po zupełnym rozbiciu trochę miłości, trochę ciepła. Ale rodzina obiecała mu pomoc pieniężną, nie chcąc nawet słyszeć o przybyciu „włóczęgi.” Nie tobie, marnotrawny synu, spocząć w domu ojców twoich, bo ty jesteś rodu twego wyrzutkiem, trędem! Tak zawyrokowały ciotki. Pięćdziesiąt lat później szczyły się te same ciotki najgenialniejszym z rodziny Kleistów, któremu naród niemiecki dziś pomnik stawia...

Złość najbliższej rodziny strzaskała resztę dumy byłego poety. Mówimy „byłego,” bo Kleist zwątpił tak bardzo o sobie, że się nawet do tytułu autora nie przyznawał. W Berlinie przebywał wówczas kilku zdolnych młodzieńców, którzy mieli niebawem w literaturze niemieckiej jako romantycy par excellence zasłynąć ¹⁾. Znali oni wszyscy Kleista, z którym zostawali w przyjaznych stosunkach, a żaden z nich ani się domyślał, że cichy, smutny ich towarzysz był już autorem komedyi i tragedyi i największym między nimi poetą.

Nareszcie zmiłował się król nad rozbitkiem i dał mu jakąś posadkę w departamencie finansów. Kleist wyjechał do Królewca, dokąd go wysłano, i przeżył tu cały rok 1805 i połowę następnego cichutko, pragnąc się koniecznie na porządnego przedzierzgnąć człowieka. Urzędował namiętnie, uciekając od książki i poezyi, jak od trucizny. Spokojna, systematyczna praca i regularne życie wracały mu wolno dawny hart i dawną sprężystość umysłu. Do dźwignięcia rozbitę duszę z toni oniemiałej, zafukanę rozpacz przy-

¹⁾ Adalbert von Chamisso; Varuhagen von Ense; Neumann; le baron Fouqué; Denkwürdigkeiten von Varuhagen von Euse, tom V, str. 315.

czyniło się spotkanie z Wilhelminą von Zenge, zaślubioną Wilhelmowi Krug'owi, następcy Kanta na katedrze filozofii w Królewcu. Była narzeczona podała opuszczonemu zewsząd biedakowi dłoń przyjaźni, a pod wpływem tego ciepła topniały lody martwoty duchowej. Kleist zaczął znów marzyć i... pisać wiersze. Z tego czasu pochodzi prawdopodobnie przesłiczny poemacik p. t.: „Die beiden Tauben” (Dwa gołębie), w którym się Kleist oskarża, przypisując tylko sobie zerwanie z kochanką. Pod wierszami drży jeszcze żal do życia; ale nie ma już goryczy ani jęków rozpaczy.

Kleist stawiał się znów poetą, lecz onieśmielony niepowodzeniem, wracał do pracy twórczej ostrożnie. Napisał teraz kilka mniejszych nowel, z których jedyna „Margrabina z O...” (Marquise von O...) do nas przeszła.

Niemcy nie mają, jak wiadomo, prozy klasycznej, lecz proza Kleista jest w tej noweli tak spokojna, tak przejrzysta, że może stylistom za wzór posłużyć. Ma on swój własny, odrębny styl i zdania krótkie, płynące równo, nienużące czytelnika znaną rozwlekłością prozistów niemieckich. Lecz współcześni nie odczuli piękności tej dykcji. Przyzwyczajeni bowiem przez Schillera do retoryki, a przez romantyków do dziwacznej przesady, nie smakowali w jasnej, nie goniącej za efektami prozie Kleista. I postacie jego są w tej nowelce prawdziwe: ruszają się, żyją, a mówiąc nie oślepiają blichтром, lecz zwracają się do serca lub rozumu. W Królewcu przerobił poeta także „Amfitryona” molierowskiego i komedią, napisaną jeszcze w Szwajcaryi.

Rozbite zrazu skrzydła rozwijały się, bo natura artystyczna bywa podobną do trzciny; nagna, podniesie się i znów prosta. Sprzykrzyło mi się życie porządnego człowieka — pisze do siostry — chcę być poetą, jak mi przeznaczono. Uryka, przerażona nowym „atakem” ukochanego brata, śpieszy do Królewca. Błaga, zaklina, modli się, lecz Kleist, wypocząwszy sobie po ciosach lat poprzednich, marzy poraz trzeci o sławie. „Chcę być poetą!” — woła. Prośby siostry nie odnoszą żadnego skutku. Następuje scena między rodzeństwem: siostra odjeżdża z gniewem w sercu, a familijka śle „waryatowi” przekleństwa i t. d.

Skrzydła urosły! Kleist żegna się w r. 1807 z finansami i rusza przez Berlin do Drezna, gdzie postanawia piórem na chleb zarabiać. Lecz nawet przypadek urąga temu człowiekowi. Z dwoma oficerami zbliża się poeta pieszo do Berlina. Przed samymi bramami chwytają posterunki francuzkie wędrowców, mniemając, że ujeli szpiegów. Bez sądu, bez wysłuchania go, wysyła Kleist'a komendant Berlina do Francji, na zamek Joux pod Pontarlier, jako więźnia stanu. W Châlon sur Marne, dokąd go następnie przeniesiono, napisał tragedią „Penthesilea” (1807). Kiedy się po pięciu miesiącach nieporozumienie wykrywa, wraca jeniec do kraju i osiedla się w Dreźnie.

Pobyt w stolicy Saksonii należy do kwitnych oaz w życiu biedaka, którego los skazał na długą samotność osobistą, skapijąc mu nawet

zasłużonego uznania. W Dreźnie doznał bowiem poraż pierwszy dodatkowy skutków sławy, którą tu dla niego głośny ówczesny krytyk, Adam Müller, zachwycony jego „Amfitryonem,” przygotował. Arystokracya wyrwała go sobie z rąk do rąk, a brak własnego ogniska zastępował mu serdeczny, ciepłym owiany dom starego Körner'a, który dłoń młodego pisarza bratnio uściśnął. Z tego też czasu pochodzą prawdopodobnie (pewnych dat nie mamy) dwie prześliczne nowelki: „Das Erdbeben in Chili” (Trzęsienie ziemi w Chili) i „Die Verlobung in St. Domingo” (Zaręczyny w St. Domingo), bo ton tych cacek jest tak czysty i dźwięczny, jak w „Margrabinie von O...,” a poeta, ulegający tak bardzo wpływowi osobistym jak Kleist, mógł tylko w szczęśliwych chwilach tworzyć spokojnie i przedmiotowo. Ogrzany promieniami sławy i przyjaźni ciepłym, zabrał się nawet poraż trzeci do ulubionego „Roberta Guiskarda,” który miał być testamentem jego myśli, jego marzeń ostatnim wyrazem. Lecz nie miał widocznie szczęścia do tej kompozycji, bo „Guiskard” nie przekroczył nigdy granic szkicu, fragmentu. Tu w Dreźnie wydawał także przez cały rok czasopismo p. t.: „Phöbus,” i zaręczył się z córką bogatego domu. Nareszcie, zdawało się, ustali się los „włóczęgi,” nadeszła bowiem upragniona sława, a pismo i majątek żony odbiorą poecie niemiłą troskę o chleb powszedni. Kleist odżył, rozruszał się, stawał się przedsiębiorczym i rzutkim, miał pełną głowę kompozycji, a serce marzeń o szczęściu. Bańka mydlana, domek z kart! Nie tobie, synu „oświeconych,” dokonać jak filistrowi spokojnie żywota, bo dusza twoja to „świątynia bez Boga,” to cementarzysko, zarzucone popiołami i gruzami, z których nie wykwita wiary i nadziei gałązka oliwna, bo ty, poeto, w którym się wszystkie rozpacze i bóle owego czasu zbiegły i spotęgowały, ty jesteś Ahaswerem swego pokolenia, dla ciebie nie ma odpoczynku...

Tylko rok był Kleist szczęśliwy. Pierwszy Goethe rozkrwawił znów jego serce. „Pentesilei” nie chciał wystawić na scenie wajmarskiej, a komedią „Rozbity dzbanek” przyjął wprawdzie, lecz oddał ją teatrowi w takiej formie, że musiała upaść. Jednoaktówka jest nieco za długa. Goethe, chcąc złemu zaradzić, podzielił ją na kilka aktów, przez co zniszczył skutek, bo rozczłonkowując czynność, rozwijającą się szybko, osłabił wrażenie ¹⁾. Autor posyła zato tyranowi ówczesnej literatury niemieckiej wyzwanie na pojedynek, którego „ekscelencya” nie przyjmuje. Powstaje ztąd niemiła polemika. Powtórnie: jakaś intryga zrywa stosunek z narzeczoną. Potrzebie: czasopismo zaczyna upadać. Poczwarte: rodzina, udobruchana zrazu powodzeniem marnotrawnego syna, dowiedziawszy się, że się interesu jego powikłały, odmówiła mu dalszej pomocy pieniężnej. I tak zapadł się krótkotrwały gmach szczęścia. Bülow opowiada, że Kleist myślał już wtedy (w r. 1809) o samobójstwie, lecz gdy się próba otrucia nie udała, postanowił jeszcze żyć. Dźwignął się i napisał przepiękny dramat fan-

¹⁾ Ludwik Devrient, jak wyżej.

tastyczny w pięciu aktach: „Das Käthen von Heilbronn, oder die Feuerprobe, grosses historisches Ritterschauspiel in fünf Akten” (Kasia z Heilbronn, czyli próba ogniowa, wielki, historyczny dramat rycerski w pięciu aktach).

Rzecz rozgrywa się w średnich wiekach. Wstępujemy do jaskini ukrytej w lesie, oświeconej bladym nocnym światłem. Zasiada tu sąd strasznej „femy” (Vehmgericht), który panuje cicho jak Bóg, a jest postrachem wieków średnich, maluczkich i możnych. Zakapturzeni wyrokodawcy siedzą w głębi lochu, a przed nimi stoi hrabia Wetter vom Strahl, dzielny rycerz, oskarżony przez Teobalda Friedeborna, mieszczanina z Heilbronn, o czary zadane jego córce, małej, pięknej, miłej Kasi. Hrabia z Strahl'u oczarował biedne dziecko, woła rozżalony mieszczanin. Była ona ojca swego chlubą, miasta pieszczochem i ulubieńcem każdego kto ją tylko zoczył; była najbogatszą dziedziczką z Heilbronn i miała rój wielbicieli. Lecz od chwili, kiedy ujrzała hrabiego, straciła rozum. Hrabia zdążył przez miasto na boje; w zbroi jego niedomaga jakaś część, więc zatrzymuje się przed pracownią Friedeborna: „napraw mi puklerz, majstrze!” Zbrojownik sadza dostojnego gościa na krzesło i zabiera się do pracy, lecz aby się gościowi nie nudziło, każe przynieść wina i przekąskę. Natychmiast wchodzi Kasia do pracowni ojca, ujrawszy jednak hrabiego, blednie, chwije się, upuszcza dzbanek i naczynia inne i rzuca się do nóg siedzącego. W domu robi się popłoch. Zkąd cichą dziewczynie takie szaleństwo? Hrabia podnosi się, całuje Kasię w czoło, siada na konia i odjeżdża. Lecz ona biegnie za nim, a widząc że się rycerz oddala, skacze z okna na bruk i łamie sobie obiedwie golenie. Kiedy ją wyleczono, zabiera mały tłumoczek i ucieka tajemnie do domu. Dokąd? Do hrabiego. Spotkawszy rycerza wśród drogi, przyłącza się do jego świty i rusza za nim przez świat... „promieniem tryskającym z jego oblicza, jak mocnym ciągnioną powrozem. Biegnie za nim bosą nóżką, w krótkiej spódniczce, w kapeluszu słomianym na głowie. Dokądkolwiek awanturniczy szlachcic kroki swe zwraca, czy przez żary południowym słońcem spalonych puszczy, albowiem przez nocne jaskinie i gęstych, ponurych lasów, wszędzie biegnie mała Kasia za rycerzem, jak pies, który się napił potu swego pana. A gdy świta hrabiego staje do odpoczynku w mieście, lub w karczmie, wtedy kładzie się dziewczeczka, która jeszcze niedawno najmniejszą nierówność w miękkim odczuwała łóżeczku, w stajniach i zasypia na słomie podestanej koniom...” Hrabia nie pojmuje dziewczyny, bo on szlachcic średniowieczny, nie domyśla się nawet miłości w sercu mieszczanki. Chce ją odpędzić, grozi batem, lecz Kasia prosi się, aby jej pozwolono mieszkać z końmi. Niech sobie więc będzie, niech biegnie za swą. Hrabia wraca po długiej włóczędce na zamek do Strahl'u. Przybywa za nim i Käthen. Nocą sypia w stajniach, dniem leży pod murem zamkowym wśród krzewów bzykowych i patrzy w okna komnaty rycerskiej. Dziwactwo to nudzi w końcu szlachcica. Podnosi bat—

ona pada do nóg jego; on grozi że uderzy, ona płacze. Niech sobie więc będzie, kiedy jój to przyjemność sprawia.

Wysłuchawszy téj skargi, uwalnia tajemny sąd hrabiego, bo to nie czary, lecz potęga wpływu przyrodzonego... miłości. W następnych aktach powtarza się to samo, co już wiemy z ekspozycyi. Kasia trzyma się rycerza oburącz, biegnie za nim przez świat, śpi w jego stajniach, marzy pod jego bzami, pilnuje go jak anioł Stróż legendy, czuwa nad nim, liże jak pies dłoń pana, nie pamiętając mu, że jój biczem groził. Tyle miłości łamie dumę szlachcica. Przy końcu dramatu wydaje się, że Kasia jest naturalną córką cesarza. Monarcha adoptuje swe dziecko, daje mu tytuł księżniczki Szwabii i żeni je z hrabią z Strahl'u.“

Pierwsza to praca Kleist'a, w której widzimy wyraźny wpływ doktryny romantycznej. Jeżdżąc po świecie, stał poeta zdala od ówczesnego ruchu literackiego. Dopiero w Dreźnie poznał się z zwolennikami nowéj szkoły, zaprzyjaźniając się nawet z głównym jój przywódcą, z Tieckiem. Od niego nauczył się wierzeń romantyzmu, miłości do średnich wieków, do legend, czarów, snów, objawień i t. d. Całą tę dekoracją wpływów nadprzyrodzonych, których dosyć w dramacie, opuściliśmy w streszczeniu. Bo Kleist nie był właściwie romantykiem w ścisłym tego pojęcia znaczeniu. Pił i on z mętnej doktryny swego czasu, nie znał i on haseł pozytywnych, ufnych w skutek własnej recepty, lecz był przedewszystkiém sobą—Kleist'em. Przyniósł z sobą na świat nadzwyczaj bystry wzrok, zmysł do rzeczywistego życia i do warunków sceny; więc wszystko, co potrzebne do stworzenia prawdziwego dramaturga. Sobą nie przestał być, nawet wobec materyału, tak fantastycznego, jakim jest osnowa powyższego dramatu. Wbrew wyznaniu owego czasu, mają wszystkie postacie utworu wyrazistą fizyognomią. Nie wiszą one w powietrzu, jak bohaterowie romantyzmu, nie starają się o wycłowieczenie, owszem, żyją, czynią i wierzą po ludzku. Kleist był tak znakomitym charakterystykiem, że każda jego postać zawierała odrębną rolę i wybitną stanowiła całość. Najpodrzedniejsze téż figury domagały się rutynowanego aktora. I tak należał Gottschalk, giermek hrabiego z Strahl, do ról popisowych znakomitego w owym czasie przedstawiciela, Ludwika Devrient ¹⁾. Jako charakterystyk przewyższa Kleist Goethe'go i Schiller'a, co mu dopiero najnowsze przyznały czasy. A właśnie ten wielki przymiot, będący zasadniczym warunkiem talentu poetyckiego, nie podobał się Niemcom w pierwszych latach XIX wieku.

I dykcya dramatu stroi z charakterystyką. Każda z postaci mówi własnym językiem, zastosowanym do natury występujących osób i do chwilowego położenia. Rzekomy ojciec Kasi, zbrojownik Friedeborn, przemawia piorunami, a słowa dziewczyny podobne są do szeptu

¹⁾ „Preussische Jahrbücher, herausgegeben von R. Haym,“ Berlin, 1858, II tom; rozprawa Treitschke'go o Kleiscie od str. 598—623; str. 604.

bzowych gałązek, pod któremi odpoczywa, marząc o ukochanym. Język jest wprawdzie barwisty, strojny w obrazy poetyckie, lecz nie choruje wcale na ową rozwiąłość romantyczną, która rozdelikatniła głos uczucia, zniżając ton jego do pieściwego szeptu bezkształtnego marzenia, a robiąc z groźnego słowa rozpaczę lub namiętność, głośno-brzmiające lecz czcze i puste frazesy. Kleist napisał „Kasię z Heilbronu“ białym wierszem, przeplatając go gęsto nadobną prozą.

Do zalet należy także znakomicie uchwycony koloryt wieków średnich. Obdarzony daleko większą intuicją realistyczną niż Goethe i Schiller, odczuł Kleist poezją rycerstwa tak serdecznie, że sprawił widzowi zupełną, żadnym anachronizmem niezmaconą uludę. Zdaje nam się rzeczywiście, że widzimy starych „ritterów“ i giermków ich, świętą „Femę“ i bogatych mieszczan średniowiecznych.

Sama myśl przewodnia nie wytrzymuje oczywiście krytyki czasów więcej pozytywnych. Miłość Kasia jest w obecnych warunkach niemożliwą, lecz Kleist nie miał zamiaru odtworzyć namiętności powszedniej. Przez trzy zdradzone kochanki, rozżalony głównie na ostatnią narzeczoną, postanowił stworzyć ideał miłości, aby wzorem był dla pospolitych śmiertelnic, aby uszlachetniał i dźwigał maluczkich. Gdyby się nie był posłużył aparatem romantycznym, nadającym z góry całemu utworowi koloryt nieprawdziwy, bo fantastyczny, byłaby Kasia „Julia“ teatru niemieckiego. Opromieniona zaś aureolą nadzwyczajności, działająca w skutek snów i jasnowiedzeń, przestała właściwie po ludzku żyć, zamieniając się na postać legendową, która zachwyci, rozmarzy, lecz nie przekona. Mimo braku prawdy życiowej, pozostanie jednak Kasia jedną z najpiękniejszych postaci niewieścich literatury pięknej Niemców. Należy jęj się bezwzględnie zaszczytne miejsce obok „Gretchen“ Goethego (Faust) i „Ludwiki“ Schillera (Kaballe und Liebe).

Pożyciu z romantykami zawdzięcza poeta drugą wadę dramatu. Zręczny technik dał się uwieść dumie nowęj szkoły, gardzącej zwartością formy. Czym śpiewak dla ludzi? Cóżto? Czy dla teatru piszę? Aktorzy są na to, aby grali, co i jak im autor wskaże! Przecież wołali już w ten sposób Schiller i Goethe w drugięj połowie swęj czynności literackięj, a epigoni przesadzili tę pychę, robiąc z nięj karykaturę. Tęj bucie hołdując, nie starał się Kleist ani o jedność akcji, ani o wygodne dla teatru jęj umiejscowianie. Zestawiał sytuacje luźnie obok siebie, przerzucając scenę w jednym akcie na różne punkta. Lecz teatr pomścił to lekceważenie warunków scenicznych. Reżyserzy bowiem, przyrządzając dramat do wystawy, ucinali najpiękniejsze części bezładnęj całości. Późnięj dopięro umieli światli dramaturdzy pogodzić wymagania sceny z pięknością poetycką utworu, lecz wówczas nie było autora już dawno między żyjącymi ¹⁾.

Osobistęj znajomości z Tieck'iem, zawdzięcza autor najwiękšy

¹⁾ Henryk Laube i Dëvrient w r. 1852.

błąd w kompozycji dramatu. Kleist zamierzał cały utwór utrzymać na wysokości cudownej opowieści w formie dramatycznej. Myśl ta była bardzo dobra, bo ocalała przesadność miłości bohaterki. Lecz Tieck poradził młodemu koledze, aby wprowadził do dramatu kontrast Kasi. Uczynił to autor, stwarzając Kunigundę, obrzydliwą, po mistrzowsku narysowaną kokietkę. Postać ta, wyrzeźbiona z realizmem nowszych czasów, zepsuła całość, zanieczyszczając jej koloryt legendowy. Podobno powodował się Kleist przy rysunku Kunigundy osobistą zemstą ¹⁾, bo skopiował ową intrygantkę, która się przyczyniła do zerwania stosunku z ostatnią jego narzeczoną.

Wadą utworu będą w końcu dodatki romantyczne, jakoto: sny, jasnowiedzenia, przeczucia, zabobony i t. d., o ile wpływają na czynność, uzasadniając jej pochod. Lecz mimo tych usterek, utrzymała się „Kasia z Heilbronu“ dotąd na scenie niemieckiej, przeżywszy wszystkie, swego czasu, głośniejsze prace Werner'ów, Müllner'ów, Kotzebue'ów i w. i. Utrzymała się jako poemat dramatyczny, jako owoc prawdziwego geniuszu, który nie przemija, bo jest wieczny, nie starzeje się, zostając zawsze świeżym i młodym; dramaturdzy zaś uczą się z niego po dziś dzień sposobu operowania efektami, którym utwór główne powodzenie w teatrze zawdzięcza, boć sam przedmiot (Kleist zaczyna tak samo, jak Grillparzer w „Sappho“, dokonany już faktem, dojrzałą namiętnością) wyklucza właściwie stopniowanie dramatyczne, nadając się więc do formy epicznej ²⁾.

Ludwik Börne, widząc „Kasię z Heilbronu“ na scenie, zawołał z zalem: „dlaczegoż wtrąciły podstępne Parki tę kwiecistą głowę tak wcześniej do grobu?“—„dramat ten jest brylantem, zasługującym na to, aby zdobił koronę króla poetów angielskich“ ³⁾. Lecz za życia autora, nie uznał nikt jego geniuszu, krom małego koła przyjaciół. A odrobina ciepła i trwałe okłask, byłby wytrącił z rąk Kleista złowrogi pistolet...

Prawie równocześnie napisał Kleist inny dramat w pięciu aktach „Die Herrmannsschlacht“ (Bitwa Armina). Jestto właściwie poemat narodowy, nawołujący do zemsty. Bo właśnie przebiegał Napoleon ciężką stopą po schyłym Niemiec grzbiecie, deptając niemiłosiernie tych, co nie umieli podnieść hardziej głowy, jak narodom przystało. Ówczesni poeci uciekali przed nędzą rzeczywistości, między półcienie mistyki i chłody fatalizmu, skarżąc się niemocnie słabych niewiast zwyczajem. Kleist należał do tych niewielu, co mieli odwagę rzucić narodowi w twarz hańbiące poniżenie i podzegać do zemsty. Ogniem i mieczem, trucizną i podstępem trzeba wyniszczyć zdradziecki ród

¹⁾ Wilbrandt, jak wyżej.

²⁾ „Kätchen von Heilbronu“ grano poraz pierwszy w r. 1808, a wydrukowano go w r. 1810.

³⁾ Ludwik Börne, jak wyżej, t. I, str. 120 i 121.

Franków, jak Arminius rzymskie wytepił legiony—wołał Kleist. A wołał tak groźnie, tak potężnie, że wnuki nazwali „Bitwę Armina“ pieśnią zemsty. Lecz... i ten głos, już nie poetycki, lecz wprost bohater-ski, godny proroka, przeminał bez oddźwięku. Potęgą Napoleona przerażony naród, spodlony poniżeniem, odwrócił się od swego Tyrteusza, nie mogąc znieść gromkiego wołania gorzkiej prawdy. Trzy lata później przypomniano sobie głos natchnionego niedołą swego ludu wieszca, lecz wówczas milczały już wymowne jego usta, przysypane piaskiem zapomnianej, wzgardzonej mogiły samobójcy...

Zapalony do sprawy, dźwigającej się powoli ojczyzny, pojechał Kleist do Pragi Czeskiej, aby się na miejscu doczekać skutków oręza austriackiego, mierzącego się właśnie z Napoleona potęgą i geniuszem. Nadzieje zawiodły poetę. Podumawszy i rozplakawszy się na pobojo-wisku pod Aspern, udał się do Berlina w r. 1810, gdzie został do końca niewielu już dni swoich.

Przybył do Berlina, jak przed pięciu laty do Poczdamu: chory, zgnębiony i ubogi. Zawiodły go wszystkie nadzieje i rachuby: kochanka poszła za innego, czasopismo upadło, dramata nie przynosiły nic, sława odwróciła się od niego, rodzina odmówiła pomocy pieniężnej; do-kądkolwiek spojrzął, wszędzie ciemno, ciemno i smutno. Zasłonił dłonią oczy i myślał o śmierci. Na co mi żyć, kiedy nie jestem nikomu potrzebny?... Czyli na to, aby mi pierwszy z brzegu nędznik dziennikarski mógł powiedzieć, że jestem niedołą, nie umiejącym nawet na powszedni zarobić chleb? Czyli na to, aby mi najmniejszy z rodziny urągał, wołając: chciałeś być wielkim, a nie masz czémbyś cielsko nakarmił? Bo nędza siadła już na biurku poety, pokazując mu długie, zgłodniałe zęby i dozgonną grożąc wiernością. Nie, nie! Duma junkra pruskiego wspinała się przeciw takiemu poniżeniu. Syn rycerski nie lękał się śmierci, bo on pochodził z krwi tych, co kładli życie swoje za sławę rodu i ojczyzny.

Kleist stukał do teatrów berlińskich. Nie przyjęto jego prac, bo romantycy opanowali już scenę niemiecką; więc klaskano Werner'owi, zapalano się jeszcze retoryką zgasłego niedawno Schiller'a, ale nie smakowano w realizmie Kleist'a. On powinien się być dziś urodzić, on wyprzedził czas o lat pięćdziesiąt; dziś uwieńczonoby dumną skroń jego wieczny zielonym wawrzynem, dziś też stawiają mu Niemcy pomnik. Ale wówczas wolano fatalistów i romantyków skończonych, czém Kleist nigdy nie był.

Słabe światełko zabłysnęło znów na pozbawionym poety widno-kręgu. Baron Fouque i von Arnim założyli czasopismo „Abendblätter“, wezwawszy Kleist'a do współredakcyi. Tu umieścił dwie nowelki: „Das Bettelweib von Locarno“ (Żebraczka z Lokarno) i „Die heilige Cäcilie“ (Święta Cecylia). W pracach tych odbija się już rozdarta, strzaskana dusza autora. Jasna i plastyczna dawniej proza jego, staje się teraz dziwaczną mieszaniną napuszonych frazesów, a trzeźwe pojęcie giną pod tkanką pesymizmów i mistycyzmów.

Rząd pruski rozpisuje konkurs na dramat patryotyczny. Kleist siada i pisze nietylko najlepszą swoje, lecz w ogóle najznakomitszą pracę sceniczną z epoki romantycznej „Prinz von Homburg“ (Książę z Homburga); ale nie jemu, ulubieńcowi nieszczęścia, gonić za uśmiechem fortuny. Sędziowie nie przyjmują dramatu, nie wiedząc, że orzeczenie ich jest wyrokiem śmierci dla biednego autora. Była to jego ostatnia nadzieja. Teraz dojrzała w nim myśl samobójstwa, z którą się już od roku nosił.

„Książę Homburski, dzielny wojownik, dowódzca jazdy, rozko-
chuje się w wychowance swego opiekuna, kurfirsta brandenburgskiego. Miłość do Natalii, księżniczki Oranien, sprawia, że się przytomny dotąd żołnierz, staje rozrzuconym i nieuważnym marzycielem. Szwedzi stoją przed bramami Berlina; kurfirst wysyła wojsko przeciw najeźdźcom. W przeddzień bitwy rozdaje sam monarcha generałom swoim rozkazy dzienne. Lecz w zamkowej sali, w której się apel odbywa, znajduje się także Natalia. Wpatrzony w nią książę homburski, nie słucha, więc nie wie, jakie stanowisko oddziałowi jego przeznaczono. Zamiast czekać, aż pułkownicy: Hennigs i Truchss Szwedów odeprą, rzuca się podczas bitwy natychmiast na wroga, stanowczą zadając mu klęskę. Przyczynił się głównie do zwycięstwa, lecz przestąpił karność wojskową. Zwycięzcy należy się wieniec, a nieposłusznemu oficerowi haniebna śmierć. Sam kurfirst oddaje swego wychowanka pod sąd wojenny, a sędziowie wyrokiem stosownie do przepisów praw krajowych. Książę siedzi bez troski w więzieniu honorowym, mniemając, że sobie opiekun z niego żartuje. Lecz kiedy mu donoszą, że już grób kopią i szafot stawiają, wtedy traci młody wojak równowagę, a nawet poczucie godności osobistej i śpieszy do żony kurfirsta z prośbą, aby się za nim wstawiła. Biegąc przez park, widzi przygotowany dla siebie grób. Widok ten przeraża go i druzgocze odwagę żołnierza. Pada do stóp swęj opiekunki i błaga ją o życie. Bo... świat boży, matko, jest tak piękny! Nie dozwól, błagam, aby mnie strącono między czarne nicości cienie, zanim godzina moja wybije. Jeśli zbłądziłem, niech mnie monarcha w inny sposób ukarze. Dlaczego mam koniecznie zaraz życiem błąd mój przypłacić? Niechże mnie pozbawi tytułów i urzędów, niech mnie wydali z armii, jeśli tego prawo wymaga. Boże niebieski! Od czasu, kiedy widziałem grób dla mnie przeznaczony, nie pragnę już niczego krom życia, nie troszcząc się wcale, czy ono zaszczytném będzie.“ Tak woła dzielny wojownik, przywykły do śmierci, z którą się nieraz potykał. Stchórzywszy, poniża się nawet przed kochanką, prosząc i ją o pośrednictwo. Dopiero, kiedy wrócił do więzienia i zastanowił się nad znaczeniem wyroku, uznaje jego sprawiedliwość, spokojnie i przygotowuje się z poddaniem na śmierć. Chęć zginąć przykładem dla potomnych. Niech wiedzą, że nawet bohaterowi nie wolno omijać praw krajowych. Lecz teraz staje całe wojsko pruskie przed monarchą i prosi o ulaskawienie księcia. Kurfirst daje

się przebragać, a nawet ozdabia nieposłusznego zwycięzcę złotym zastugi łańcuchem.“

Przedewszystkiemi zadziwia, że człowiek pasujący się już ze śmiercią, więc roznerwowany do najwyższego stopnia, mógł sobie tak jasny, tak trzeźwy wybrać przedmiot. Gdyż chyba trzeźwym będzie pomysł, zawierający starcie się obowiązku żołnierza z swawolą młodości. Powtóre zadziwia, że sędziowie pruscy nie uwieńczyli tego dramatu. Boć pomysł jego, to apoteoza owój dźwigni moralnej, która z Prus, z małego księstwka zrobiła wielkie cesarstwo. Obowiązkowość i karność, oto tajemnica wielkości dzisiejszych Niemiec. Kleist rozumiał dodatni czynnik charakteru swego narodu, a sercem jasnowidzącem przeczuł, że od niego przyszłość państwa zależy. Rząd chciał dramatu patryotycznego. Mógłże być jakikolwiek inny pomysł więcej narodowym, więcej pruskim? Fiat justitia, pereat mundus! wołają sędziowie pruscy. Zgiń, a pekn to, co do ciebie należy, uczą rekruta podoficerowie. Porządkiem i karnością stały Prusy od początku, porządkiem i karnością pobiły Austryą i Francją: to ich potęga moralna, to ich rzeczywiście dodatni i piękny rys. A Kleist ukazał tę siłę w chwili, kiedy była najwięcej potrzebna. Porządkiem bowiem tylko i karnością pozbedzicie się Napoleona, wyzwalając się z hańbiącej niewoli. Mógłże być jakikolwiek inny dramat więcej patryotycznym z stanowiska pruskiego? powtarzamy. Nie; a przecież i téj pracy nie uznano... Są czasem ludzie, których nieszczęście już w kołyse ukochało. Do takich nędzarzyw należał podobno i Kleist. Rób, co chcesz... wszystko wyjdzie ci na złe.

Pomysł „Księcia homburgskiego“ przynosi autorowi zaszczyt. W owych czasach nie zdobył się nikt na taką kompozycją. On jeden widział jasno i znał przyszłe narodu swego drogi.

Po trzecie zadziwia, zkąd epigonowi „oświeconych“, a wychowawcowi romantyzmu tak realistyczny pomysł. O „obowiązku“ w owym czasie nikt nie myślał, a jeszcze mniej o poświęceniu osobistych zachcianek na rzecz dobra publicznego. Romantycy wisieli gdzieś w powietrzu, kędy nie ma praw i rozkazów; romantycy gardzili przedewszystkiemi „porządkiem“ i tym podobnemi cnotami „tłumu.“ O wartości i zawartości charakterów ludzkich nikt nie mówił, bo „genialność romantyczna“ polegała właśnie na pogardzie wszelkich przepisów. „Rozzochrane, rozplakane piękne dusze“ pokutowały długo w literaturze niemieckiej. Widzimy je w powieści „Młodych Niemców“ (Die Ritter vom Geist), spotykamy się z niemi nawet na samym progu najnowszych czasów (Problematische Naturen, 1860—1862 r.). Kiedy Spielhagen zawołał w r. 1863 (w powieści „In Reih und Glied“): „minęły czasy, w których odważny junak na własną rękę całe królestwa zdobywał, osobistą walecznością najkrwawsze rozstrzygając bitwy; skonał rycerz średniowieczny, nie chcący uznać pana nad sobą, stał się upiorem i romantyk, rycerz ducha, człowiek zagadkowy, bo nad nowoczesnem państwem cywilizowanem stoi nieubłagane fatum, któ-

remu na imię: prawol“ Wtedy przyklasnął mu cały naród, widząc w tej idei gwiazdę, wiodącą bezwiednych rozbitków do jasnego celu, a przecież wygłosił to samo pięćdziesiąt lat przedtem Henryk von Kleist, a nie było, gdyby mu za to dłoń uściśnął, choć głos jego zabrzmiał w czasach, które go zaprawdę potrzebowały. Okoliczność ta przemawia za pierwszorzędnym geniuszem poety, który wyprzedził swój czas o pół wieku, zostając wśród ciemności romantycznych, nawet na kilka tygodni przed straszliwą śmiercią—sobą.

Układ sceniczny dramatu wytrzymuje najwybredniejszą krytykę. Po wzorowej ekspozycji (wydawanie rozkazów dziennych) biegnie czynność szybko naprzód, łamiąc się w punkcie kulminacyjnym (scena w więzieniu), aby się ku katastrofie stoczyć; wspaniałe dekoracje: sale zamkowe, pole bitwy, namioty, więzienie, wojsko, brzęk, szcęk broni i t. d. urozmaicając koloryt całości. Charakterystyka „Księcia homburskiego“ jest jeszcze lepsza, niż w „Kasi z Heibronu;“ tak samo język i wiersz. Słusznie nazywa Brandes dramat ten najlepszą pracą sceniczną z czasów romantyzmu ¹⁾. To samo zdanie podzielają prawie wszyscy nowocześni krytycy.

Tylko rysunek samego księcia, bohatera dramatu, nie domaga w jednym miejscu. Wojak łamie się, jak słaba niewiasta na widok wykopanego już grobu. Widok to nie wesoły, bezwątpienia, zwłaszcza, gdy się liczy dwadzieścia kilka lat życia, a jest się bohaterem i rozkochanym. Inna też sprawa umrzeć na polu bitwy wśród dźwięku trąb i dział odgłosu, gdy krew zagra, a cała istność człowieka zbiegnie się w odważnym sercu, a inna od kuli, którą się naprzód widziało. Kaci wielkich miast mogą poświadczyć, że najzuchwalszy zbrodniarz zadrży na szafocie przed samą egzekucją, a co się zwykle o heroizmach pod szubienicą pisze, nie zasługuje na wiarę. Kat paryski opowiadał, że w czasie długiej jego a częstej praktyki, nie stracił jedyny Orsini przytomności przy egzekucyi. Być może, że Kleist, noszący się z myślą o samobójstwie, przygotowujący się właśnie do dobrowolnego szafotu, chciał uwydatnić zwykłą przesadność przedśmiertnych bohaterstw skazańców; być może, że to jego serce wołało: Ojcze Niebieski, od czasu, kiedy widziałem własny grób, nie pragnę nic krom życia, nie pytając, czy ono zaszczytne! Psycholog empiryczny nie potępi go też wcale za uwydatnienie zupełnie uprawnionego strachu, który obezwładnił młodego księcia, gdy ujrzał, że już grób dla niego kopią; lecz estetyk, żądający słusznie, aby artysta nawet słabość ludzką upięknił, powie: nie mam nic przeciw bojaźni księcia homburskiego, lecz nie mogę na to pozwolić, aby się poniżał przed ludźmi, zwłaszcza przed kobietami. Niech się przed sobą skarży, niech się łamie i druzgocze (w monologu); lecz w obliczu kochanki powinien zwycięzca bitew zachować godność mężką.

Oprócz niejednostajnego rysunku głównego charakteru, psuje druga okoliczność harmonią całości, rażąc głównie nowoczesną kryty-

¹⁾ G. Brandes, jak wyżej, t. II od str. 336—358 o Kleiście.

kę. Żyjąc teraz ciągle z romantykami, przejął od nich Kleist część ich gustów. Wprawdzie nie widzimy już w „Księciu Homburskim“ tyle dekoracji i draperji, przyjętych w owym czasie, jak w „Kasi z Heilbronu,” lecz pozostały w nim jednak ślady pobytu poety w Dreźnie. Książę jest lunatykiem, sentymentalnym marzycielem i występuje jako taki dwukrotnie: na samym początku dramatu i przy samym końcu. Dwie te wady sprawiły, że nie możemy ostatniego utworu Kleist'a zaliczyć do rzędu dzieł klasycznych; wszakże zostaje „Książę Homburski” mimo nich, najlepszą pracą sceniczną z czasów romantyzmu niemieckiego.

Kiedy współcześni i tój pracy nie uznali, obliczył się poeta z mar-ném życiem: nie dałś mi nic, precz z tobą—*p a t e t j a n u a, e x i!*

Chodziło teraz tylko o zewnętrzny powód do samobójstwa. I ten się znalazł. W Berlinie poznał się Kleist z ekscentryczną kobietą, nazwiskiem Henryka Vogel, której się uwidziało, że cierpi na jakąś nieuleczalną słabość piersiową. Pewnego razu, gdy się Kleist u niej znajdował, zaczęła się skarżyć na smutne swe życie, mówiąc: gdybym wierzyła, że są dziś jeszcze odważni mężczyźni, zaniósłabym do pana wielką prośbę.—Powiedz pani, czego żądasz, a uczynię—odrzekł poeta.—Daneś słowo, więc zabij mnie! Kleist machnął ręką i odparł:—uczynię, bo przywykłem dotrzymywać danego słowa.

I nie zawiódł proszącęj. Dnia 20 listopada 1811 r. wyjechał z panią Vogel najętym powozem z Berlina, w okolice Poczdamu, do małej miejscowości Wansee. Tu przepędził z przyjaciółką cały dzień, czytając i dowcipkując swobodnie. Nazajutrz, koło południa, poszli za wioskę, nad brzeg jeziora. Padły dwa strzały; kiedy ludzie nadbiegli, leżała pani Vogel na ziemi z przeszytém kulą sercem, a Kleist klęczał obok niej z przestrzeloną skronią. Nie żyli już oboje. Pochowano ich na miejscu dokonanego samobójstwa. Bülow opowiada ¹⁾, że Kleist przed wielu laty tędy, jako młody oficer z kolegami: Rühle'm i Phuel'em konno przejeżdżał; stanąwszy na tém samém miejscu, rozprawiał poraz pierwszy w życiu o samobójstwie, omawiając najwygodniejszy rodzaj dobrowolnej śmierci...

Tak zginął najznakomitszy poeta epoki romantycznej i jeden z największych dramaturgów ludzkości. Krew jego spada w połowie na rodzinę, a w połowie na obojętność współczesnych, bo choć się Henryk von Kleist urodził epigonem oświeconych, choć błądził i szukał, jak wszystkie talenta owego czasu, miał jednak w sobie tyle oryginalnych zasobów, że mógł się wyzwolić z pod obłądów romantyzmu i pójść własną, nieutartą drogą. Odrobina ciepła rodzinnego i garstka liści wawrzynowych byłyby go ocaliły. Skonał marnie w kwiecie wieku męskiego, w 35 roku życia, w chwili, kiedy się ostatecznie przetrawił, do samodzielniego zabrawszy się lotu.

Pięćdziesiąt prawie lat leżał w samotnej mogile, nieznanym i zapo-

¹⁾ Bülow, jak wyżej, str. 53.

mniany. Niedawno dopiero odgrzebał ktoś jego dzieła, a nowoczesna krytyka zdziwiła się wielce, ujrawszy w utworach wzgardzonego przez współczesnych pieśniarza, talent pierwszego rzędu. Teraz dopiero zajęto się rehabilitacją nieszczęśliwego poety. Dziś należą jego dramata do ulubieńców publiczności teatralnej, a naród stawia autorowi „Bitwy Armina“ spóźniony pomnik 1)...

Niechże słów tych niewiele, rzuconych ręką a odczutychem sercem pisarza innego narodu, przyczynią się do rozjaśnienia duszy samobójcy, jeśli jest jakie połączenie między tym a tamtym światem....

V.

Epigoni romantyków—tak zwana szkoła historyczna (Immermann, Platen, Eichendorff, Schenk, Uechtritz, Auffenberg, Halm, Beer, Raupach, Grabbe).

Rok 1820! Prawdziwi i domniemani panowie teatru niemieckiego albo odpoczywają już w mogiłach po pracy burzliwego życia, albo usunęli się zupełnie z widowni publicznej. Nie ma już fabrykantów teatralnych: Schröder'a † 1816, Iffland'a † 1814 i Kotzebue'go † 1819; skonał prawdziwy mistrzowie: Schiller † 1805 i Kleist † 1811; zeszedli z tego świata i drugorzędni, jak Collin † 1811 i inni, a hulaszczy Werner dogorywa w Wiedniu, zamieniwszy się na zapalonego głosiciela słowa Bożego. Z starszych wicherzy jedyny Müllner po scenach Germanii, strasząc ludzi „winami i bezwinami” ojców.

Na deskach, które mają świat przedstawiać, występują teraz nowi ludzie, a wychowawcy tych, co wrócili do ziemi... nie pogodziwszy się z życiem, lub odurzywszy się sztucznie słodkawym wyskokiem rezygnacji. Dzieci to zamętu pojęć, zrodzone wśród ciemności, co zaczęły już w pierwszych latach bieżącego stulecia ogarniać zrazu ufny w siebie romantyzm; synowie to zwątpienia, rozdarcia i bezwiedzy. Kołyski ich nie ozłacały nawet ostatnie blaski zachodzącego słońca klasyków, młode ich serca nie rozkoszowały pamięcią bezpośredniej a tak świetnej przeszłości: mrokiem owiani przyszli na świat i w ciemnościach będą błędzili do śmierci. Czują oni wszyscy potrzebę nowego kierunku, jaśniejszego celu; wyciągają wszyscy ramiona do zakrytego jutra; szamocą się, męczą, krwawią pierś, lecz daremnie, bo przeznaczone im, dzieciom epoki przejściowej, pójść przez całe życie z przepaską na oczach. Nie przewidzą...

Nie przewidzą, bo jasnowidzenie nie jest rzeczą oka ludzkiego, choć się rozum pysznie panem wszechświata mieni, przysądzając tak zwanym geniuszom wzrok daleki, a przenikliwy; nie rozwiną skrzydeł

1) W najnowszych czasach zajmuje się szczegółowo dziełami Kleist'a dr. Zolling, redaktor berlińskiej „Gegenwart.“ Kleist napisał także nowellę większych rozmiarów p. t.: Michael Kohlhaas.“

szeroko do wspaniałego lotu, bo pierś ich nie podnosi się, dźwigana za-
pałem ideałów, bez czego nie ma poety.

Klasykom przyświecało słońce postępu, więc śpiewali podniośle,
dopóki wierzyli. Romantycy mieli ideał narodowy, więc zostawili po
sobie obok stosów makulatury bardzo wiele cennych pamiątek i począ-
tkowań: legendę w nowej szacie, cudowną lirykę, zapalistsą pieśń wo-
jenną, początki późniejszego patryotyzmu i językoznawstwo niemieckie.
Słońce „oświeconych” zaszło krwawo w brutalizmie rewolucyi francuz-
kiej, a ideał romantyków, wcielony pozornie w czasach wojen o niepo-
dległość, skonał z żalu, gdy te walki narodom nic nie przyniosły. W r.
1820 rozlegało się w Niemczech ponure milczenie i głuche, niemocne
zapanowało osłupienie. Wszystkie podstawy rzeczywiste runęły; filo-
zofia, poezya, historia, polityka i stosunki społeczne, skończyły w zu-
pełnej bezradności. W takich czasach napomina krytyka daremnie:
nawróćcie się, albowiem błędzicie! Płonne to wołanie, bo zasadniczych
epok pochodzenia myśli ludzkiej nie tworzą śmierć. Początkowanie
nadchodzi z nieznanymi krainami, tkwiąc w siłach żywotnych tego lub
owego narodu, idąc dalszym następnikiem przyczyny, odwieczne sku-
tkiem brzemiennej, którą dopiero wtedy widzimy i rozumiemy, gdy wy-
dała owoc. Ludziom dano tylko podjąć myśli bieżące, rozszerzyć je,
pogłębić i przywłaszczyć sobie, a kto tego dokonał, bywa nazywany
genialnym człowiekiem. Jasnowidzenia, objawienia i tym podobne
nadprzyrodzone czynności, nie są rzeczą jednostek, choćby najwięcej
uzdolnionych.

Niesłychany chaos, jaki zapanował w literaturze niemieckiej,
a głównie w dramacie po r. 1820, tłumaczy się w znacznej części nie-
sprzyjającymi okolicznościami. Bo poezya, to kwiat, któremu słońca
potrzeba i woni i ciepłych oddechów swobody; albo—orzeł, syn stra-
szliwej walki epok wybitnych, unoszący się dumnie skrzydłem nad
„strefami ulewy i grzmotu.” Wielkiego światła jęj potrzeba, lub sil-
nych wrażeń. Tylko w blaskach potęgi Augustowej wygrzewający się
Horacyusz mógł pysznie zawołać: nil mortalibus arduum est! tylko
sławne, wołę ludu szanujące Ateny wydały trójcę nieśmiertelnych tra-
gików; Szekspir stoi na gruzach zdruzgotanego w Anglii feudalizmu,
Lope de Vega i Calderon de la Barca pomnażają świetność szczęśliwej
Hispanii, Corneille i Racine tworzą pod silnym berłem Ludwika XIV,
a Goethe, Schiller, Byron, Mickiewicz, Słowacki i Puszkina, idą z wiel-
kiej, ufniej w potęgę swą epoki przewrotów duchowych. Blasku lub
wrażeń, ideału lub walki potrzebuje artysta, marniejąc w dusznej atmo-
sferze obojętności, lub zbytniej pokory.

Niemieccy historycy literatury kładą zbyt mały przycisk na sto-
sunki zewnętrzne, tłumacząc stan tej lub owej epoki prawie jedynie
ustrojem umysłowym samych autorów. Z takiego uzasadnienia prze-
mawia jeszcze pycha Hegla (samowładztwo rozumu), z którego szkoły
wyszli uznani dotąd estetycy Niemiec. Nowsze czasy, które obniżyły
bardzo znacznie samodzielność jednostki, określiwszy wyraźniej szcu-

płe granice jęj działalności, powinny zbadać dokładnie grunt, czyli okoliczności zewnętrzne, będące tém samém dla talentów, zwłaszcza artystycznych (wrażliwych), czém klimat i formacja ziemi dla rośliny. Bo epoki literackie nie są wcale wytworem jednostek, lecz narodów, a czasami nawet całej ludzkości, do której się swobody, dozwolone osobnikowi, podobno nie odnoszą ¹⁾.

Samo się przez się rozumieć, iż nie będziemy rozbierali po szczególe wszystkich epigonów romantyzmu ²⁾, bo taka dokładność przechodziłaby granice pracy, utrzymanej w tonie poglądowym. Krótki rozbiór działalności literackiej nasamprzód Karola Immermanna, wykaże zupełny upadek teatru niemieckiego między rokiem 1820 a 1840.

Karol Immermann (1797—1840) słuował po skończeniu wojen o niepodległość, w których brał udział, prawną w Halli. Zdawszy przepisane egzamina, został radcą sądu w Düsseldorfie, gdzie do śmierci wytrwał, przerywając karierę urzędniczą tylko na cztery lata, krótko przed śmiercią (1833—1837). W czasie tym zajmował się bowiem wyłącznie dyrekcją teatru düsseldorfskiego, który chciał zamienić na „scenę wzorową” (Musterbühne) w rodzaju wajmarskiej. Lecz usiłowania jego w tym kierunku rozbiły się w końcu o brak pieniędzy.

¹⁾ W jakim stopniu wpływy czasu działają na koloryt epok literackich, niechże nam pomoże statystyka wyświecić. I tak: rodzą się wszyscy autorowie, zajmujący w romantyzmie wybitne stanowisko, w przeciągu dziecięciu lat, mianowicie między r. 1772—1782, więć lata ich młodości (kształcenia się) przypadają na drugą połowę klasycyzmu, na czas zachodu słońca „oświeconych,” między r. 1780—1800. Mianowicie: Schlegel, Novalis i starszy Collin rodzą się w r. 1772, Tieck Ludwik 1773, Müllner 1774, Schelling 1775, Hoffmann, Görres i Kleist 1776, Brentano Fouqué i Adam Müller 1777, Collin II 1779, Solger 1780, Arnim i Chamisso 1781 r.

²⁾ Odtąd powierza się autor własnemu sądowi i samodzielnym studjom, gdyż naukowe źródła kończą się z r. 1820. Znakomita „Historja poezji niemieckiej” Gervinusa, doprowadzona tylko do upadku romantyzmu, pomija przy końcu V-go tomu nowszą literaturę, radząc sztuce niemieckiej odpoczynek. Historje literatury niemieckiej XIX wieku Juliana Schmidta i Rudolfa Gottschalla, będące dotąd jedyném źródłem pierwszorzędnego znaczenia, dochodzą wprawdzie do r. 1860, lecz są tak nie poglądowo, tak nie systematycznie napisane, że nie mogą nikomu służyć za drogowskaz. Nie ma w nich żadnego ugrupowania autorów, ani stałego podziału epok. Drugorzędne zaś dzieła Teodora Mundt'a i Henryka Laube'go, są w samym układzie zgóry chybione. W najnowszym czasie (1881 r.) wydał Ludwik Salomon „Historja literatury niemieckiej” (Geschichte der deutschen Nationalliteratur des XIX Jahrhundert, Stuttgart, Levy et Müller); lecz mimo głośniejszej reklamy nie zasługuje praca ta na uznanie, nie dając wcale świeżych poglądów. Historji zaś „dramatu niemieckiego” (po szczególe) nie ma wcale literatura niemiecka. Dzieło Roberta Prutz'a kończy się z Schiller'em, a Kehrein'a praca jest prostym spisem nazwisk i tytułów.

W roku 1821 wydał pierwszą swą tragedya: „Die Prinzen von Syrakus” (Książęta Syrakuzańscy); w r. 1822 trzy następne razem: „Edwin;” „Das Thal von Ronceval” (Dolina Ronsewalska) i „Petrarca;” w r. 1823: „König Periander und sein Haus” (Król Periander i jego dom); w r. 1824: „Das Auge der Liebe” (Oko miłości); w r. 1826 „Cardenio und Celinde” (Cardenio i Celinda). Cała jego działalność teatralna od r. 1820—1826 należy do epoki romantycznej. Streszczenie ostatniego dramatu, mającego swego czasu niezwykle powodzenie, wykaże, do jakich wyników doszły mistycyzmy romantyków.

„Cardenio, młody Hiszpan, student Akademii bolońskiej, kocha Olympią, Lyzandra piękną małżonkę. Olympia była niedawno narzeczoną Cardenia: mieli się pobrać; lecz wiosenną ich miłość zakaziła brzydka wieść. Bo oto opowiadają sobie kumoszki w mieście, że widziano w komnacie Olympii nocną porą mężczyznę. Cardenio, dowiedziawszy się o tém, zrywa gwałtownie nić łączącą serce jego z sercem Olympii, czyli, prozaicznie mówiąc, porzuca narzeczoną. Wtedy, brniąc swój czeć, wychodzi Olympia za Lyzandra, urzędnika, którego dawniej znieść nie mogła. On-to bowiem był owym mężczyzną. Kochając się w Olympii, a częstowany kilkakrotnie koszem, postanowił ją pojąć, choćby przez zdradę. Zakradł się więc rozmyślnie do komnaty dziewczyny, udając, cieniami nocy zasłoniony, ukochanego Cardenia. Dopiero po ślubie dowiaduje się Olympia o tym podstępie. Poinformowany o zdradzie Cardenio, postanawia zemścić się na Lyzandrze.

„W Bolonii mieszka druga dziewczyna, nierządnica, Celinda, zakochana w Cardeniu. Sprzedaje ona wdzięki swego ciała każdemu, kto za nie płaci, lecz serce jęj zostaje własnością nie kochającego ją studenta. Celinda dowiaduje się, że Cardenio postanowił Bolonię opuścić. Jak go zatrzymać? Nierządnica rozpacza. W tej biędzie zwierza się słudze swęj, staręj Tyche i prosi ją o pomoc. Ciota zna sposób na wywołanie miłości: oto trzeba mieć serce kogoś, miłującego Celinę, to serce trzeba spalić, zażegnać, a zaprawiwszy popiół pewnemi ziołami, podać miksturę do wypicia temu, którego się pragnie w sobie rozkochać.

„Między licznymi wielbicielami Celindy pała Marcellus, rycerz maltański, wielką do zalotnicy miłością. Jego więc serce trzeba koniecznie dostać. Nadchodzi Marcellus. Na progu przyjmuje go Tyche, prowadzi go do osobnego pokoju, sadza go na krześle, zawiązuje mu oczy chustką, opowiadając zdziwionemu rycerzowi, że sobie Celinda tego zyczy. Tyche bierze sztylet, zabija Marcella i przyrządza z jego serca opisany wyżęj napój miłosny. Gdy i Cardenio nadszedł, drażni czarownica zmysły studenta opisywaniem wdzięków Olympii. Wśród tego opowiadania robi się studentowi gorąco, więc prosi o wodę. Tyche podaje mu swą polówkę, która natychmiast skutkuje, bo zaledwie się Cardenio napił, juźci pyta: co porabia „ukochana“ Celinda? Tyche prowadzi go do swęj pani. Wychodząc po namiętnęj godzinie od Celinidy, mija student dom Lyzandra. Zabiję zdracę! woła. Czatuje na

męża Olympii, a zamordowawszy go, zatyka miecz swój we drzwiach domu Lyzandrowego.

„Cardenio i Celinda zbrodnią złączeni, chcą razem z Bolonii uciekać. Już świta poranek, trzeba się spieszyć. Cardenio wychodzi na ulicę, badając czy go policya nie szuka, lecz nie stróż bezpieczeństwa, tylko upiór Lizandra drogę mu zastępuje. Przerażony, wpada Cardenio do mieszkania Celindy. Dziecinny jesteś, przywidziało ci się!— mówi kochanica, i wychodzi sama przed dom, lecz zastaje tu widmo Marcella. Pada nieżywa, zabita przestachem; Tyche umiera na stole; Cardenio chwytyany przez siepaczków, odbiera sobie życie.“

Pomysł téj strasznej tragedyi należy jeszcze do rodzaju dramatu fatalistycznego. Winę rzeczywistą rodu, zbrodnię lub przestępstwa, spadające klątwą na niewinnych potomków, czyli motyw etyczny zastępuje tu chemia, bo inaczej nie można nazwać siły, działającej w polewce, przyrządzonej przez Tyche. Fatum więc etyczne romantyków zamienił epigon na powód bezrozumny, czyniący rozumnie. Od takiego lub innego napoju zależy życie kilku ludzi.

Do zwaryowanego fatalizmu dodał Immermann sporą dawkę strachów, duchów i odrobinę Calderona (Lekarz swego honoru, odnośnie do owego nocnego napadu Lizandra) a zmieszawszy to wszystko należycie, zubożył literaturę niemiecką tragedją, którą swego czasu oklaskiwano, którą tak bystry umysł, jak Börne, zaszczycił obszerną, a... pobłażliwą oceną ¹⁾. Rzeczywiście, nie wiadomo, komu się tu więcéj dziwić, czy autorowi, czy krytykowi, czy publiczności. Zdaje się, że zdziwienie nie będzie w tym razie odpowiednie, lecz smutek nad niedołęztwem człowieka w ogóle.

Immerman był w życiu człowiekiem trzeźwym, rozumnym. Jako urzędnik pruski, przywykł do porządku, do systematyczności; jako natura szorstka, wcale a wcale „nie romantyczna,“ nie mógł oczywiście wierzyć w gusta, które w „Cardeniu i Celindzie“ uplastyczniał. O zwyczajny fabrykat teatralny, strojący z gustami owego czasu, nie możemy go jednak posądzić, bo wiemy z późniejszych, zwłaszcza epicznych prac jego, że nie był pospolitym „bibułorobem,“ lecz że pracował z wiarą w posłannictwo sztuki. Tak więc potężny jest wpływ czasu, że obezwładnia nawet jasne i trzeźwe umysły.

W czasach upadku wielkich epok literackich, wyrabiają się zwykle dwa krańcowe odcienia. Pierwszemu chodzi o jaknajmożliwszą grozę treści, drugiemu o jaknajwyciekszą formę (przesada myślowa i formalna). Słuszność tego twierdzenia sprawdza nie tylko historia literatur przeszłości, lecz i dzieje piękna naszych czasów. Epopea rycerska wieków średnich, wspaniała za czasów Gotfryda z Strassburga i Wolframa z Eschenbachu, skończyła misją swą tak samo grozą treści i gładkością formy. Nie inaczej stało się z tak zwanym klasycy-

¹⁾ Börne, jak wyżej, t. I, str. 135—147.

zmem Francuzów, a obecnie dzieje się to samo z realizmem Balzac'a i Flaubert'a (Zola, „Richepin“).

Immerman jest do roku 1826 przedstawicielem pierwszego odcienia. „Cała groza „Hamleta“, „Lira“,“ mówi Julian Schmidt, bardzo dobrze ¹⁾ i „Titusa Andronicusa“ jest niczem w porównaniu z strachami, których autor „Cardenia“ używał.

Jak pijak błądzi Immermann do roku 30 życia w ciemnościach swego czasu. Czuł on bardzo dobrze nierozum rozdziwaczonej fantazyi epigonów romantyzmu, szukał chorobliwie nowych pomysłów, form i celów, był zupełnie przeświadczony o niemocy swęj twórczości (czego dowodem zdania, wypowiedziane w późniejszej powieści „Die Epigonen“), lecz nie umiał nawiązać nici między świetnym wczoraj, a smutnym dziś. Systematyczny jego umysł wspinał się przeciw bezładowi treści i formy, a nie wiedział, jak sobie poradzić ²⁾.

W takich razach chwytają się epigoni z przestrachem tonącego każdej słomki. A właśnie płynęła po morzu myśli niemieckiej nie słomka, lecz potężna gałąź, wyrosła z dodatniej spuścizny romantyzmu. Między rokiem 1823—1829, wytwarza się bowiem nowa nauka historyczna. Hegel mówi o „filozofii historii“, Friedrich von Raumer wydaje swych „Hohenstaufów“, Schlosser „Dzieje powszechnie“, Müller prawi o „Doryjczykach“, Gans o „Rozwoju prawa dziedzicznego“, a Niebuhr rzuca nowe blaski na przeszłość Rzymian. Uradowana poezya, pozbawiona programatu estetycznego, przystaje do historyków, szczęśliwa, że znalazła punkt oparcia.

Zaczyna się teraz tak zwany „dramat historyczny“, którego pierwszym przedstawicielem jest znów Immermann. W tragedyi „Das Trauerspiel in Tyrol“, 1828 (Tragedya w Tyrolu, nazwana później „Andreas Hofer“) staje autor na gruncie nowożytnym. Osnową dramatu jest znane powstanie Tyrolczyków przeciw Francuzom, głównym zaś bohaterem Andrzej Hofer, Wernyhora germański. Przedmiot to bezwątpienia tragiczny.

„Główni buntownicy Tyrolu: Speckbacher, Etschmann, Fallern, Majer, Haspinger, radzą w karczmie Etschmann'a nad nowém powstaniem. Zgodziwszy się na obwołanie Hofera głównodowodzącym, rozchodzą się spiskowcy. W drugiej odsłonie widzimy Hofera przemawiającego do ludu;“ (akt I).

„W drugim akcie odbywa się bitwa między Tyrolczykami a Franzuzami.“

1) Julian Schmidt, jak wyżej, t. II, str. 433.

2) Dowcipnie charakteryzuje go Gottschall: „Immermann robi wrażenie człowieka trzeźwego, który się rozmyślnie upił. Nie goli się, lecz blisa ciągle na brzytwę. Sztuczne zdziczenie jego dramatów jest podobne do przesadnie angliczowanych ogrodów; widuć w nich umiejętną rękę ogrodnika, lecz ani śladu natury.“ Rudolf Gottschall: „Die deutsche Nationalliteratur in der ersten Hälfte des XIX Jahrhunderts;“ Breslau, 1855, t. I, str. 385.

„Trzeci akt, składający się tylko z jednej sceny, rozgrywa się w Wiedniu, w komnacie kanclerza austriackiego, a zawiera rozmowę między tymże a radcą legacyjnym.“

„W czwartym akcie dowiaduje się Hofer, że cesarz austriacki, za którego Tyrolczycy krew przelewali, pozwolił na rozćwiartowanie wiernego mu kraju.“

„W piątym akcie następuje uwieszenie dowódcy przez Francuza Rajnouard'a.“

Zwięźlej osnowy tego dramatu przytoczyć nie można, bo Immermann rozdrobnił i rozrucił zdarzenie historyczne w taki sposób, że się właściwa treść zupełnie zatarała. Kto nie zna historii powstania tyrolskiego, nie dowie się jej z dramatu. Rzecz miała się tak: dzielny, górski narodek Tyrolczyków, oparł się potędze Napoleona i zniszczył wojsko księcia Gdańska. Ale cesarz Austrii poświęcił małą prowincję dla miłego spokoju. Daremnie przelewali Tyrolczycy krew; układy dyplomatyczne nie uwzględniły ich zwycięstw, a Hofer padł ofiarą gniewu Napoleona i słabości cesarza Austrii. Przedmiot ten nie nadaje się właściwie do kompozycyi dramatycznej, bo braknie mu miny bohatera i budowy piramidalnej. Hofer nie ginie z własnej winy, lecz z powodu niedołęztwa dworu wiedeńskiego. Tragik powinien być albo bohatera uformować do swych potrzeb, albo też wprowadzić na scenę dwór cesarza. W pierwszym razie nie zgadzałyby się tragedia z prawdą historyczną, lecz czyniłyby zadość warunkom dramatu; w drugim razie rozdzielałyby się czynność na dwa prądy, jak w „Lirze“ Szekspira, utrudniając zrozumienie całości; ale utwór byłby przynajmniej odbitką rzeczywistości. Immermann poradził sobie zupełnie inaczej. Zestawił poprostu różne luźne sceny, nie troszcząc się wcale o powiązanie ich i uzasadnienie. Tylko ekspozycja (I akt) i katastrofa (V akt) wytrzymują krytykę; resztę zaś, czyli właściwy dramat (akt II, III i IV), trzeba by dorobić. Nie ma postępującej czynności (II akt), bo bitwa jest już czynem dokonany, a nie zawiązkiem; nie ma punktu kulminacyjnego (akt III), gdyż na takie miano nie zasługuje rozmowa między kanclerzem a radcą legacyjnym, nie zawierająca w sobie, że tak powiemy, żadnych czynników wybuchowych, powodujących spadek czynności ku katastrofie. Wprawdzie czuć już w słowach kanclerza zamiary rządu, lecz w dramacie żądamy starcia się działających na scenie osób, czém dyplomaci tragedyi nie są. Słowem, nie widzimy w dramacie dramatu: ani pomysłu tragicznego, ani układu treści, ani stopniowania akcji, ani ześrodkowania jej w punkcie kulminacyjnym, ani wybuchu w skutek starcia. Ekspozycję i katastrofę wziął autor z historii, nie troszcząc się o rozprowadzenie pierwszej, a uzasadnienie drugiej w samym dramacie. Przepisał dosłownie historię, nie skupiwszy nawet pojedynczych jej momentów zgodnie z warunkami sztuki dramatycznej.

Na domiar, nie starał się Immermann o powiązanie i ujednostajnienie scen. Prawie każda sytuacja rozgrywa się na inném miejscu.

W akcie I widzimy dwie odsłony, w II aż pięć, w III, najważniejszym, tylko jedną scenę, w IV trzy odsłony, w V dwie, więc razem w pięciu aktach trzynaście odsłon. Trochę to zawiele.

Tragedya nie potrzebuje być prawidłowo zbudowanym dramatem, możemy powiedzieć, łagodząc sąd. Bezwątpienia, lecz w takim razie musi być koniecznie czémś inném, np. poematem narodowym, jak „Bitwa Armina“ Kleist’a. Lecz „Andreas Hofer“ Immermann’a nie jest nawet dramatem tendencyjnopolitycznym. Bohatér walczy tylko w imię honoru domu austriackiego (für das heilige Erzhaus Oesterreich), a od takiego pojęcia do nowożytnéj idei narodowój wiedzie daleka droga. Bohatér przemawia słabo, bez natchnienia, wygłasza hasła swe sztywno i sucho jak pruski urzędnik. Słowa Hofera nie mogą nikogo zapalić, dykcya Immermann’a nie rozgrzeje żadnego serca, nie uniesie żadnego młodzieńca, nie przekona ani zapali nikogo. „Tragedya w Tyrolu“ czyli „Andreas Hofer“ będzie więc tylko: suchą, niezręcznie zestawioną kroniką historyczną w formie dramatycznój. To samo trzeba by powtórzyć o dalszych jego tak zwanych dramatach historycznych, o „Fryderyku II“ (Friedrich II, 1828) i o „Aleksisie“ (Alexis, 1832), choć spotykamy się w ostatniej pracy z miejscami nieco podnioslejszemi.

W „Cardeniu i Celindzie,“ jakoteż we wszystkich dramatach Immermann’a, między rokiem 1820—1827, widzieliśmy ostateczne zdziwienie treści romantycznój, dramata zaś „historyczne“ wykazują zupełny rozkład formy, pominięcie najelementarniejszych warunków kompozycyi i sceny. Mimo tych zasadniczych wad, skazujących całą działalność teatralną Immermann’a stanowczo na zapomnienie, miały jednak jego tragedye historyczne rzeczywiste znaczenie. Nasamprzód bowiem odbywają się w nich wyzwoliny z pod mistycyzmu romantycznego. W „Tragedyi Tyrolskiej“ widzimy już tylko resztki „napojów fatalistycznych, objawień, zachwyków nadprzyrodzonych“ i t. d. Wprawdzie miewa jeszcze Hofer prorocze sny, lecz sen a polewka miłosna Tychy, to jednak dwie bardzo różne rzeczy. Powtórze, wraca dramat z historją do czasów nowszych, do wieku XVIII i XIX, czyli, zaczyna się spuszczać z niebios na ziemię. Przeto nie dziwny się, że ówczesna krytyka powitała zwrot ten z wielką radością.

Immermann pracował także jako liryk, lecz bez powodzenia, bo los nie dał mu gorących potoków wewnętrzności. Był to talent oschły, uparty i szorstki. Współczesny Immermann’owi znakomity technik i nadzwyczaj „elegancki“ poeta, hr. Platen, wyśmiał go bardzo zręcznie: „gdzie tylko noga twego Pegaza stanie, wytryska natychmiast wiecznemi nudami płynące źródło; wiersze twoje podobne są do niegrabnych kłoców, a gdy się upijesz, sam się o nie potkniesz.“

Der langen Weile nie versiegender Quell entspringt,
Wo nur den Boden stampfen mag dein Pegazus,

Wie Holperstücke pflanzest deine Verse du,
Auf dass du selbst im Rausche drüber stolperst.

Czterowiersz ten jest znakomitą krytyką na formę i technikę poetycką Immermann'a. Przy końcu życia wrócił autor w dramacie „Opfer des Schweigens,” 1837 (Ofiary milczenia) do kochania swęj młodości, do romantyzmu. Z jego spuścizny literackiej przetrwały go tylko powieści, mianowicie: „Münchhausen, eine Geschichte in Arabesken,” 1838—1839, (Münchhausen, opowiadanie w arabeskach) ¹⁾.

Drugą ofiarą epoki przejściowej jest przeciwnik Immermann'a August hr. von Platen-Hallermünde (1795—1835), poeta nadzwyczaj uzdolniony, mający wszystkie warunki potemu, aby zostać pierwszorzędnym mistrzem. Wykształcony wszechstronnie, obyty w świecie, gorliwy podróżnik i jasna głowa, wystąpił poraz pierwszy na widownię publiczną z wiązką przeslicznych poemacików, znanych pod zbiorowym tytułem: „Die Ghaselen,” 1821. Był lirykiem, epikiem, dramaturgiem, filozofem, a nawet filologiem, bo zajmował się dość długo językami Wschodu. Przeznaczony zrazu przez rodzinę na żołnierza, odbył jako oficer drugą wyprawę przeciw Francji. Po wojnie odpasął miecz i udał się do Erlangen, potem do Würzburga, gdzie słuchał filozofii.

Platen był w pierwszej połowie swęj działalności literackiej romantykiem. Do tego kierunku należą wszystkie jego prace, napisane między rokiem 1820 a 1826: „Der gläserne Pantoffel,” 1823, (Szklany pantofel); „Der Thurm mit sieben Pforten,” 1825, (Wieża o siedmiu bramach), tak zwane dramata legendowe (Märchendrama), uprawiane głównie przez Tieck'a; „Berengar,” 1824, satyra dramatyczna na mieszczaństwo; „Treue um Treue,” 1825, (Wierność za wierność), apoteoza cnót rycerstwa wieków średnich. We wszystkich tych pracach przeważa fantastyczność romantyczna i panuje bezład formy. Platen stoi właściwie poza obreębem, wykreślonym tytułem niniejszej pracy, bo wymienione powyżej dzieła jego nie zasługują na miano dramatów, a lepsze jego utwory teatralne należą do innego gatunku, do komedyi, lecz mimo to, nie wolno go pominąć w historii dramatu niemieckiego XIX wieku. Nie jest on wprawdzie tragikiem, lecz satyrykiem na ówczesną tragedję. I tęto okoliczności zawdzięcza miejsce swoje w dziejach teatru między rokiem 1820—1840.

Publiczność teatralna a historyk dramatu, to zwykle dwie bardzo różne instancje. Publiczność klaska temu, kto gustom jęj, zachciankom i chwilowym schlebia wierzeniom, a historyk pomija modę, zaznaczając tylko te utwory, które całą charakteryzują epokę. Zdala stojącemu, nie wtajemniczonemu dokładnie w historję teatru niemieckiego,

¹⁾ Dzieła Immermann'a obejmują 14 tomów. Wydano je poraz pierwszy w zbiorowém wydaniu między r. 1834—1843: „Immermann's Gesammelte Schriften;” Hamburg und Düsseldorf, 1834—1843, 14 Bände.

zdaje się zapewne, że panami scen pierwszorzędnych, byli przy końcu XVIII a na początku XIX wieku Goethe i Schiller jako autorowie tych prac, które zmienność czasu przetrwały. Mylnie to zdanie. Grano wprawdzie wówczas tragedye Goethe'go i Schiller'a, lecz daleko mniej chętnie, aniżeli „roboty“ Schröder'a i Iffland'a. Tragedye mistyków były przysmakiem, prace zaś fabrykantów powszednim chlebem. Nie Kleist, jedyny prawdziwy tragik romantyzmu, przemawiał ze sceny niemieckiej między rokiem 1800—1820, lecz rzemieślnik Kotzebue. Nie Immermann, Platen i reszta, choć bezwiednych, obałamuconych, lecz przynajmniej posłannictwem artysty przejętych dramaturgów cieszyła się między rokiem 1820—1830 uznaniem publiczności, lecz wyrobownicy: Müllner, Houwald i t. d. Bywało tak zawsze na tym świecie i nie zmieni się chyba nigdy, bo znakomitsi autorowie piszą tylko „dla najlepszych swego czasu,“ zniżając się rzadko do poziomu pojęć przeciętnego widza lub czytelnika. Zanim zaś „przeciętni“ zrównają się z „najlepszymi““ mija zwykle jedno pokolenie.

Wprawdzie przeminęła po roku 1820 pora fatalizmu w literaturze, bo ustały już inne, przejściowe czasy; lecz na scenie pokutowały właśnie między rokiem 1820—1830 przeróżne prababki, przepowiednie, sny i jasnowidzenia. Nieboszczyka Kotzebue'go zastąpił teraz Müllner, a idę fatalizmu Werner'a wyzyskała technika teatralna. Modzie téj hołdowali zrazu nawet lepsi pisarze, jak widzieliśmy u Immermann'a. Zwaryowany fatalizm rozhulał się teraz tak bezgranicznie, że zaczął sobie drwić z elementów zdrowego rozsądku. Prawdziwi pisarze czuli, że potrzeba chłosty na fabrykantów i ręki ogrodnika, któryby wypełł chwasty i zielska. A śmiałkiem tym był właśnie August von Platen. Zaczynając się po roku 1825 literacko przetrwać, dochodząc do samowiedzy po obłędach pierwszej twórczości, która bywa zwykle naśladowczynią motywów bieżących, napisał Platen dwie satyry dramatyczne: „Die herhängissvolle Gabel,“ 1826, (Złowróbnny widelec) i „Der romantische Oedipus,“ 1828, (Edyp romantyczny). Obiedwie prace nie należą właściwie do historyi dramatu, bo nie są dramatami, lecz, charakteryzując koloryt swego czasu, muszą wejść w skład dziejów teatru niemieckiego w ogóle.

„Salome, prababka rodu mieszkającego w Arkadyi, stała się niewinnie powodem do śmierci swego męża. Pewnego bowiem razu siedziała z małżonkiem swym przy wieczerzy, gdy, wtém, spuścił się z powały wielki pajak, siadając na ustach pani. Salome, lękająca się niewinnego zwierzątka więcej, aniżeli... zbrodni i wiarołomstwa, zaczęła straszliwie wrzeszczć. Przerażony małżonek, niosący właśnie do ust sałatę, przechylił się; nieszczęsny widelec utkwiał w gardle: śmierć. Wprawdzie wyszła Salome po zgonie swego małżonka jeszcze trzykrotnie zamąż... z nudów i rozpacz... lecz mimo to nie miała biedna spokój. Gdy siadła przed gotownicą, zapomniała w skutek przesładujących ją zgryzot sumienia umalować sobie drugi policzek; gdy mełła kawę, wyskakiwały ziarenka z maszynki; gdy spoczęła na łące, lub pod

drzewem, przybywał wnet jakiś pies i podnosił nogę, uważając jęj suknię za płot. Taka to straszliwa kara spotkała Salomę za życia za pośrednie przyczynienie się do zgonu męża; daleko gorzej poszło jęj po śmierci. Pokutuje nieboga, poniewiera się po świecie i nie dosięgnie wcześniej spokoju, aż się ostatni wnuk jęj rodu nie zabije owym nie-szczęsnym widelcem. Ale ten prawnuk, owczarz Mopsus w Arkadyi, spłodził już dwónastu zdrowych chłopaków. „Biedna, cóż pocznę, kiedy skończy się moja pokuta! Już wiem co zrobię. Zmyślę, że ukryłam wielki skarb w ziemi Mopsusa pod psią budą. Może się o złoto pokłóćą i pomordują. Opowiem to jakiemu żydowi, a syn Izraela zrobi swoje. Więc ukazuje się w nocy Szmulowi. Szmul jest wprawdzie uczonym Semitą, bo słuchał w Lipsku prawa i nauk moralnych, lecz i uczony żyd zostaje żydem, czyli złota czcicielem. Prababka nie omyliła się. Szmul dowiedziałwszy się o skarbie, zabiera manatki i rusza do Arkadyi. Tu mieszka owczarz Mopsus z żoną Filidą, ojciec dwónastu chłopców. I on słyszał coś o owym skarbie, lecz przekopał daremnie całą ziemię. Szmul, przebrany za handlarza, przybywa do zagrody. Kiedy wyszedł z izby, braknie widelca. Jesito ten sam sprzęt, którym się kiedyś małżonek Salomy zabił. W domu gwałt. Gdzie złowróźbny widelec? Filida biegnie do wójta Damona. Wyślij gońców za żydem, bo on to ukradł widelec. Gońce biegną i nawracają handlarza. Damon poznaje w Szmulu kolegę z ław uniwersyteckich. Szmul opowiada towarzyszowi po co przyszedł. Rozmowę podsłuchuje Syrmio, pomocnik wójta. Widelec znajduje się.“

„Akt II. Przed swoim domem stoi Mopsus i filozofuje. Któż może rozkazywać żądzom, choćby był obywatelem Arkadyi? Daremnie mówi Filida, żona moja, do mnie: używaj życia, a nie bądź chciwcem, bo na cóż przyda ci się majątek na starość, gdy... nogi twe w obwisłych spodniach kruszcć zaczną? Lepiej, żeby nie była tak płodna, bo jeżeli nie przestanie rodzić, będę zmuszony odsyłać jęj dzieci do domu podrzutków, jak to czynił Rousseau z swemi Emilami i Emiliami. Co mi tam po mądrój radzie! Ja potrzebuję pieniędzy dla moich chłopaków. Z domu wychodzi żona: dawaj pieniądze! Lecz mąż nie daje i odchodzi. Zbliża się Syrmio, pomocnik wójta i zabiera się do Filidy. Ona szydzi z niego, lecz gdy jęj gach opowiada, że wie gdzie skarb ukryty, że go znajdzie, wtedy postanawia owczarzowa uciec z Syrmią, zabiwszy poprzednio męża. Syrmio wchodzi do domostwa, lecz wtém wraca Mopsus i chwytą złodzieja na gorącym uczynku, bo pomocnik wójta wydobywał właśnie ukryty skarb z psiej budy. Mopsus, dorwawszy się do pieniędzy, postanawia ruszyć w świat, aby sobie pohulać.

Akt III. Filida stoi przed domem i monologuje. Ona umówiła się z Syrmią, że ukradnie skarb i ucieknie z nim w świat, bo zbrzydł jęj skąpy małżonek. Nadchodzi Mopsus.—Cóżto, deklamujesz? pyta mąż.—Deklamuję sobie, czy mi niewolno? Cały świat jest teatrem, odpowiada Filida.—Lecz i teatr zamienia się teraz na Turcyą, bo zamiast bohaterów, stąpają dziś dzikie hordy po scenie niemieckiej, prawi ow-

czararz.—Cyt, cyt! ucz się tańczyć podług świstawki motłochu i uwielbiaj w pokorze gust dyrekcyi teatralnych, uczy żona. I rozprawiają sobie o wartości dramatu. Przybywa Damon i Syrmio; rozprawa estetyczna toczy się dalej; po chwili odchodzi wójt z pomocnikiem swym, wchodzi i Mopsus do mieszkania, a zostaje na dworze sama Filida. Owczarka monologuje znów, sposobiąc się do zbrodni. Mąż wraca na scenę. Niebo zachmurza się, zaczyna grzmieć, migają błyskawice. Filida stoi za mężem z widelcem w ręku i zabiera się do czynu. Szkoda, że się nie uczyłam anatomii, mówi do siebie, bo wiedziałabym teraz, gdzie najpewniej uderzyć. Gdzież serce? Chciałabym go trafić w samo serce, bo gdybym uderzyła w żołądek, byłby daremny trud. Twardy żołądek mego męża, mógłby widelec strawić, a potem co? Nareszcie, już wymierzyła. Wtém błyska, robi się jasno naokoło i przed Mopsusem staje prababka Salome. Filida upuszcza widelec i ucieka. Wybawiam cię od śmierci, mówi prababka do Mopsusa. Prawnuk zwierza się widmu, że ma zamiar wytepić cały swój ród. Nie żenuj się, mów strach, czyń, co ci instynkt nakazuje. I w nowych tragediach niemieckich mordują autorowie bez miłosierdzia, po krótkim wstępie. Wyrzekłszy to, znika. Mopsus podnosi widelec, wraca do izby i nadziewa na grabki całą swą rodzinę: żonę i dwunastu chłopców. Pozbywszy się w ten sposób niepotrzebnego balastu, zabiera skarb i ucieka z Szmulem, który do niego jako towarzysz podróży przystaje.“

„Akt IV. W akcie tym odbywa się ucieczka owczarza i kilka scen między Damonem a Syrmią, które można opuścić bez zaszkodzenia całości.“

„Akt V. Scena przedstawia zajazd „Pod widelcem.“ Przybywa tu Mopsus, przebrany za Angielkę, z Szmulem, pełniącym przy „zawołowanej lady“ służbę lokaja. Mopsus kładzie się spać, lecz zgryzoty sumienia płoszą z jego powiek dobroczynny sen. Do zajazdu przybiega i wójt Damon. Poszedł on po ucieczce Mopsusa do zagrody owczarza, bo i jemu nie dawał skarb spokoju. Tu zastał całą rodzinę zamordowaną i porzucony na ziemi widelec. Schwyciwszy złowróźbne, krwią zbroczone narzędzie, ucieka i wpada na Syrmięgo. Pomocnik, widząc w dłoni przełożonego widelec, posądza go o zbrodnię. Wójt, przerażony podejrzeniem, ucieka. Oto powód jego przybycia o późnej porze do zajazdu „Pod widelcem.“ Na scenę występuje Mopsus. Ujrawszy w dłoni wójta krwawy widelec, myśli, że Damon wie o jego zbrodni. Chwyta więc widelec i przebija się nim. Wtedy rzucają się: Damon i Szmul na zamkniętą dotąd szkatułę, w której się ów skarb ma znajdować. Rozkuwają pudło, lecz zamiast złota widzą w nim prababkę. Salome wyskakuje z szkatuły. Kłątwa spełnia się: cały ród zginął od widelca; prababka jest wolna. Z radością wzbija się na skrzydłach, aby nareszcie odpocząć w świetlanej krainie przebaczenia i „szczęścia pogrobowego.“

Zdaje się, iż nie potrzeba tłumaczyć, że powyższa osnowa jest satyrą na fatalizm w dramacie. Platen jednak, jakgdyby się lękał, aby

go źle nie zrozumiano, dołączył do każdego aktu komentarz, zawierający parodię treści, lub traktat estetyczny. Po skończeniu czynności każdego aktu, występuje zawsze Szmul jako Chorus i wygłasza sąd autora o współczesnym dramacie. W dodatku tym, chłoszcze Platen wszystkich fabrykantów teatralnych i wygłasza swoje teorye o zadaniu sztuki.

Również zbytecznym byłoby wykazanie za pomocą rozbioru bezwartości „Złowróźbnego widelca“, jako utworu scenicznego. Wprawdzie zachował autor jedność miejsca i akcji, wprawdzie jest satyra ta w porównaniu z „Hoferem“ Immermanna technicznie znakomicie zbudowana, lecz mimo to nie można jej zaliczyć do dramatów. Końcowe komentarze bowiem i gęste uwagi, rozrzucone w samej akcji, jako też przedrzeźnianie grozy tragicznej, nadaje całości z góry cechę pracy polemicznej. Owczarz, filozofujący jak Platen; owczarka, monologująca jak autor; Szmul, wyśmiewający wszystko; sytuacje, drwiące rozmyslnie z zdrowego rozsądku; słowem, satyra od początku do końca pozostanie nazawsze znakomitym pomnikiem literackim (Literaturkomödie), lecz na scenie jest niemożliwą.

To samo znaczenie ma „Edyp Romantyczny.“ Krytyka niemiecka zarzuca Platenowi, że dopuścił się plagiatu w pomyśle, bo satyry dramatyczne pisał już Arystofanes, a w nowszych czasach Tieck. Lecz przesadna ta sumienność skazałaby literaturę w ogóle na śmierć, bo jakież pomysł może się nowym nazwać? Już Sofokles pisał tragedye, już Szekspir obrabiał miłość, zazdrość, przesadę, dumę i t. d., a przecież nie posadzi nikt nowego autora, który sobie te same motywa za przedmiot do dramatu wybierze, o plagiat. Prawdą zostanie, że pierwszy Platen miał odwagę wystąpić jawnie przeciw rozdziwaczonemu fatalizmowi, a fakt ten przynosi autorowi zaszczyt. Pominąwszy tę zasługę, zawierają satyry dramatyczne Platena tyle zalet literackich, że muszą przetrwać nawet niechęć czasów demokratycznych, nie sprzyjających arystokratycznemu autorowi. Język Platena jest tak przejrzysty, tak jasny i wyborowy, wiersz jego dzwoni tak mile lub płynie tak poważnie, a nawet wspaniale, że i najzacieklejszy krytyk musi autora „Złowróźbnego widelca“ nazwać mistrzem formy poetyckiej. Jako wierszopisow i nie zrównał mu nikt z współczesnych.

A przecież mimo bezwzględnego panowania nad językiem i wierszem, mimo jasnego poglądu na obłądy owego czasu, nie umiał sobie Platen osobnego wyrobić stanowiska. Schłostał wprawdzie fatalizm, jedną narośl romantyzmu, wyszydził przesadną, sztywną grozę fabrykowanej tragiki, wykazał dziwactwo retorycznego, manierowanego stylu, a został sam epigonem epigonów „oświecenia.“ Większej, oryginalnej kompozycji dramatycznej lub innej nie stworzył nigdy. Powiedział, jak nie powinno być, a choć rozporządzał znacznymi środkami, nie pokazał, jak powinno być. Duch rozkładu wiał nad nim. Czuł to sam, kiedy się skarżył: chciałem naprawdę większych dokonać rze-

czy, lecz przeszkodziły mi czasy, bo tylko wolny naród godny jest Arystofanesa.

Grössres wollt' ich wohl vollenden, doch die Zeiten hindernces,
Nur ein freies Volk ist würdig eines Aristofanes.

Platen należał do tych autorów, którym nie osładzano życia. Pastwił się nad nim oschły, urzędniczy Immermann, zazdroszczący synowi rycerskiemu swobody, imienia i majątku; znęcał się nad nim młody wówczas Henryk Heine, rzucający się z impertynencją semicką na „arystokratę;“ obrzucali go błotem fataliści. On zaś sam, butny szlachcic, był oficer, nie opuszczał rąk, lecz odcinał się zamasyżycie, rąbiąc, gdy mu się zbyt naprzykrzono, na prawo i lewo. Zmęczywszy się jednak bezpłodną, drobną polemiką, i zrażony coraz większym naciskiem rządów niemieckich, opuścił ojczyznę swą w 30-tym roku życia, w chwili ostatecznego przetrwania, bo po napisaniu „Złowróbnego Widelca“ (1826 r.) i przeniósł się na stałe mieszkanie do Włoch, z kąd już nie wrócił. Umarł tam w r. 1835. Rodzina położyła na grobowcu jego napis: Princeps poetarum germanicorum. Przesadny to oczywiście epitaf, lecz prawdą zostanie, że Platen był najznakomitszym wierszopisem swego czasu ¹⁾. Większa jego praca dramatyczna: „Die Liga von Cămbrai“ 1832 r. należy do rodzaju tragedyi historycznych w owoczesném rozumieniu. Mimo przejrystej kompozycyi i spokojnego, wcale nie romantycznego tonu, jest „Liga w Cămbrai“ utworem epigona epigonów. Braknie w tój pracy siły, rdzeni, w końcu i zamasyżości dykcyi, bo nawet ten wyłączny przedmiot Platena, zmarniał, zwiąkł wśród dusznej owego czasu atmosfery.

Między Immermann'em a Platen'em, między szorstką manierą pierwszego a nadzwyczaj staranną elegancją drugiego, stoi Józef baron von Eichendorff (1788—1857 r.), starający się pogodzić naturalność z sztuką. I on przechodził te same stopnie rozwoju. Przed rokiem 1826 był romantykiem (Krieg den Philistern, 1824 r., Wojna z łykami, dramat legendowy), a w drugiej połowie swego życia pisał tragedye historyczne (Ezzelin von Romano, 1828; Die letzten Helden von Marienburg, 1830; Ostatni bohaterowie malborscy). Eichendorff jest dramaturgiem mniejszego rzędu, dlaczego może być pominiętym bez szkody dla całości poglądu. Palmę poety wywalczył sobie jako liryk, mianowicie jako piosenkarz (Liederdichter). Jego pieśni, mianowicie:

In einem kühlen Grunde,
Da geht ein Mühlenrad i t. d.

albo:

Schlafe Liebchen, weil's auf Erden,
Nun so still und seltsam wird i t. d.

¹⁾ Dzieła Platena wydano poraz pierwszy zbiorowo w r. 1843, tomów 5; drugie wydanie 1847, Stuttgart. Platen był wielkim przyjacielem Polski. Przepiękne jego „Polenlieder“ należą do pereł poetyckich.

rozbrzmiewają po całych Niemczech, głównie zaś w „knajpach“ studenckich. Pierwsza zwłaszcza pieśń o młynie i młynareczce bywa zawsze mile widzianym gościem, gdy „szlachetny sok jęczmienny“ (der edle Gerstensaft) nastroi gardła do głośnego a rzewnego pienia.

Obok téj trójcy, starającej się przynajmniej o stanowisko oryginalne, choć bezskutecznie, walczy cały szereg bezmyślnych epigonów o palmę teatralną. Stanowią oni wszyscy pewną, w sobie zamkniętą grupę, zwaną zwykle szkołą tragedyi patetycznej (die pathetische Jamben tragödie), a są właśnie w prostéj linii wnukami podniosłości Schiller'a, a synami rzewności (die Innerlichkeit) romantyzmu. Z rzeczywistym patosem tragicznym trzeba się urodzić, bo tylko „roboty“ można się nauczyć. Już podniosłość Schiller'a nie wytrzymuje zawsze krytyki surowszej, granicząc zaledwo o miedzę z frazeologią, z czężą retoryką. Jedynie wielki jego talent i prawdziwe, niekłamane uczucie nadają przesadnym obrazom i szumnej dykcji cechę prawdopodobieństwa. Bez wewnętrznego ciepła, bez potęgi geniuszu zapadłyby się dramata Schiller'a, jak wydrażone, puste budowle.

Téj wewnętrznój zawartości, ocalającej freski i ornamenta dykcji przed zarzutem przesady i czczości, nie ma w utworach epigonów. Naśladowcom braknie zawsze tego, co stanowi rzeczywistą wartość wzorów: ognia, zapału, rzeczywistego a nie sztucznego natchnienia. Epigoni metody szyllerowéj pochwycili znakomicie ton jego manieri: obrazy, zwroty językowe, posuwistość jambów, nawet retorykę tragiczną, lecz ducha mistrza skopiować nie mogli, bo z duchem trzeba się niestety urodzić. Epigoni przewyższyli nawet sztukę Schiller'a, wygładziwszy, wypięściwszy jego maniérę, obciążwszy starannie wszystkie narośla genialnéj przesady, przyczesawszy gładko najeżoną nieraz czuprynę buńczucznego „piewcy wolności,“ tworzyli po prostu cacka ze stanowiska techniki poetyckiej, a przecież nie zapalił patos ich nikogo. Słuchacz odczuł odrazu kłamstwo, sztuczność, zimno i wychodził z teatru chłodny, nie zapłonawszy ani przez chwilę. Tragedya patetyczna między r. 1820—1840, to prześliczny domek, ozdobny na zewnątrz i strojny, lecz wewnątrz bez człowieka, bez życia i prawdy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

U STÓP PIENIN *).

PRZEZ AUTORA

„WYCIECZKI W CZORSZTYŃSKIE.”

Wspomnienia z podróży odbytej w r. 1880.

III.

Sromowce niżnie i średnie.—Obłaz, Hala, Huk.—Kapliczka.—Przygoda wieśniaka.—Piekielko, Majery czyli Szwaby.—Kąty.—Kościołek św. Katarzyny w Sromowcach niżnich.—Podanie o biskupie Pawle z Przemankowa.—Niekóre daty tyżące się tego kościołka.—Kościół w Sromowcach wyżnich.—Daty tyżące się trzech Sromowiec.—Cmentarz w Sromowcach wyżnich.

Naprzeciwno Czerwonego Klasztoru, po północnym brzegu Dunajca, u samych stóp Pienin, legły Sromowce niżnie. Nad Dunajcem, między nim a wsią, wiedzie drożyna ku Sromowcom średnim. Między Sromowcami niżniami a średnimi ku stronie południowej stromo spada obszerne, połogie, trawiaste wzgórze, Obłazem zwane (591 m.), którego grzbiet zowią Halą (Holą). U stóp jego mała łąka Hukiem zwana. Na płasience poniżej téj łąki, między wspomnianą drożyną a Dunajcem wznosi się kapliczka (465 m.). Według podania ludowego okazują się tutaj koło niej po zachodzie słońca światelka, ścigające przechodniów. Razu pewnego szedł tedy wieśniak i zoczywszy światelko za sobą, odezwał się doń: „Wszelki duch Pana Boga chwali.“ Na co światelko odrzec miało: „I ja Go téż chwale.“ Poczém porwało chłopca i wrzuciło do Dunajca do głębi. Wieśniak o mało co nie utonął; wyratowali go jednak pastuchy ze strony węgierskiej. Zdarzenie to opowiadał mi przewodnik.

Minawszy chaty Sromowiec średnich, skręcamy na północ. Tu znika drożyna, a natomiast postępujemy ścieżką tuż nad brzegiem

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

Dunajca, po ostrych złomach mniejszych i większych kamieni popod Żłobiny przez tak zwane Piekiełko. Na Kamieńcu tutaj rośnie obficie tamaryszek niemiecki (*Myricaria germanica* Desv.), u ludu kamaryszkiem zwany. Na przeciwnym brzegu Dunajca leży niewielka osada spiska Majery (Stary Majyr, także Stary Majérz, O'-Major); a że ją zamieszkują Niemcy, ztąd górale tutejsi zowią ją powszechnie Szwabami (Szwaby). W r. 1808 ewangelicy Niemcy wystawili sobie tutaj skromny kościółek, zwrócony ku Dunajcowi. Pola między Szwabami a karczmą starowiejską, na zakręcie drogi, wiodącej z Czerwonego Klasztoru do Staréj Wsi, zowią się Za-uprem. Wkrótce przybywamy do przysiółka Sromowiec wyżnich, zwanego Kątami. Jestto grupa kilku chat, nad samém stromém brzegowiskiem Dunajca zbudowanych. Tędy płynie potoczek, nastający pod Macelakiem i tu do Dunajca uchodzi. Ciepłota téj wody d. 17 lipca 1880 r. o godz. 7¼ rano miała 10° R. przy ciepłocie powietrza 13° R. Skałki, wznoszące się ponad Kątami, zowią się także Kątami. Z Kątów ścieżyną spuszczaemy się na obszerne pastwiska, na których w południowym ich końcu nad Dunajcem, znajduje się kilka chat. Miejsce to zowią Zawrociem. Pola na wzgórzach na północny zachód od Zawrocia, przez które wiedzie drożyna, ku Sromowcom Wyźnim, zowią się Lembarkiem; a tuż nad Sromowcami Wyźniami, w miejscu zetknięcia się drożyny z Kątów, wiodącej z drożyną z Hałuszowej idącą „na Wygon.“ Na północ od niego wznoszą się Cisowiec Mały i Wielki, zapewne nazwane od tego, iż tutaj niegdyś cisy rosły; między niemi pola zaorane, „Podcisowcem” zwane. Na południe od nich, między polami „na Wygon“ a Zawrociem, trzy strome skałki zwane Zagórze.

Drożyna nasza wznosi się powoli przez pola na Wygon i wychodzimy wkrótce na znaczne wzgórze, Kępą zwane, tuż nad Sromowcami, naprzeciwko osady spiskiej Kahlenbergu, u ludu Gołembarg zwanej. Ztąd téż śliczny rozpościera się widok na Pieniny, Magórę Spiską, a przedewszystkiém Tatry.

W Sromowcach niżnich, które w XVII-tym wieku, według aktów grodzkich sądeckich, zwały się Sramowcami i Sramowicami, znajduje się kościółek pod wezwaniem św. Katarzyny. Kościółek ten zwiedziłem dnia 17 i 24 lipca. O tym kościółku krąży podanie, że go zbudował Paweł z Przemankowa, biskup krakowski. W r. 1282 Trojden, książę litewski, wpadł na Podlasie, a potém do ziemi lubelskiej i straszne tam szkody poczynił. Przyczynę tego napadu składają kronikarze polscy na Pawła biskupa krakowskiego, którego Leszek Czarny zato uwięził i do zamku sieradzkiego odwieźć kazał, zkd go późniój wypuścił, mając sobie zagrożoną kłtwę od biskupów poznańskiego i wrocławskiego ¹⁾. W więzieniu tedy miała się mu zjawić św. Katarzyna, dodać otuchy i nakazać udać się z prośbą do Kunegundy, miesz-

¹⁾ Naruszewicz: „Historia narodu polskiego.“ Wyd. Turowskiego, IV, 143—148.

kajacój w zamku pienińskim, o wstawienie się za nim do księcia; ona sama (św. Katarzyna) poda księżnej, jak ma postąpić w sprawie uwolnienia biskupa; wszakże odzyskawszy wolność, winien będzie podziękować Kindze osobiście za to. Jakoż wkrótce Kunegunda, przez listy i posły, nalegając na księcia, sprawiła, że biskup został wypuszczony. On to, będąc w zamku pienińskim u księżnej, kazał wystawić w Sromowcach kościółek modrzewiowy, pod wezwaniem św. Katarzyny i tegoż roku 1282 sam go poświęcił. Tak opowiada nam ks. O. Kołyński ¹⁾. Atoli ks. Ludwika Łętowskiego katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich ²⁾ w życiu tego biskupa ³⁾ nic o tém nie ma, ani żadnych tego biskupa fundacyi nie wymienia. Wspomina tylko o schronieniu się Kunegundy, czyli Kingi, z siostrami Jolantą, Bolesława Pobożnego księżęcia Kaliskiego i Konstancją Lwa, ruskiego księcia, pozostałymi wdowami (według Naruszewicza prawdopodobnie z Świętosławą, córką Leona z Konstancyi, bo Leon 1287 roku żył, a Świętosława była zakonnicą Klaryską, zm. 1304 r.) ⁴⁾ i z siedmndziesiąt innymi zakonnicami do zamku w Pieninach, podczas trzeciego napadu Tatarów 1287 r. Zeby zagony tatarskie dotarły aż pod zamek pieniński, jak ma Naruszewicz, i zamek oblegali, jak powiada Długosz w Żywocie św. Kunegundy ⁵⁾, o tém wątpić będzie każdy, kto zna położenie jego i pomni, jakie naokoło musiały być lasy w wieku XIII-tym. Zresztą Węgrzy przybyli na pomoc i już pod Sączem Tatarów porządnie przepłoszyli ⁶⁾.

Z historią, w jawnej sprzeczności zostającą, część tego podania o zjawieniu się św. Katarzyny Pawłowi Przemankowskiemu w więzieniu sieradzkim, ma Długosz w Żywocie św. Kunegundy ⁷⁾, lecz inaczej opowiedzianą niż w „Chacie,“ albowiem u Długosza św. Katarzyna ukazawszy się Przemankowskiemu i połamawszy okowy i łańcuchy, kazała mu z onego więzienia bezpiecznie wyniść, mówiąc: „Pannie świętej, Kunegundzie, podziękuj, wiedząc, żeś jej zasługami i modlitwami przez tę sprawę moję z więzienia tak okrutnego jest wyswobodzony. Który z więzienia i tak wielkiego niebezpieczeństwa zdrowie swoje wy-

1) Chata. Num., I. Lwów, 1876.

2) T. I., w Krakowie, 1852.

3) Str. 182 i nast.

4) Naruszewicz, IV, 165, przyp. 13.

5) Tłóm. ks. Przesława Mojeckiego. W Krak., 1617 r., 153.

6) Byłto mistrz Jerzy, wysłany przez Władysława, króla węgierskiego, Leszkowi w pomoc przeciwko Konradowi mazowieckiemu, który to Jerzy naszedłszy na Tatarów pod Sączem (circa castrum Zundoch, prawdopodobnie Zandech), wodza ich i wielu z nich zabił i brańców wielką moc oswobodził, poczem zostawszy na pograniczu i ucierając się bezustannie z Tatarami, do Węgier wkroczyć im nie dał (Z dypl. z r. 1288 w Wagnera „Diplom. comit. Saros.“ 1780, 48).

7) Ob. przyp. 2. Tamże, str. 170.

niósłszy, do służebnicy Chrystusowej Kunegundy do Sącza, mając z sobą okowy, na świadectwo wybawienia swego przyszedł, a widzenie swoje porządkiem powiedziawszy, wielkie dzięki Dziewicy błogosławionej za wybawienie swoje oddawał.“

Kościółek posiada ołtarz szafiasty. Złożony w środkowej części posąg Matki Boskiej jest nowy, ale nieładny. Co do oznak czasu, w którym ten kościół mógł powstać, tedy na ramie kamienia, w środku ołtarza zawierającego relikwie (portatile), tylko jeszcze rok 1617 dał się odczytać; reszta wytarta. Na tylnej stronie ołtarza, po stronie ewangelii, znajduje się napis: „Anno Dni. 1572 mappas tres dare... Dei pare“ (?). Reszta nieczytelna. Na ścianie kościelnej, za ołtarzem, jest rok 1785, który mylnie wzięto za 1285, upatrując w tej cyfrze potwierdzenie powyższego podania. Nad zakrystyą widać wielki miedzioryt w ramach; wyobrażający św. Katarzynę, ofiarowany r. 1721 Teodorowi Lubomirskiemu, staroście spiskiemu, przez Pawła Sontagha, Jeźuitę Koszyckiego, przy sposobności bronienia twierdzeń teologicznych.

Kościółek ten miał przed laty znajdować się nad Dunajcem, który, w skutek częstych wylewów, przerzucił się ku granicy węgierskiej. Przypatrując się naziomowi od kościoła ku wodzie, widać wyraźnie coraz niższe stopnie, wskazujące dawne brzegi Dunajca. Według opowiadań starych ludzi z Sromowiec niżnich, miał Dunajec, wezbrawszy, zerwać wierzby z pod kościołka, na których wisały dwa dzwony. Dzwony te, porwane przez szalony Dunajec, znaleziono później w Pieninach, pod Ostrą Skałką. Czy dzisiejsze dwa dzwony są temiż dzwonami, trudno odgadnąć; niewiadomo nawet, z jakiego czasu one pochodzą, bo nie posiadają żadnego napisu. Są jednak ładne.

Dziś Sromowce niżnie i średnie, które tworzą jedną gminę, należą do parafii w Krościenku. Podobnie Sromowce wyżnie należą do parafii w Maniowach, jakkolwiek posiadają mały kościółek, w r. 1875 staraniem dziedzica, p. Marcelego Drohojowskiego z Czorsztyna i parafian, z kamienia i cegły w miejscu dawnego drewnianego wystawionny. Dawny kościółek drewniany istniał już w XVII wieku. Bliższych o nim szczegółów doszukaćby się można jedynie w wizytach biskupów krakowskich. Roku 1625 proboszczem sromowieckim i plebanem krościenieckim był Jakób Labecki. Zdaje się więc, że Sromowczanie własnego plebana nigdy nie mieli. Według wizyty biskupiej krakowskiej z r. 1667, kościół sromowiecki stał na gruncie zwanym Rozmyśleńcem. W r. 1614, czy też 1634, w wilią Przemienienia Pańskiego, Dunajec grunt ten oderwał i kościół zabrał. Później, na tém miejscu, stała karczma, którą r. 1771 rozebrano. O grunt Rozmyśleńiec zaś r. 1774 toczyły się spory między Sromowczanami a Kamedułami Czerwonego Klasztoru. Spizacy zabierali Sromowczanom bydło, wypędzone na paszę na Rozmyśleńiec. Tak w lecie pomienionego roku 1774, hajducy starowiejscy zabrali im cztery konie, dziesięć wołów i czterdzieści i dwie krowy dojne. Wreszcie urząd obwodowy w Wieliczce,

dekretem z 14 grudnia 1774 r. przyznał ten grunt Sromowczanom. Kościół, po zabraniu dawnego, na inném miejscu zbudowany, zgorzał około r. 1734. Co się dalej stało z kościołem, nie mogłem dociec. Dodam atoli tutaj jeszcze szczegóły z naszych czasów, mianowicie, iż ś. p. proboszcz nowosądecki, Bartłomiej Janczy, rodem z Sromowiec, zapisał 1841 r. tysiąc złr. m. k., z tém zastrzeżeniem, aby odsetki obracano na wspólny pożytek mieszkańców pomienionej włości. Dla uposażenia szkółki parafialnej, gmina Sromowiecka r. 1862 zobowiązała się zbudować dom dla szkoły i nauczyciela, któryby zarazem był organistą, następnie płacić rocznie 69 złr. 80 cent. w. a. nauczycielowi, a z gruntu gminnego „Ogrodem pasterskim“ zwanego, dodać do dotychczasowego gruntu organistowskiego, obejmującego 3 morgi 1061 sążni kwadratowych, kawał pod półtora korca zasiewu i dostawiać na opał rocznie sześciu sięg miękkiego drzewa.

Wszystkie trzy Sromowce, niżnie, średnie i wyżnie, należały dawniej do starostwa czorsztyńskiego, dziś zaś należą do klucza czorsztyńskiego, będącego własnością p. M. Drohojowskiego. Według lustracyi z połowy XVII wieku w Sromowcach wyżnich, średnich i niżnich, na łanach 2 $\frac{1}{2}$ siedziało kmieci 15, płacili czynszu po groszy 18, razem złp. 9; pszenicy dawali korcy równych 40, co czyniło złp. 18 gr. 20; żyta tyleż, co czyniło także złp. 18 gr. 20; owsa korcy równych 12 $\frac{1}{2}$, co liczono na złp. 40 gr. 15; po 4 kapłony, co liczono na złp. 16; po 2 gęsi, co liczono na złp. 10; serowego gr. 15; pańszczyzny robili po 3 dni bydłem. Zagrodników było 4, którzy płacili czynszu razem gr. 24; dawali po 2 kapłony, policzone w złp. 2 gr. 4; za lisa płacili złp. 1 gr. 6; robili po 3 dni. Z dwóch karczem było czynszu złp. 1 gr. 10; całego dochodu złp. 119 gr. 14.

Według lustracyi z r. 1764, w Sromowcach średnich i niżnich było ról 12 $\frac{1}{2}$; opłata rozmaitego podatku czyniła złp. 1332 gr. 12. Dla odległości miejsca, poddani nie robili pańszczyzny, lecz czynszowali. W Sromowcach wyżnich było ról 12 $\frac{1}{2}$, zagród 7. Prócz robocizny, opłacano rozmaitego podatku złp. 903 gr. 25 $\frac{1}{2}$. W r. 1777 Sromowce wyżnie liczyły domów 64, mieszkańców 309, między nimi 5 żydów; w r. 1799 domów 72, mieszkańców 394, żyda żadnego; w r. 1824 domów 71, mieszkańców 395, żyda żadnego; w r. 1869 domów 88, a wszystkich mieszkańców 497. Sromowce zaś niżnie i średnie w roku 1777 liczyły domów 68, mieszkańców 442, w r. 1869 domów 95, mieszkańców 542.

Na cmentarzysku, otaczającym dzisiejszy kościół w Sromowcach wyżnich, spoczywają rodzice (Jan Maksymilian i Wiktorya z Grudnickich Drohojowscy) i żona (Florentyna z Fihauzerów), dzisiejszego dziedzica Klucza czorsztyńskiego. Oprócz tego znalazłem dwa kamienie nagrobkowe, jeden z nich z napisem: „Tu leży od r. 1817 Wiel. Jmci Pan Thomasz Otoski Wieku swego 75;“ drugi zaś z napisem: „Andre-

as Habinyák, 1817.“ Ten cichy zakątek podgórski jest również pamiętny w dziejach polskich ¹⁾.

IV.

Kapliczka przydrożna.—Zamek dunajecki.—Powstanie wsi i zamku.—Łośy zamku dunajeckiego.—Rykolf z Łomnicy i Mateusz Csáky.—Kokosz.—Jan i Rykolf, dziedzice zamku.—Wilhelm Drugeth i Mikołaj.—Piotr i Jan Schwarzwowie.—Emeryk i Jan Zapolya.—Hieronim Łaski.—Stefan Poturnicki.—Piotr Kostka z Siedlec.—Kaspar Serecy.—Minkowicz.—Anna z Kurozwęk Łaska.—Albert Łaski.—Jan Horwat.—Jerzy Horwat.—Opis portretów znajdujących się w sali zamkowej.—Lejbuś, rabin pińczowski.—Studnia zamkowa.—Widok z okien basztowych.—Rzecz o niedźwiedziach czorsztyńskich.

„Dalej widać dwa zamki, a pomiędzy niemi
Owa rzeka wodami płynie burzliwemi.
Po lewój stronie Czorsztyń, po prawej Niedzica
Całością swoich murów jeszcze się zaszczyca;
Gdzie komnaty ozdobne jeszcze przechowują
Obrazy i pamiątki— co się tam znajdują
Po dawnych właścicielach z węgierskiej krainy.
Jest to zamek obszerny, dachówką pokryty,
A w piwnice i różne kryjówki obfity.“

B. G. Stęczyński.

Droga u stóp góry czorsztyńskiej, na której sterczą zwaliska zamku, rozdziela się na dwie strony: ku wschodowi wiedzie stara górzysta droga przez Snoszkę do Krościenka, dziś całkiem zaniechana, a ku południowi wiedzie główny gościńiec starożytny do Węgier.

Przy téjże drodze, na skale nad Dunajcem, nad zjazdem ku dworowi czorsztyńskiemu, stała dawniej drewniana kapliczka. Burza przed laty zerwała ją i zrzuciła na drogę. Pana Jezusa upadającego pod krzyżem umieszczono w później zmurowanej kapliczce przy drodze dunajeckiej, naprzeciw gumien dworskich. Dzwonek loretański, którym w czasie nadciągającej burzy dzwoniło na chmury, stopił się w pożarze dworu drewnianego w r. 1852. Miał tylko pozostać rąbek dolny. Jeżeli na nim był napis jaki, to szkoda, że go nie odpisano. Dziś w miejscu zniszczonej kapliczki stoi okrągły, murowany, z maleńkimi oknami jakiś skład, dawniej skład węgla.

Minąwszy dwór właściciela tych dóbr, p. M. Drohojowskiego, idzie się popod skałami koło Dunajca, mając na południowym jego brzegu, na górze daleko niższej, niż Czorsztyń, stary zamek, Dunajcem, mylnie zazwyczaj Niedzicą zwany, od wsi u stóp jego położonej. Zbu-

¹⁾ Ob. Br. Gustawicz: „Wycieczka w Czorsztyńskie.“ Warsz. 1881.

dowany jest nad Dunajcem, 566 m. nad poziom morza, a 78 m. nad mostem na Dunajcu pod zamkiem, na skale kończącej pasmo wzgórz, ciągnących się od Braniska (879 m.), między Dunajcem a Łapszanką na wschód, czyli ku Dunajcowi, który pod Czorsztynem zwraca się na południowy wschód. Zamek sam nie jest wielki, a zbudowany pierwotnie na samym czubku skały, mniejszym był od dzisiejszych szczytków, których sporą część po obu stronach bramy, okalającą stary zamek od zachodu, później dobudowano. Wielka jest szkoda, że temu zameczkowi tak podupać dano, a nie mniejsza, iż dotąd nikt się jeszcze nie znalazł, coby był zdjął plan zamku. Przystęp do zamku jest od strony południowo-zachodniej.

Wieś Niedzica, w dyplomach Nisitz, Nyznecz, dzisiaj po węgiersku Nedecz zwana, istniała już w drugiej połowie wieku XIII, gdyż kościół niedzicki pochodzić ma z r. 1278. Pierwszą atoli pewną wiadomość o istnieniu tej osady napotykamy dopiero na początku XIV wieku. W tymto bowiem czasie niejaki mistrz Kokosz z Brzozowicy, nie tylko na południowej stronie Magóry spiskiej znaczne miał posiadłości, ale, jak dowodzą tego dokumenta ówczesne, prawie cały obszar od Magóry spiskiej po Dunajec w swoim posiadaniu dzierżył. Był on synem niejakiego Rykolfa z Łomnicy, żupana spiskiego ¹⁾, a wnukiem Rudgera, czyli Rudygera, który podług podania z Tyrolu pochodził. Żona jego była damą nadworną Gertrudy, małżonki Andrzeja II króla węgierskiego (1025—1236). Miała ona dwóch braci: Adolfa i Ekberta. Tamten był proboszczem spiskim, ten zaś biskupem bamberskim. Ekbert po zamordowaniu króla Filipa w Bambergu umknął na Węgry. W r. 1209 darował Andrzej II proboszczowi Adolfowi i jego siostrze obszar ziemi leżącej nad Popradem i u stóp Tatr. Tutaj też wtedy powstać miały za jego staraniem wsi: Wielka Łomnica (Gross, oder Kakas-Lomnitz), Huncowce (Hundsorf, Hunfalú) i Stara Leśna (Altwaldorf) ²⁾. Nadanie to Andrzeja II stwierdził później Bela IV r. 1249. Tenże comes Rudigerus miał dwóch synów: Hermana Polana i Rykolfa. Obaj walczyli po stronie króla Władysława (syna Szczepana IV) w wojnie przeciwko czeskiemu Otokarowi i w oblężeniu Raby (Raab) ponieśli ciężkie rany; również wypędzili buntownika Loranda z Spiskiego Zamku. W uznaniu zasług, które około dobra kraju położyli, otrzymali od tegoż Władysława r. 1278 wsi: Farkaszowce (Farksdorf, Farkasfalú) i Pokój (dzisiejsze Pikowce, Pikicz) ³⁾. Tento Rykolf, który od króla Władysława r. 1288 otrzymał w posiadanie Tarczę z prawem dziedzictwa, miał czterech synów: Jana z Łomnicy, Rykolfa

¹⁾ Fejér: „Cod. dipl. Hung.,” VIII², 289, 227; VIII⁴, 88, 223.

²⁾ O Wielkiej Łomnicy mamy wzmiankę pod r. 1256 i 1257 (Fejér, IV², 380, 440), a o Huncowcach z r. 1247, o Stariej Leśnej 1322 (Janota, Spiż., 14, 24).

³⁾ Wagner: „Analecta,” I, 109. Fejér, V², 468; V³, 303, 331; VIII³, 191; Bardossy, 128.

z Tarko, Kokosza ¹⁾ i Henryka. Nosili oni miano mistrzów (magistri). Tytuł mistrza (magister, meister) był tak duchownym, jak świeckim udzielany i znaczył tyle, co pan, rycerz. Jan, prawdopodobnie najstarszy z nich, w r. 1317 załudnił przetrzeć zwaną Grünwald, prawdopodobnie dzisiejsze Błazowce (Blasinsdorf). W tym też roku istniała już Brzozowica (Berzewiczy). Syn jego, Michał, r. 1350 zbudował w Brzozowicy zamek. Ztąd też linia ta otrzymała miano swoje Berzewickich (Berzewicznych). Ten zatem Jan jest protoplastą rodziny panów na Brzozowicy. Brat jego, Rykolf z Tarko, a nie ojciec jego, jak podaje w przypisku ksiądz Załęski w opisie Czerwonego Klasztoru, brał udział w wojnie przeciwko Mateuszowi Csákyemu, żupanowi trenczyńskiemu.

Po śmierci Andrzeja III (um. 14 stycznia 1301 r.), z którym wygasła dynastia Arpadów, znaczna część magnatów węgierskich, między nimi Haag biskup wacowski i brat palatyna Omodeja, ofiarowali koronę węgierską za sprawą tegoż Mateusza Csákyego Wacławowi II królowi czeskiemu. Ten zajęty sprawami czeskiemi i polskimi, nie przyjął jej dla siebie, lecz dla trzynastoletniego syna swego Wacława. Po niedługim atoli pobycie opuścił Wacław, jako król węgierski, Władysławem zwany, Węgry, a po śmierci ojca zrzekł się zupełnie korony węgierskiej. Nastąpił po nim Karol Robert, już dawniej przez stolicę rzymską silnie popierany w zabiegach swoich o tron węgierski. Mateusz przeszedł na jego stronę, wraz z synem Michałem i szlachtą od niego zależną, następnie na ręce kardynała Gentilisa z Montefiori, legata papieżkiego, wykonał przysięgę wierności nowemu królowi i był obecny przy koronacji królewskiej (15 czerwca 1309 r.). Samowładne atoli postępowanie legata, widoczne usiłowanie zapewnienia stolicy rzymskiej większego, niż dotąd było, wpływu na sprawy państwa, przedewszystkiem na wybory królów, wreszcie zwołanie sejmu przez legata, co do niego nie należało, jak w ogóle to wszystko niemiłe czyniło wrażenie, tak obrażało szczególnie Mateusza Csákyego, do którego należało zwołanie sejmu. Mateusz więc dwa ostatnie sejmy i to, co na nich uchwalono, ogłosił za nieważne i nowy zwołał sejm w celu wyboru nowego króla. Wskutek tego legat, nim opuścił kraj, Mateusza obłożył klątwą (1311 r.). Ten zaś gniew swój wywarł na arcybiskupie ostrzychomskim i biskupie nitrzańskim, którzy rzuconą nań klątwę w dyecezyach swych ogłosili, znaczne wyrządzając im szkody. Zdobył Nitę, pokonał stronników króla na Śpiżu, a ich zamki przyłączył do swoich posiadłości. Roku 1312 wyruszył sam król, wsparty od kawalerów św. Jana i innych magnatów węgierskich, aby odebrać zamek szaryski, który Dymitr, wódz Mateusza Csákyego, Czechów z nich wyparłszy, był zatrzymał. Dnia 15 czerwca 1312 r. pod Rożanowicami, niedaleko Koszyc, król krwawe odniósł zwycięstwo. W tej bitwie polegli wodzowie nieprzyjacielskiego wojska: Dymitr, Abba i dwaj syno-

¹⁾ Fejér, VIII², 289, 227; VIII⁴, 88, 223; VIII³, 505.

wie Omodeja. Pobity, ale nie pokonany Mateusz, wojował jeszcze z królem do r. 1315, który przeciw niemu był zmuszonym zawrzeć przymierze z Fryderykiem austryackim. Przymierze to skłoniło Mateusza do zgody. Umarł on 1318 r. ¹⁾

Otóż nasz Rykolf z Tarko, jako jeden z najwierniejszych stronników króla, brał w wyprawach jego znamienity udział przeciwko żupanowi trenczyńskiemu i nie mało przyczynił się w bitwie pod Rożanowicami do pokonania tego buntownika. Tenże Rykolf na czele oddziału węgierskiego, posłanego Władysławowi Łokietkowi przeciwko Wacławowi czeskiemu, sprawił się również dzielnie i wsławił Węgrzynów.

Brat jego, Kokosz, także Kakas, Kokus i Gallus zwany, zapewne przydomek z powodu czupurnego jego charakteru, r. 1320 sprzedał bratu swemu Janowi i tegoż synowi, a swemu bratankowi Michałowi za sto grzywien ziemię Frydman, wsi: Niedzicę, Kacwin i Frankową nad potokiem Niedzią, wreszcie las po obu brzegach Białki od Dunajca aż do źródeł tej rzeki, więc aż w głąb Tatr ²⁾. W dokumencie, który przytacza Fejér w swoim dyplomatarjusz, nie ma wcale wzmianki o zamku; mowa jest tylko o wsi: „villam Nisitz circa aquam Nisitz.“ Zamek nasz dunajecki powstać musiał nieco później. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zbudowali go panowie na Brzozowicy. Ks. St. Załęski pisze, że Rykolf z Brzozowicy, brat Kokosza, zbudował go. To pewna, że w r. 1325 posiadali go Jan i Rykolf, bracia Kokosza.

Według Fejéra ten Jan, pan na Dunajcu, ma być synem Kokosza, a Rykolf jego bratem przybranym ³⁾. Jest to atoli omyłka, którą też Janota, opierając się na Fejérze, powtórzył w swoich zapiskach o zaludnieniu dolin Dunajca i Popradu. Kokosz bowiem zmarł bezdzietnie i wszystkie swoje posiadłości zdał braciom swoim, Janowi i Rykolfowi, co też król Karol Robert r. 1327 zatwierdził.

Po nich posiadał zamek dunajecki Wilhelm (Villermus) Drugeth, żupan spiski i ujwarski, palatyn i wójt Kumanów. W r. 1330 bowiem zapisał on testamentem zamki: Pławiec, Lubownia i „*novum castrum de Dunajecz*“, t. j. nowy zamek dunajecki i inne, bratu swemu Mikołajowi ⁴⁾. W testamencie tym, podanym przez Fejéra, czytamy: „*novum castrum de Dunajecz*“, co dowodzi, że zamek ten niedawno dopiero powstał.

Jan z Łomnicy, brat Kokosza, miał czterech synów, to jest Rykolf, który był proboszczem w Landoku, Henryka, Michała i Jana. Henryk miał syna Piotra, który się zwał Piotrem Schwartzem z Łom-

¹⁾ Engel: „Geschichte des Ungarischen Reichs.“ Wien, 1813—14, II, 5—14. Meynert: „Geschichte Oesterreichs.“ Pest, 1845, IV, 273—275.

²⁾ Fejér, VIII², 289.

³⁾ Tamże, VIII², 623. „Mag. Joannes, filius magistri Kokos, et mag. Rycolphus de castro Dunavich, fratres conditionales.“

⁴⁾ Tamże, VIII³, 506.

nicy. Był on podskarbin (magister tovernitorum) Zygmunta, króla węgierskiego. Kilka lat spędził w niewoli tureckiej. Król Zygmunt podarował mu Jamnik. Roku 1425 był on panem zamku dunajeckiego. W roku 1439 posiadał go syn jego Jan, także Schwarzem przezwany. Umarł on bezdzietnie w r. 1470; leży pochowany w Wielkiej Łomnicy. W napisie na nagrobku czytamy: „Joannes Schwarz de Berzeviczy.”

Tutaj w tym zamku, podług ugody w Lubowni zawartej, zostały dla Zygmunta przez Władysława Jagiełłę wypłacone pieniądze, za które Zygmunt zastawił był Polsce Spiż. Zwrot tych pieniędzy Polsce w dyplomie Zygmunta z 8 listopada r. 1412 nadanym w Zagrzebiu, określono na czas nieograniczony.

Po śmierci Jana Schwarza z Brzozowicy, roku 1470 zajął zamek przemocą w swoje posiadanie Emeryk Zapolya, żupan spiski i namiestnik węgierski. Ono wzmocnił zamek dunajecki i obwarował, przewidując, iż w niedalekiej przyszłości będzie musiał stawić opór srogim napadom. Emeryk Zapolya umarł r. 1487, a syn jego Szczepan 1499. Szczepan zostawił syna Jana i córkę Barbarę, zaślubioną z Zygmuntem I, królem polskim, r. 1515.

W roku 1526 w sierpniu (29) poległ Władysław II pod Mohaczem w bitwie z Turkami. Po jego śmierci kraj uległ rozdzieleniu, jedna część obrała Jana Zapolyę, żupana spiskiego i wojewodę siedmiogrodzkiego, 10 listopada 1526 r. królem węgierskim, a dnia następującego ukoronowała; druga zaś część, stronnictwo rakuskie, ogłosiło królem Ferdynanda, brata cesarza Karola V, 24 października tegoż roku (1526), także królem czeskim obranego. Skutkiem takiego rozdzielenia umysłów, nieuniknioną była wojna domowa. Tymczasem Jan Zapolya zapoznał się z Jaroszem czyli Hieronimem Łaskim. Był to mąż w naukach dobrze wyuczony i w kilku językach: łacińskim, włoskim, francuzkim i niemieckim biegły, od króla Zygmunta I, w różnych poselstwach używany i w młodych latach do senatu wprowadzony, naprzód został wojewodą inowrocławskim, później sieradzkim. Tém pobudzoną ku sobie nienawiść innych témbardziej rozdrażnił, iż nienawiść nienawiścią płacił. Co gdy mu drogę do dalszego wzrostu tamowało, udał się do Węgier i tutaj zawiązał stosunki z Janem Zapolyą, Na prośbę jego przyrzekł Jarosz Zapolyi wyjednać pomoc u Turków, Łaski popierany u dworu sułtana Solimana przez Wenecyą i Francją, czynności swoje rozpoczęte 22 grudnia 1527 r., dnia 29 lutego 1528 r. pomyślnie ukończył. Turcy przyrzekli wspierać Jana Zapolyę przeciw Ferdynandowi. Węgry ustąpił mu sułtan, jako kraj zdobyty. Tymczasem atoli Jan Zapolya zebrawszy wojsko z Węgrów i polskich żołnierzy, dnia 6 marca zwiódł u brzegów Cisy bitwę z Niemcy, na czele których stał Jan Katzianer, wódz Ferdynanda. Zapolya porażony uchylił się do Polski, naprzód na Kamieniec, zamek niedaleko Krosna, teraz Odrzykoniem lub Korczyńskim zwany, gdzie go Marcin Kamieniecki wojewoda podolski, gościnnie przyjął; potem bawił u swego przyja-

ciela Jana Tarnowskiego, natenczas wojewody ruskiego i hetmana wielkiego koronnego ¹⁾.

Jarosz Łaski z poselstwa swego z Carogrodu był już z powrotem w Bukareszcie na początku kwietnia i wkrótce potem podążył za Zapolyą do Polski. Tutaj król Jan za wierne usługi nadał Łaskiemu w Tarnowie zupaństwo spiskie, zamek spiski, Kieżmarek, Gielnicę, Rychnawę i Niedzicę, czyli zamek dunajecki (1528). Wtedy dzierżył zamek dunajecki niejaki Szczepan Poturniański, podstarości spiski. Jan Zapolya uwiadomiony o blizkiem wtargnieniu Turków, a od stronników swoich zapewniony, że go zbrojno oczekiwać będą na granicy państwa, z końcem października tegoż roku 1528 wraz z Łaskim powrócił do Węgier. Jarosz Łaski prócz szlachty zbierał także zaciężnych pieszych pomiędzy Wołochami, zamieszkującymi góry i powierzył niejakiemu Piotrowi Kostce z Siedlec (czeskich?). Wołosi pod jego wodzą przedarli się przez Pieniny i ścieżkami nad Dunajcem nocą, omyliwszy strażę czorsztyńskiego zamku, podeszli niespodzianie pod zamek dunajecki i z końcem r. 1528 zajęli go. Według podania, w czasie tej nocnej wyprawy świeciło Kostce oko w Dunajcu. Na pamiątkę tego dał z drogiego kamienia zrobić oko i oddał je do kościoła w Frydmanie.

Z Niedzicy, którą obwarował Zapolya, obległ Kostka Kieżmarek. Odpędził go jednak od tego miasta Kasper Serezy z Makowicy, nieopodal Bardyowa położonej; stronnik cesarza Ferdynanda i za sprawą Poturniańskiego, który czémprędzej sprowadził na odsiecz zaciężnych od Lewoczy, Preszowa i okolicy Niemców 100 huzarów, obległ Niedzicę, ale jój nie wziął. Poturniańskiego za zdradę kazał Kostka ściąć i na pal wbić.

W r. 1530 w lutym, odbył się sejm w Budzynie. Na tym sejmie Jan Zapolya uczynił Łaskiego wojewodą siedmiogrodzkim i żupanem wieczystym ziemi spiskiej. Cesarz Ferdynand atoli, jako król węgierski, podarował zamek kieżmarski hrabi Franciszkowi Batthyanyowi, który z narażeniem życia własnego wszedł do obozu Zapolyi w celu poznania sił jego ²⁾. Batthyany wysłał swoich hetmanów: Mikołaja Sonko i Franciszka Nis do zajęcia zamku. Pobił ich atoli Piotr Kostka i dnia 20 listopada 1530 zbrojno zajął zamek i miasto Kieżmarek i Łaskiemu oddał.

Ponieważ Zapolya nie miał pieniędzy, zastawił więc Łaski Kieżmarek niejakiemu Mikołajowi Minkowiczowi, z Niemiec rodem, za 600 złr. Łaski atoli nie oddał mu zamku kieżmarskiego, tylko zamek du-

¹⁾ W objaśnieniach do „Albumu szczawnickiego,” Józefa Szalaya, (Kraków, 1858) powiedziano, co ma i Niesiecki (wydanie lipskie, VI, 213), że król Jan Zapolya u Jana Tarnowskiego poznał Łaskiego, który się zobowiązał wyjednać pomoc u Turka, co się atoli nie zgadza z opowiadaniem historyków węgierskich. Bielski, wydanie sanockie, 1042. Engel, IV, 15—17. Moraczewski, IV, 84.

²⁾ Wagner, II, 150.

najecki. Z zemsty Minkowicz począł srodze uciskać Kieżmarczan, tak, iż ci byli zmuszeni zaciągnąć przeciwko niemu 400 kozaków z Polski. W sprawie téj wziął udział także Zygmunt I król polski, zdobył więc Kieżmarek i oddał go pod opiekę niejakiego Smolichowskiego. Tenże Smolichowski i inni komendanci Łaskiego, jak Zebrzydowski, Łobocki, Horchowski, niemiłosiernie płądrowali okolice spiskie, przedewszystkiem probostwa nad Popradem położone. Zrabowali oni przeszło 160 dzwonów, z czego leli działa polowe. W rozbojach tych szczególnieź odznaczał się niejaki Otton, komendant zamku dunajeckiego. Na rozkaz Smolichowskiego osaczył on r. 1531 probostwo w Mühlenbach i zebrawszy wszystkie tam znalezione prowianty, na siedmiu wyładowanych wozach wraz z bydłem do Kieżmarku zawieźć kazał ¹⁾.

Ponieważ Ferdynand nie był w stanie silniój wystąpić przeciwko Zapolyi, za pośrednictwem Zygmunta I, króla polskiego, 21 stycznia 1531 r. nastąpiło zawieszenie broni na trzy miesiące, które 27 kwietnia przedłużono do końca kwietnia r. 1532. Pełnomocnikiem Zapolyi do téj sprawy był Łaski.

W skutek tych ruchów i niezgody między dwoma panami o koronę ubiegającymi się, włączyły się liczne bandy po kraju i łupiły go, mimo zawieszenia broni między oboma królami. Tak w okolicy Paloty rozbijał Władysław Moré podstoli królewski, przeciwko któremu r. 1533 z wiedzą i przyzwoleniem Ferdynanda, król Jan wysłał Łaskiego. Na Spiżu przedewszystkiem graniczny nasz zamek dunajecki stał się ogniskiem rozbójników. Tegoż bowiem czasu, pisze Marcin Bielski (1533 r.), rozbójnicy otrzymali zamek Niedziedza pod Michałem z Spiża, mieszczaninem z Krakowa. Byli między nimi Kauffang, Erasmus Pflug, Jerzy Vitztumb i Ratzenberger ²⁾. Onito rabowali okolice Spiskiej, Nowej-Wsi (Igló), napadali na najbogatszych złotników, porywali jeńców z Lewoczy i odstawiali wraz z skarbami na zamek dunajecki, polecając Lewoczanom: „Jeżeli nie złożycie 500 złr. okupu w przeciągu czternastu dni, to wszyskich pojmanyh powiesimy.“ Siedzieli oni od 17 sierpnia do 23 września 1533 r., w którymto dniu powrócili pojmani Lewoczanie do ognisk swoich. O tych rozbójnikach Marcin Bielski pisze, że „byli to Czechowie, którym król Ferdynand zabrał mienie, dawszy im więc o to, jakoby fałszywe talary kowali. Nanosili na ten zamek ludzi z Czech, z Szlązka, z gór tarnowickich bardzo wiele, które szacowali. Pobrali téż i Bytomiany, ale wyskakowali oknem i połamali szyje. Potém Kafunkę (Kauffang) pojmano i upieczono na żelaznym koniu, drudzy się rozbieżeli, tylko sam Minkwicz (Minkowicz) został na zamku Niedziedzy“ ³⁾.

Roku 1533 Turcy, chcący za pośrednictwem Ferdynanda odzyskać kilka miast i zamków na półwyspie Greckim, zabranych im przez

1) Johann Scholtz: „Kirchliche Nachrichten“, I, 19.

2) Bielski ma Kafunk, Opel, Sirton, Fluk, Minkowicz, Niemiec.

3) Bielski, II, 1063 (wyd. sanockie).

admirała cesarskiego, zaczęli Ferdynandowi obiecywać, iż mu Zapolya znacznej części Węgier będzie musiał ustąpić, za oddanie im onych miejsc. Gdy się to nie stało, rzeczy zmieniły się na korzyść Zapolyi. Ludwik Gritti 1527 r., wenecki i francuzki, następnie i Jana Zapolyi agent w Konstantynopolu, 1530 r., mianowany podskarbnim króla Jana, a 1531 r. nawet tytułem gubernatora Węgier zaszczycony, 1534 r. z tureckimi i wołoskimi posiłkami wkroczył do Siedmiogrodu. Łaski na czas nieobecności swojej oddał Emerykowi Czibakowi naczelne dowództwo w oniej części Siedmiogrodu, co podlegała Zapolyi. Tenże obawiał się, aby Gritti Siedmiogrodu nie ogłosił prowincją turecką, zamiast połączyć się z Grittim, oczekiwał go, stanawszy obozem z licznym wojskiem. Gritti tém rozgniewany, kazał Czibaka w własnym zabić obozie. Skutkiem tego, Szczepan Maylath, stronnik Ferdynanda, korzystając z ogólnego oburzenia, obległ Grittę w Medziaczu (Megyes), a pojmanego na wycieczce, by się przedrzeć do Wołoszy, wraz z dwoma synami rozsiekać kazał (28 września 1534 r.). Król Jan, podejrzewając, jakoby Łaski był przyczyną śmierci Czibaka, kazał go uwięzić. Za wstawieniem się dworu francuzkiego, polskiego, Jana Tarnowskiego i innych panów polskich, Łaski w kwietniu 1535 roku na wolność wypuszczony ¹⁾, rozgniewany, opuścił natychmiast Zapolyę i do Polski powrócił, dobra zaś na Spiżu, jakie miał od Zapolyi: Kieźmarek, Szczawnik, zamek dunajecki i inne, zdał na żonę, gdyż je tak długo miał trzymać, ażby je spałcono.

W zamku dunajskim siedział Minkowicz, którego, jako sprzyjającego Zapolyi, kazał Łaski usunąć, a dowództwo w nim oddał Boboli. Minkowicz kusił się kilkakrotnie, ale nadaremnie, zamek odbić. I tak, w kwietniu 1535 r. uderzył na Niedzicę, wziął ją szturmem, ale wkrótce odparty, wezwał na pomoc Koszyce, Preszów, Sabinów, Bardyjów i Lewoczę. Ale i te posiłki rozgromił Bobola. Niedobitki zamknęły się w Czerwonym Klasztorze. Minkowicz, idąc z tyłu od Lewoczy, nic nie wiedząc, wpadł Wołoszy w ręce i został uwięzion w Niedzicy; a jego oddział, uchodząc z Czerwonego Klasztoru pod Podolińcem zbity, poddał się na łaskę ²⁾. Na pobojuwisku, obok potoku Niedzickiego, wzniesiono później dwie kapliczki, obok dwóch wielkich mogił, w których spoczywają wczas polegli. Te kapliczki mieli wystawić dwaj wodzowie, grzebiąc umarłych. Uwięzionego Minkowicza obdarzył później Łaski wolnością. W Polsce Łaski długo nie bawił; udał się bowiem wkrótce do Wiednia, gdzie otrzymał 21 sierpnia 1535 r. od Ferdynanda zatwierdzenie nadań Zapolyi i przystał do niego. Ferdynand wysyłał go kilkakrotnie do Carogrodu; ale ostatnie poselstwo w r. 1540 po śmierci Jana Zapolyi (21 lipca 1540 r.), w celu pozyskania sułtana dla Ferdynanda, źle mu się udało, gdyż go uwięziono. Uwolniony

¹⁾ Bielski, II, 1066—1067.

²⁾ Tamże, II, 1063.

r. 1541 r., z nadwężoném zdrowiem, z zadanéj mu podobno trucizny, powrócił do ojczyzny, gdzie w 1542 r. życia dokończył.

Z przywileju Ferdynanda, zatwierdzającego Łaskiemu nadania Zapolyi (21 sierpnia 1535 r.), później potwierdzonego przez Maksymiliana II cesarza (1 kwietnia 1573 r.), dowiadujemy się, że Łascy, Hieronim czyli Jarosz i syn jego Wojciech, posiadali zamek i miasto Kierzmarek, zamek dunajecki w ziemi Spiskiej, dobra Bartoszwce w Szaryskim, dobra po Janie Brzozowickim (Berzeviczy) w ziemi Spiskiej i szaryjskiej, a prawem zastawu miasto Debrecyn i opactwo Szczawuickie na Spiżu.

Jakkolwiek zamek niedzicki był własnością Jarosza Łaskiego, a później, jak już wiemy, przeszedł na żonę jego Annę z Kurozwęk, która znowu puściła go synowi swojemu Wojciechowi, wojewodzie sieradzkiemu ¹⁾, jakkolwiek więc był w rękach rodziny Łaskich, to począwszy od r. 1538, z powodu zastawów przechodził chwilowo w obce ręce. Jarosz Łaski, potrzebując pieniędzy, postanowił puścić zamek spiskiemu prałatowi i oficyałowi Janowi Horvathowi, który już w roku 1529 pożyczył Jaroszowi 500 złr. Wreszcie odstąpił mu zamek za 4,000 złr., które Łaskiemu do końca stycznia 1538 r. do Krakowa prałat Horvath przesłać zobowiązał się. Tenże Horvath trzymał stronę Zapolyi. Dnia 13 września 1538 r. wezwał on wszystkich księży 24-ch miast spiskich na zamek i kazał im złożyć 600 złr. na dokonanie wojny tureckiej, tymbardziej, iż poprzednio wspierali cesarskiego wodza Katzianera. Księża oparli się temu żądaniu, zbyt często się powtarzającemu. Oburzony tą krnąbnością prałat, kazał natychmiast pojmać trzech księży, proboszczy z Mühlbachu, Łomnicy i Hrabuszyc (Kapsdorf, Köposztafalu), jako zakładników, w kajdany okuć, pod eskortą 25 ludzi przyprowadzić na zamek dunajecki i do ciemnej dziury pod kaplicą zamkową wtrącić; gdzie o mało co, dla braku powietrza nie podusili się. Wypuścić ich Horvath, skoro proboszcz z Mühlbachu złożył 40, a tamci dwaj razem 345 złr. ²⁾. Nadmienić wypada, że bogatsi księża spisy podlegali w owych czasach zawieruch państwowych wielkiemu uciskowi; musieli oni dostarczać wszystkiego i musieli być wszystkiém, bydło popędzać, dostarczać owoców, piwa, musieli wozić i t. d. Tak np. komendant zamku spiskiego Bornemissa zażądał, aby każdy proboszcz 11 miast niezastawnych dostarczył beczkę piwa; z podobnemi żądaniem wystąpił prałat Horvath. Na jego rozkaz w r. 1543, proboszcz z Werbowa (Menhard, Mensdorf) i proboszcz z Wielki (felka) musieli odwieźć swoje beczki piwa do proboszcza w Białej (Bela), a ten wszystko do zamku dunajeckiego.

W tymto czasie, około r. 1540, nasz prałat Jan Horvath, podejrzany katolik, przeszedł na protestantyzm i ożenił się z córką mieszczanina lewockiego, Anną Zipserówną, z którą miał syna Jerzego Hor-

¹⁾ Niesiecki, wyd. lipskie, 153.

²⁾ Joh. Scholtz. „Kirchliche Nachrichten.”

vatha, urodzonego r. 1540. Ci Horvathowie od zamku rodzinnego Pławca (Palocsa) Paloczajami się nazwali. Jerzy urodził się w Pławcu.

Po śmierci Jana Horvatha, zamek miał podobno kilku jeszcze posiadaczy. Między nimi był także Kaspar Serédy, którego żona Anna Merej 8000 złr. jako wyprawę córce swój Zuzannie, żonie Janusza, księcia Ostrogskiego, zabezpieczyła, a ta w tej cenie ów zamek u Jerzego Horvatha z Pławca zastawiła. Roku 1589 Wojciech Łaski potrzebując pieniędzy na wykupno dóbr swych Łaska w Polsce, podczas bezkrólewia dla wsparcia strony Maksymiliana zastawionych, do reszty sprzedał zamek dunajecki z wszystkimi doń przynależnościami, wolnościami i prawem dziedziczenia temuż Jerzemu Horvathowi, z tém jednak zastrzeżeniem, aby „zamek przechodził w posiadanie nasamprzód męzkich potomków, a gdyby tychże nie było, dopiero linia żeńska osiąść go może.”

Tenże Horvath zamek obdarował, rozszerzył i upiększył, jak świadczy napis łaciński nad bramą na płycie marmurowej roku 1601. Przez przeszło pół wieku zamek dunajecki używał pokoju. W roku 1683 zastawili go Horvathowie baronom Joanellim de Telvana, którzy go dzierżyli aż do roku 1701. W czasie powstania Emeryka Tökölego w roku 1683, zamek nie mało ucierpiał, podobnie jak cały Spiż. Wtedy to zrabowano i spalono Smizan, Letanowce, Betlanowce, Szczawnik, Szwabowce, Hozelec, Werbów, Ruskinowce i Gielnicę. W tymże bowiem roku 4 maja, Tököly podstąpił pod mury zamku niedzickiego, ostrzeliwał go i wreszcie zdobył, a Sylwestra Joanellego, summum rei metallice in Hungaria praefectum, który zamek wtedy dzierżył, jako jeńca do Koszyc odwiózł. Po kilku tygodniach po złożeniu okupu, wydostał się znowu na wolność ¹⁾. W tymże r. (1683) rozbójnicy Salantsego wdarli się do zamku i złupili go doszczętu. Emeryk Tökölyi umarł 17 września 1705 roku w pobliżu Nikopolu. Od tego czasu nad zamkiem zapanował błogi pokój i pozostawał już wyłącznie w posiadaniu rodziny Paloczajów, aż do jej wymarcia w linii męskiej 1857 r.

Wchodząc obszerną, od południowego zachodu aleją do zamku, spostrzegamy nad bramą u samego wierzchu na murze napis: „Renov. 1861, C. B. P.,” odnoszący się oczywiście tylko do otynkowania muru z tej strony i podobnych robót, a nie zaś do samego zamku. Tuż nad bramą na płycie z czerwonego marmuru herb, a pod nim napis: „Georgius Horvat in Polocza, Dunagecz ²⁾ et Landok dominus ac haeres hoc castrum virtute sua ac visiviv (zam. acquisivit), exornavit et ampliavit anno Domini MDCL.”

Przybudowana w trójkąt do starego zamku część, jest jeszcze zamieszkaną, rozumie się przez właściciela, nie troszczącego się wcale o stary grat, który mu nic nie przynosi, bo węgierscy panowie jak na-

¹⁾ Bel w „Prodrumus,” str. 104, podaje Jana Joanellego.

²⁾ Zamek dunajecki.

si, dwóch przedewszystkiém pragną rzeczy: pieniędzy, które poniekąd tak trwonią jak nasi i władzy w swoim ręku. W téj części zamku znajduje się także izba jadalna z trzema oknami wychodzącemi na dziedziniec zamkowy, wysoka, aby biesiadujący nie podusili się w winnej parze, wydobywającej się z ich rozpalonych czupryn, z stropem drewnianym i galeryą dla muzyki naprzeciwko drzwi, z kilku starami krzesłami, trzynastu lichemi portretami i kilku sztychami na ścianach.

Na portrecie nadedrzwiami, prowadzącemi na wspomnianą powyżej galeryą czyli chór, przedstawiającym sędziwego człowieka kłęczącego przed Panem Jezusem, na ćwiartce papieru przyklepionój z tyłu, znajduje się napis: „S. ac M. D. Georgius Horvath L. B. de Palocsa, Haereditarius Dominus in Dunajecz, Landok, Baldokö ¹⁾, Vidislaviae ²⁾, annorum 77 obiit in arce Palocsa die 7 Aprilis anno 1617. Filiusque S. ac M. Domini Christophori Horvath de Palocsa.”

Na samym portrecie w rogu u dołu znajduje się napis, lecz poprawiany i nie dobry do odczytania. Był to ten sam Horvath, którego wspomina tablica nad bramą. Na portrecie umieszczonym obok pierwszego okna od drzwi nad serwantką znajduje się z tyłu napis: „S. ac M. D. Steph. Horvath L. B. de Palocsa ex Sp. ac M. Dua matre sua Catharina Bruntalszka ex Silesia, haereditaria Dua in Vodislo, et Filius Sp. ac M. Domini Georgii Horvath de Palocsa, annorum 43 obiit in arce Palocsa anno 1654 die 2 Decembris.

Na portrecie między drzwiami a piecem znajduje się napis: „S. ac Magn. D. Stephanus Horvath L. B. de Palocsa ex S. ac. M. Domina Catharina Husics matre sua et nepos S. ac M. Domini Georgii Horvath L. B. de Palocsa annorum 39 ³⁾ obiit in arce Palocsa 1685 ⁴⁾. Depictus ad similitudinem anno 1735.”

W rogu między szafką a chórem, naprzeciwko trzeciego okna, popiersie mężczyzny w czerwonym stroju z napisem w rogu: „B. Michal Sandor de Szlavnicza ⁵⁾ natus ⁶⁾ a. 1692 die 28. Septembris aetatis suae annorum 77.” Na portrecie między drugim a trzecim oknem jest napis: „S. ac M. D. Michal Horvath L. B. de Palocsa ex Sp. ac. M. Dua Juditha Karoly matre sua et Praeposito Sp. ac M. D. Georgio Horvath, anno 55 depictus obiit 1731.” Nad głównymi drzwiami jest portret z napisem: „Spect. ac Magn. Christophorus Horvath de Palocsa filius... Spectabilis ac Magnif. Domini Michaëlis Horvath de Palocsa.” Rok zgonu nie jest wyrażony. Na innych obrazach napisów nie ma.

¹⁾ Miasto w Aba ujwarskiém.

²⁾ Nazwy téj nie znajduję ani w d-ra J. G. T. Graessego „Orbis latinus,” ani w Jana Lipskiego „Repertorium locorum Hungariae,” Budae, 1808.

³⁾ Czy 32; drugą bowiem cyfrę zakrywa rama.

⁴⁾ Czy 1689?

⁵⁾ W Trenczyńskiem jest wieś téj nazwy.

⁶⁾ Denatus.

Dwa portrety na ścianie chóru, obok trzeciego okna przedstawiać mają Aleksandra Paloczaję i siostrę jego Kornelię, ostatnich tego domu potomków, a dwa inne naprzeciwko okien nad biurkiem ich ojca Ferdynanda z żoną. Te cztery portrety malowane są w naturalnej wielkości.

Wyłupawszy bardzo gruby mur zewnętrzny obok pieca, zrobiono w nim komórkę z małym okienkiem, w której stoi potężna tuba. Nadedrzwiami do téj komórki umieszczony portret wyobrażać ma Andrzeja Paloczaję, brata Ferdynandowego. Te dwa portrety są najlepsze malowidła znajdujące się tutaj.

Szereg dziedziców zamku dunajeckiego w rodzinie Paloczajów jest zatem następujący: w r. 1589 od Łaskiego Wojciecha nabywa zamek dunajecki Jerzy Horwath Paloczaj. Ten miał za żonę Katarzynę Bruntalską. Umarł 7 kwietnia 1617 r., mając lat 77. Po nim nastąpił syn jego Stefan, zmarły 2 grudnia 1654 r., w wieku lat 43; następnie syn tegoż, także Stefan, umarł 1685 (czy 1689?) w wieku lat 39 (czy 32?); po nim Michał, syn jego umarł r. 1731 w 55 r. życia; Franciszek, syn Michała; Józef, syn Franciszka. Józef, który umarł r. 1815, pozostawił dwóch synów Andrzeja i Ferdynanda. Andrzej dzierżył zamek dunajecki od roku 1815 do 1828. Ono rozszerzył, wzmocnił i upiększył zamek w latach 1821—1823. Umarł atoli r. 1828 bezdzietnie. Po nim objął zamek brat jego Ferdynand. Ten obrócił tylną część zamku od zachodu i północy na więzienia. Tutaj od r. 1828 odbywały się cztery razy do roku sądy ze zbrodniarzami, które r. 1848 zniszczono. Tenże Ferdynand miał syna Aleksandra, który zmarł przedwcześnie i na nim wygasła męzka linia Paloczajów. Pozostała po nim córka Kornelia wyszła za magnata węgierskiego Salamona i zostawiła czterech synów: Aladara, Gézę, Teodora i Attylę. Ferdynand umarł r. 1857 i testamentem postanowił następcami swymi synów Kornelii. W r. 1869 w skutek podziału dóbr Paloczajów, zamek dunajecki przeszedł na własność młodszego syna Teodora Salamona, a w r. 1873 żona jego hrabina Gizella Csaky, nabyła go i jest jego właścicielką do dziś dnia.

Wróćmy jeszcze do galerii obrazów. Przy oknie jest licha barabanina wyobrażająca rabina z rątczem na głowie i z okularami na nosie, trzymającego przed sobą książkę otwartą. Nad nim na brzegu obrazka napis:

„Jestem Lejbuś Świniowski,
Także rabin pinczowski.”

Na jednej karcie otwartéj książki stoją słowa:

„Dziękuję Ci, Panie Boże, żeś mnie nie stworzył wołem,
Boby chłop chodził za mną z kołem.”

Pod malowidłem kilkadziesiąt wierszy polskich, również lichych jak cały obrazek, zaczynających się:

Nie wiedzieli żydowie
 Że jest Lejbuś w Pinczowie;
 Chodzili się więc pytać,
 A rabina tam szukać i t. d.

Naprzeciwko wiszący obrazek ma przedstawiać błazna nadwornego jednego z ostatnich Paloczajów. Między sztychami jeden wyobraża Pawła I odwiedzającego Kościuszkę w więzieniu, drugi Kościuszkę otrzymującego wolność. Biurko naprzeciwko okien ma być darem papieżkim, co poumieszczane na niem dla ozdoby widoki rzymskie potwierdzać się zdają. Oczyszczone i naprawione, przydałoby się może do jakiego zbioru starożytniczego. Tutaj w krótkim czasie zniszczeje.

Izby niższego zamku służą bądź na mieszkanie, bądź na rozmaite składy. Sam stary zamek jest już prawie zupełnym zwaliskiem. Po lewej ręce wnijścia do niego znajdują się dosyć obszerne sklepienia z małeńkiem okienkiem, a zatem prawie zupełnie ciemne. Były to więzienia do niedawnego czasu jeszcze używane, świadczące o barbarzyństwie, jakie na Węgrzech dotrwało do najnowszych czasów i które dzisiaj tylko na oko jest usunięte. Dodać należy, że złoczyńcą w Węgrzech mógł być prawie tylko chłop, jego też tylko wsadzano do takich nór. Nieco wyżej jest podwórzyk, w którym znajdowała się studnia, w skale kuta. Jak opowiadano mi, przedostatni Paloczaj kazał ją zasypać dla snu, który go zaniepokoił, jakoby jedyny syn jego był się w niej utopił. Wyszedłszy z jednej z baszt, dokąd się dało, podziwiałem zarówno mocną budowę i zachwycający z małych okienek widok na okoliczne góry i na Tatry, jak na opuszczenie tak pięknej, przez właścicieli z krociowemi dochodami zajętej budowy ¹⁾.

Na dziedzińcu przed zamkiem stoi stary dąb zwany dębem rodzi-ny Paloczajów, o którym krąży podanie następujące: pierwszy właściciel zamku dunajeckiego, Jan Horvath, eksprałat, gdy objął zakupioną przez siebie posiadłość, wyszedł nocą przy świetle księżycowem przed zamek i przypatrywał się mu z zadowoleniem. Wtém niedaleko od bramy spostrzegł coś skakającego wkółko i w górę na dwa do trzech łokci. A gdy się przybliżył, spostrzegł starą cygankę. Na pytanie, co tu robi, odpowiedziała, że na tém miejscu zasadziła żołądz, że z niej wyrośnie dąb, a ten dąb będzie drzewem życia rodziny i jak on będzie rósł, tak Paloczajowie będą wzrastali w bogactwa i potęgę; jak on uschnie, to oni umrą bezpotomnie. Paloczaj uwierzył cygance, kazał miejsce ogrodzić, strzedz, a gdy żołądz zesza, drzewko pielęgnować, które bardzo prędko i silnie rosło. Na nim i synie jego sprawdziły się przepowiednie cyganki, bo siedział w domu i pilnował go. Za życia ojca ostatniego z Paloczajów, który służył w wojsku przeciw Napoleonowi i przez lat dziesięć nie był w zamku, dąb przestał

t) Ob. Br. Gustawicz: „Einiges über das Dunajecer Schloss, eine Reise-erinnerung. W Zipsez Bote, 1881, Nr. 22.

rość i częściami usychać począł. A gdy syn jego, ostatni Paloczaj, puścił się w świat, dąb widocznie zmarniał. Wrócił po dwóch latach; ale żadnym staraniem nie zdołał życia w obumierającym drzewie wzniecić.

W zamku dunajeckim urodziła się matka hrabi Romana Zakuskiego, którego babka uchodząc przed wojskiem rosyjskiem ze Suchej (w Wadowickim), tutaj gościnne znalazła schronienie.

Z rzeczy już gdzieindziej o zamku tym drukowanych, teraz nie wspomnę, chyba, że Łucya z książąt Giedrojców Rautenstrauchowa w dziele swoim: „Miasta, góry i doliny“ (Poznań, 1844) powiada: „Zamek się zowie Nedu, po naszemu Niedźwiedź.“ Dr. L. Pietrusiński zaś w dziele swoim: „Podróże, przejażdżki i przechadzki po Europie“ (tom IV, Warszawa, 1845), w przypisku na str. 219 zrobił uwagę: „jeżeli Niedzica znaczy tyle co niedźwiedzica, tedy postawienie niedźwiedzi naprzeciw niej na gruzach Czorsztyna, jest może dowodem czułości i galanteryi ze strony dziedzica czorsztyńskiego.“ Innego zdania była Łucya z ks. Giedrojców Rautenstrauchowa. Na skałach pod zamkiem rozstawione niedźwiedzie zwie ona straszdyłami niekstałtnie zrobionemi, niby srożącemi się na sąsiedni zamek tegoż nazwiska, miała to być oznaka nienawiści właściciela Czorsztyna dla sąsiada. („Miasta, góry i doliny“, I, 108), J. Seweryna Goszczyńskiego, który w r. 1832 był w tych stronach, mierzyły te niedźwiedzie. „Wzniosła musiała być dusza, co tu pierwsza zamieszkała. Czemuż tego o spółczesnych powiedzić nie mogę? A nie mogę, kiedy spojrzawszy dokoła siebie, widzę jakby na urągowisko przeszłości tego miejsca rozsadzone po gruzach niedźwiedzie z drzewa. Ma to być pomysł dzisiejszego ich właściciela.“ („Dziennik podróży do Tatr“, Petersburg, 1853, str. 231).

Co do tych niedźwiedzi rzecz tak się miała: na dwóch przeciwległych skałach, zamykających pod zamkiem czorsztyńskim, jakby brama z obu stron drogę nowotarską, rozchodzącą się poza tą bramą, to jest na wschód od niej pod samym zamkiem na dwie strony, na południe do Węgier, na wschód do Krościenka, ojciec dzisiejszego dziedzica Maksymilian Drohojowski, który nie był bez dziwactw, skoro nawet na aktach urzędowych miał się podpisywać: „M. D. jak bursztyn czysty, jak szkło przezroczyste“, postawił dwa drewniane niedźwiedzie. Ktoś z przejeżdżających, widząc te ozdoby, napisał pod jednym z nich:

„O dziwo natury!

Osiół wysadził niedźwiedzie na góry!”

Po tak zrozumiałej inwokacyi usunięto niedźwiedzie.

Pod Wyrokiem.

OPOWIADANIE Z LAT 1706—1713 *).

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

VI.

Dziwném to się dziś niejednemu wydaje, a wielu czyni ztąd gorzkie i szyderskie społeczeństwu naszemu zarzuty, że w owych Augustowskich czasach kilkonastoletniej wojny w kraju, gdzie tylko się na chwilę uciszyła, gdzie jakietakie znalazło się bezpieczeństwo, bawiono się, pito i hulano u nas jakby za najlepszych czasów. A jednak, poznawszy dokładnie epokę ówczesną i kilkudziesięcioletni peryod co ją poprzedzał, poznawszy ogólny stopień wykształcenia i obyczaje oświecenijszej warstwy społeczeństwa we wszystkich państwach ościennych jako i u nas, poznawszy wreszcie warunki publicznego i domowego życia, nie zgoda w objawie tym ani dziwnego ani tém bardziej, z ówczesnego punktu widzenia sądząc, zdrożnego dopatrzeć nie można. Dziś boimy się wojny, bo jest nieskończenie więcej niszczącą niż dawniej, boimy się, bo sami w niej nie uczestniczymy, bo nasz grosz zapracowany, nasz pieniądz, ktoby go miał, jest tylko jakimś kawałkiem szmatki, gałganka, papieru, skórki baranięj; bo dom zamożniejszy pochłonął krocie na urządzenie, wygody, sprzęty i ozdoby, z przeproszeniem funta kłaków nie warte. Ale inaczej było za czasów Augusta; naprzód, od początku prawie XVII wieku, nie sięgając już dalej, wojna u nas była nieustanna a rzadki trafił się taki coby w niej sam nie brał udziału; chléb był to u nas powszedni. Magnaci tylko po miastach, zamkach i obronnych siedzibach posiadali bogato urządzone mieszkania; szlachcic jeśli miał

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

grosz, to brzęczący, metal który wartości nie traci, jeśli go wydał dla splendoru domu, kupował jedynie klejnoty, srebra, futra, makaty lub piękny rynsztunek wojenny, a z tém i w razie wojny kłopotu nie było. W pilnym wypadku przez jedną dobę upakowano bez trudności, sprzątniono i schowano wszelkie bogactwo domowe, zostały jeno gołe ściany i strzecha, a gdy te w zawierusze poszły z dymem, za nadejściem spokojnego czasu, las dał drzewo, matka ziemia słomę, robocizna kosztowała nie wiele i aniś się opatrzył kiedy już stanął budynek: wyciągnięto z kryjówek rupiecie i było jeszcze piękniej niż wprzód. Dodajmy do tego, że ludzie byli nie tak jak dziś zniewieścili, nad gazetami i romansami oczu nie psuli, a życie życiem, i czémś go zawsze zapełnić trzeba; zdrowsi téż byli, ruchliwi, dzielniejsi; w obrotach zaś ciągłych zahartowani, mieli animusz, fantazją, i humor i butę, o jakich dziś pojęcia nie mamy. Dodajmy, że ogół nie rozumował szeroko, a ledwie gdzieś niegdzieś znalazł się głębszy polityk, statysta, który złe następstwa przewidywał; ale i tych smutnych przepowiedni przyzwyczajono się słuchać bez końca od pierwszych lat XVII wieku, gdy mimo tego Rzeczpospolita jakoś się i przy kłeskach trzymała, nieprzyjaciel nie jeden wchodził i wychodził a przecież byt polityczny trwał zaapewniony i każdy miał jutro przed sobą a grunt mu się własny z pod stóp, jak dziś, nie usuwał. Wówczas téż jeszcze nie czytano kroniki wypadków historycznych doprowadzonych do roku 1880, z poglądami krytycznemi, w których uczeni autorowie dają surowe rady, notabene post facto, królom, senatorom i szlachcie jak postępować byli powinni, zapominając o jedném prostém przysłowiu: „zrób mnie prorokiem a będę bogatym.“ Koniec końców, według nas, sąd o przeszłości nie z dzisiejszych ale z współczesnych pojęć wywodzić należy, a jeśli kto się dziwi że się w ówczesnym świecie bawiono, cóż powie? cóż może powiedziéć widząc że dzisiaj jeszcze się ludzie bawić i weselić mogą?

Z tych przeto zasad i spostrzeżeń któreśmy wyżej podali, wychodząc, w prostocie ducha wyznajemy, że bynajmniej się nie dziwimy hulankom i zabawom, jakie się w owych czasach i u nas zdarzały.

Na początku 1707 roku, w skutek altranszackiego traktatu, chwilowo, działania wojenne osłabły, a wielu z dygnitarzy Rzpltej widząc upadek Augusta, przechodziło do stronnictwa króla Stanisława. Ubiegano się za urzędami i starostwami; Karol XII bawił wciąż jeszcze w Saxonii; wojska cara Piotra uganiały się za Szwedami w Wielkopolsce pod Poznaniem, Toruniem, Leszmem i Bydgoszczą. Wojewoda kijowski z wielu innymi panami schronił się do Wrocławia; Wiśniowiecki skłaniając się już także do Leszczyńskiego, wszedł w układy o zawieszenie broni z Lewenhauptem na Litwie; generał artylerji Sinicki, miecznik W. Ks. Lit. porał się z wojskami cesarskimi gdzieś aż koło Bychowa, pod Mohylewem; sandomierskie i krakowskie województwa, jako jawnie Augustowi nieprzychylnie, dusił wprawdzie hetman Sieniawski, ale już w reszcie kraju a zwłaszcza w Przemyskim i Sannockim oddawna cicho było i spokojnie. To téż, jak tylko szlachcie

cokolwiek, jak mówiono „szpary odeszły“ a zbliżyły się zapusty, wnet panny i młode mężatki przypomniały sobie pląsy i krotochwile, młodzieńcze także nie patrząc na jutro, zawsze rada zabawie, starsi mieli o czém rozprawiać szeroko i długo, racya to również nie miała, żeby się tu i owdzie zjechać, a zebrawszy się na sucho siedzieć trudno; nie było to wcale w obyczaju ówczesnym i nietylko u nas ale i wszędzie, wypróżniały się więc antałki i... choć bięda to hoc!

W Sanockiem dwa domy były gdzie się od dawien dawna najweseliej bawiono: u Rosnowskich i u JMPana Bukowskiego łowczego sanockiego, wuja podstoliny Rosnowskiej, wdowca, który miał pięć córek na wydaniu, od lat 20 do trzydziestu kilku wieku. U Rosnowskiego, jeszcze za życia pierwszój jego żony, bawiono się zawsze wesoło; gdy się zaś z terażniejszą, która to właśnie dowiadywała się o męża we Lwowie, ożenił, baliki i zabawy nie ustawały; bo jejmość bez tego żyć nie mogła i drugim promotorem był brat Rosnowskiego, pan Paweł stolnikowicz żytomirski, sławny hulaka, który swoją fortunę do szeląga przetracił i na łaskawym chlebie siedział u brata. Dodać wszelako należy, że gdy się na wyprawę wiedeńską, mając lat 20 wybierał, sprzedał folwark bratu i co miał grosza wysypał, aby buńczuczno, z sowitym pocztem pod chorągiew husarską zjechać; ale mu się nieszczęśliwie powiodło; pod Parkanami ranny, stracił nogę, złupiono go z kretešem, i tak, osiadł pan Paweł przy rodzinie narzekając na losy, na ludzi, na brata dobrodzieja nawet, a że skorupka czém zamłodu nasiąknie tém na starość trąci, pociechy i zabawy szukał jedynie w wesołej gawędzie, a tém lepiej jeśli przy pełnej czarze. W domu téż były i dwie córeczki z pierwszój żony podstolego Rosnowskiego, podlotki od lat czternastu do piętnastu. Pani Rosnowska po zaginięciu męża, o którego nigdzie się dopytać nie mogła, zrazu lamentowała srodze; pocieszał ją pan Paweł, wzdychał także, pokręcał sumiastego węża z miną zamyśloną, wreszcie rzekł kiedyś, w sposobie głębokiej uwagi: — Bo żebyś przynajmniej, jejmość pani bratowa wiedziała, czy jesteś wdową czy mężatką!

Spostrzeżenie to musiało trafić do przekonania pani Rosnowskiej, z westchnieniem bowiem, dorzuciła żywo:

— Ach! otóż to właśnie!

Mieszkający o miedzę JMPan Bukowski łowczy sanocki, nie mógł córek skazać na klasztorne życie; każdy wiek ma swoje prawa; prawda że najstarsza z nich, nieco garbata, przeszła już była trzydziestkę i jakoby matkę tylko siostrom zastępowała; ale zato młodsze panny dość urodziwe, żwawe, zdrowe i dorodne, potrzebowały się przecie pobawić; no, a gdyby się którój i udało, dobrze było i męża ułowić. Narzekał téż pan łowczy mocno, że ludzie, jakoś temi czasy, mało się żenili, utrzymując że to się dzieje z ujmą nawet i uszczerbkiem Rzeczypospolitej; bo szlachty siła w ciągłej wojnie ginęło i przepadało marnie, więc się małżeństwa témbardziej powinny być kojarzyć. Panny znajdowały, że ojczulko ma słusność wielką i jest bardzo rozum-

nym człowiekiem; z kąd należało wnosić, że wychowane były jak należy i szczerze ojczyznę kochały.

Poeci i bajorze, opisując krwawe jakieś wypadki, dla uczynienia na czytelniku większego wrażenia, przedstawiają nieraz i obraz wzbudzonych jakichś współcześnie żywiołów; jakgdyby i one w dziejach namiętności ludzkich uczestniczyć miały? Jestto jednak najczęściej *licentia poetica* jedynie. Tajemniczego jakiegoś może związku człowieka ze światem nie zaprzeczając bynajmniej, przyznać jednak potrzeba, że czasem przyroda lubi się urągać z ludzi; uśmiecha się spokojna, wdzięczna i wypogodzona w najcięższych czasach smutku i żałoby, zdaje się, jakgdyby żartować chciała, czy stroskany umysł człowieka pocieszyć, lub wskazać małość, nikczemność, a nietrwałość działań i porywów ludzkich, w obec niewzruszonego porządku, piękności, bogactwa i niepojętego ogromu sił, rządzących światami.

Tak było i tej zimy właśnie; wojna wciąż trwała kolejno przenosząc klęski w rozmaite okolice kraju; przycichając w niektórych stronach lub wybuchając nanowo; już się z nią ludzie, wprawdzie, i otrząskali nieco, a byle gdzie ucichło na czas jakiś, pocieszano się nadzieją, tak zwaną „pacyfikacyi;“ ale niemniej i wojna i klęski nie ustawały, a mimo to jednak najpiękniejsza trwała pogoda, i precudny czas zimowy zdawał się zachęcać do życia, uciechy, do wesela i zabawy. Od początku grudnia stanęła sanna wyśmienita, mrozy w pierwszych dniach stycznia silniejsze, zmniejszyły się wkrótce i z lekkim południowym wiatrem, niosącym drobniuchne barankowate obłoczki na ozdobę nieba, nastął czas cichój, jasnej, prawie wiosennej pogody. Jakby też dla upiększenia świata, mgły, które co ranek go otulały, lekkimi przymrozkami stężane, wieszając się po najdrobniejszych nawet gałązkach drzew i krzewów, okrywały je milionami niedojrzanych kryształów, jakoby drogocenną i wspaniałą szatą z najcudniejszych brylantów i drogich kamieni utkaną. Jakże się na czas tak cudny nie rozweselić choć trochę? W zapusty więc najprzód u JMPana Bukowskiego zabawiano, a po sąsiedzku i pani Rosnowska z pasierbicami i bratem męża, mimo domowego smutku, jechać tam musieli. W jakiś czas potem, pan Paweł, lubo sam ubolewał mocno nad brakiem wiadomości o bracie, ale jedynie z dobroci serca, dla rozweselenia, jak mówił, w wielkiej „aprehensyi,“ pogrążonej pani bratowej, podszeptął, *sub secreto*, sąsiadom, aby kuligiem jadąc i ich przecie nie pominęli. Stało się więc, że w sam dzień właśnie świętego Pawła pustelnika, z trzaskiem, wrzawą, strzelaniem, wiwatami i muzyką na czele, zwałił się, jak lawina, coraz rosnący po drodze, liczny i wesoły kulig, do domu w smutku tonącej JMPani Rosnowskiej. Cóż było robić? Należało gości przyjąć, ugościć i bawić. Naprzód tedy, staroświeckim obyczajem, wpadła jakaś maskara w kapuzie, z dzwonekami, a biegając po izbach i trzepaczką, trzymaną w ręce, uderzając tu i owdzie po sprzętach, albo i po plecach lekko, jak się kto nawinał, wołała głośno: „kulig! kulig! kulig jedzie!“ Aż za chwilę rozległ się hałas, muzyka,

salwy z rusznic i pistoletów, z przeraźliwym brzękiem upręży, zabiegać zaczęły sanie za saniami i młodzież na koniach; wysypali się tedy goście w tumulcie wielkim, a przeróżnych strojach. Więc i żydzi i cygani i za Szwedów i kałmuków nawet poprzebierani i krakowiak, jako pan młody i niby panna młoda z druchnami; a na czele owego simulowanego wesela, już bez żadnej maskary, sam, we własnej osobie JMPan Franciszek Złotowski, cześnik, który tu rej wiódł, jako weselny starosta. Zwrócił się tedy zaraz do gospodyni i stanąwszy w kroku poważnie, prosił o gościnność i pozwolenie zabawy, przyczem uczynił grzeczną alluzją, że jakkolwiek o gospodarzu wiadomości nie ma, „pewna rzecz, iż uczciwój sprawie, a miłej ojczyźnie służąc, szczęśliwie i w dobrém zdrowiu powróci, tymczasem zaś, sąsiedzi i przyjaciele nadobnej gospodyni, na zbytnią alteracją i psowanie pięknych oczu pozwolić nie mogą, a zatém...” Ale gdy tych słów domawiał, już pan Paweł Rosnowski, jako tymczasowy gospodarz domu, podawał szanownemu gościowi powitalny potężny roztruchan małmazji, który on tóż, nie dając się prosić, spełnił rzetelnie, oddając go w ręce JMPana stolnika Golejewskiego; ten zaś wypróżniwszy, puścił go w dalszą koleją JMPanu Stefanowi Brzezińskiemu, rotmistrzowi piechoty węgierskiej Rzplitej, i tak dalej i dalej; a nim owa kolejka obesza, już zastawiono stoły, muzyka grała, młodzież zaś i starsi niektórzy tańcem rozgrzewali się po mroźnej podróży. Poważniejsi ichmoście zabrali się tymczasem do gawędy, dyskutując to o „ewentach“ wojennych, to o przymiotach i wadach dwóch koronatów: Augusta i Stanisława, siłąc się na odgadnienie albo dowiedzenie, któryby z nich więcj Rzplitej przyniósł korzyści; ile że w tym właśnie czasie jeszcze się Leszczyński nie ugruntował na tronie, z którego ledwie nie wczoraj Karol XII zsadził króla Sasa.

Tu JMPan stolnik Golejewski, co był posłem ziemi Halickiej na sejm konwokacyjny, a znał się pono naówczas i z Polignakiem i z kardynałem Prymasem, zmarłym właśnie przed dwoma laty, pokiwał smutnie głową, pociągnął z lampki łyk sowity i westchnąwszy głęboko rzekł zcicha:

— Kto wie? mościbdzieju, najlepszy byłby może de Conti.

Na to, potężnym głosem zaśmiał się JMPan cześnik Złotowski.

— De Conti!—powtórzył—cha! cha! a może ten cukiernik, Odeschalchi! Szanuję cię, panie Janie i kocham, ale, panie bracie, dalipan, za de Contim, to i „gęby rozwodzić“ niewarto.

— Jakto?—spytał cześnik—dlaczego?

— Boć to już rzecz osądzona.

— Przez kogo?

— No, przez wszystkich; zapomniałeś kochany stolniku, co to o nim wówczas mówiono.

O! mówiono, mówiono!—mruknął stolnik—cóż tak znowu mówiono!?

Co?—zaśmiał się JMPan Złotowski—a to ja ci, panie bracie, mogę łatwo powtórzyć co o de Contim mówiono.
Tu podniósł głos cześniak i zaczął:

Katolik, bo to tytuł francuzkiego tronu,
Apostata, bo sekty wschodniego trionu ¹⁾,
Mądry, bo chce korony coś dając pieniędzy,
Głupi, że się nie boi dla nadziei nędzy;
Dość hojny, bo dał resztę fortun dla Polaka,
Ubogi, boby na tron był gorszy żebraka,
Liber baro w odgłosie, subditus Ludwika;
Czy przyjąć może wolność panem, niewolnika?
Bój się tego przezorna ojczyzno taranta,
Centki znaczą Francuza, zdraдлиwego franta;
By cię z tém nie oszukał ten dziwny Proteusz,
Niech nie ma Conti tronu, gdy nie miał Kondeusz!

Uśmiechnęli się słuchacze, jeden tylko JMPan stolnik machnął ręką niechętnie.

— At! co tam, mościbdzieju—mruknął—to były tylko paskwilysy adherentów Przebendowskiego.

— Ba! niekoniecznie — odrzekł pan Złotowski — boć przecie wiesz, panie bracie, że nomen to omen, a skoro się nazywał de Conti, musiał też i pójść u nas... do kąta.“

Tu wielki chór śmiechu zawtórował conceptowi pana cześniaka; ale jednocześnie usłyszano ruch przed domem i w sieniach. Widocznie nowi nadjeżdżali goście; gdy jednak u podstolinéj cała niemal okolica była teraz zebrana, zdziwili się wszyscy mocno, naprózno starając się domyślić, ktoby mógł jeszcze przybywać.

Pan Paweł, już nieco podweselony, stukając kulą, podążył do sieni, a za nim we drzwiach ciekawie wyglądała i gospodyni.

Goście tymczasem, żywo poczęli zrzucać szuby i kaptury, obsypały śniegiem.

— Upadam do nóg!—ozwał się na wstępie jeden z przybyłych, gdy drugi kłaniał się jeszcze zdala.

— Pan Hrehory!—zawołał wesoło wice-gospodarz.

— Ach! i pan Stefan!—wykrzyknęła rumieniąc się mocno gospodyni, i podbiegła żywo śliczną do Russyanowicza wyciągając rączkę. Nastąpiły powitania serdeczne i tysiące zapytań posypało się gradem.

¹⁾ Triones zwano w astronomii zbiór siedmiu gwiazd małej Niedźwiedzicy; trio więc tu znaczy zbiór, stowarzyszenie; aluzya do massoneryi, która się w owych czasach w Anglii zwłaszcza, a w części i we Francyi zaczęła silniej wiązać i rozszerzać. Wierszyk cytowany, jest współczesny, ze starego rękopismu, rozpowszechniony przez stronników Augusta.

Zkąd przybywali? co słychać? co się dzieje we Lwowie i Żółkwi, gdzie miał być zjazd walny dygnitarzów Rzplitej z carem Jegomością?

— Ani się domyślacie—mówił Puzyrowicz, kawałki lodu z obmarzłych odrzucając wąsów—ani wam się śni, z jakiej my się łązni wysłiznęli.

— No, co? jak? gdzie?—pytano ciekawie.

— Czy was Sasy opadli?—zawołał ktoś z boku.

— Może kałmuki?—rzekł drugi.

— Albo Szwedzi?—zagadnął inny.

Obstąpiono nowoprzybyłych, ale Puzyrowicz zwrócił się do pięknej gosposi:

— Kochana siostruniu! Podstolinko dobrodziejko! będziemy gadać, ale każ podać choć drobinę gorzałki, bo, proszę ja ciebie, w gardle mi zamarzło.

— A no, masz wino—rzekł podnosząc właśnie kielich pan Paweł.

— E, dziękuję ci, odparł Hrehory—ja tak zaraz po mrozie wole kieliszek gorzałki, niech to sobie Stefan, delikacik pije, a ja, na późniejszej zamawiam.

— Zkądże waćpanowie jedzicie?—zapytała gospodyni.

— Ze Lwowa—odrzekł pan Stefan—ale śmiejąc się—dodał—niekoniecznie prostą drogą.

— Ba!—począł Puzyrowicz—że krzywą, to prawda; ale nie mamy się na co uskarżać, bośmy z téj racji znaleźli się tu, u miłej naszej gospodyni... no, i choć na nas zastawiono pułapkę, salwowaliśmy się jednak z łaski Pana Boga.

— Kto? co? cóżto było?—pytano wkoło.

— A no, któż?—ciągnął Puzyrowicz—jak nie hetmańskie pieski? a najpierwszy ogar, Kotoni, co na niskim zamku rej wodzi. Wytropił nas, bo kazano poprostu łąpać wszystkich, co pod chorągwią wojewody kijowskiego służyli, i listę już mają; ale żeśmy w sam czas umknęli i w mieście nas brać, widać im nie wypadało, więc się zasadził na drodze. My wyjechalśmy o niczem nie wiedząc, i bylibyśmy mu w łapy, jak Bóg Bogiem, wleźli, ale się zdarzył osobliwszy trafunek, co nas uratował. Wyjechalśmy pod wieczór, kierując się na noc do starosty Gintowta; tymczasem zmierzchno, wiatr drogę zadymał, no, i ślad nam zginął ze szczętem; z godzinę wałęsaliśmy się, nie wiedząc sami dokąd jedziemy, aż napadłszy wreszcie na drogę lepię ubitą, puściliśmy się śmiało; ledwieśmy kilka staj ujechali, spotykamy jakiegoś podróżnego, piechotę kopiącego się po zaspach, z wielkim trudem. Patrzymy... aż to JmPan Stanisław Gintowt, ten poczciwiec, co na swoim królestwie sfiksował. Stój! stój! Zatrzymaliśmy się, pytam go: „zkąd wasza królewska mość idziesz?“ Odpowiada nam, z powagą wielką, że wypełniając pobożne votum, chodził na nabożeństwo do Lwowa, i wraca. A tu my z nim spotykamy się i jedziemy w przeciwną stronę! Spojrzeliśmy po sobie; co to jest? Powiadamy mu, że

chyba zbłądził, bo my właśnie ze Lwowa do starosty dążymy. Na to Stanisław: „A to waszmość błądzicie, bo ja nie sto razy tędy i w zamieć i w najciemniejsze nocy idę, a nie błądzę nigdy; dopiero—prawnam—ćwierć mili, jak zieloną karczmę pominąłem i tu już jest lepiej ujeżdżona droga, ale mnie tam hetmańska rajtarya trochę zatrzymała.“ Jakby nas co tchnęło, kiedy to powiedział. Pytamy się, jaka? „Toć ją zobaczycie—mówi—bo tamże jedziecie.“ Jedziemy albo i nie—odrzekłem—bo już coś przeczuwałem? A któż tam jest?—pytam.—Mówi nam tedy, że Koton i już od pół dnia z rajtaryą stoi, ma czaty porozsyłane na drogi, i że śmiejąc się, a podobno podchmielony, rozpowiadał mu, iż czeka na dwóch wojewodzińskich „ptaszków“, jadących ze Lwowa, których ma do hetmańskiej klatki ułować; a dodał jeszcze, że może na noc do starosty nadciągnie. Była tedy rzecz jasna, oporu przeciw jego sile nie mogliśmy stawić, więc rozpoznawszy się z miejscem i pożegnawszy naszego poczciwego zbawcę, kopnęliśmy się zaraz bocznemi drogami, a suponując, że nas szukać mogą, zwróciliśmy się w tę stronę, i oto dojechaliśmy przecie do was szczęśliwie.

Uciecha tedy wielka nastąpiła po tém opowiadaniu pana Hrehorego, zaczęto wnosić zdrowia przybyłych, ożywiło się towarzystwo całe, jak ogień oliwą, nowym jakimś podsycone żywiołem i hulatyka się rozpoczęła na dobre.

Wino rzeczą jest niebezpieczną; dawno już tego ludzie, pono od czasów Noego jeszcze, doświadczyli; niemniej, zdaje się, że go i do skończenia świata nie zaniechają. Przekraczając w picu pewną miarę, która może być dla zdrowia dobrą i skuteczną, przechodzi człowiek coraz dalej przez trzy stany odrębne, z których każdy ma swoje złe i niebezpieczne strony. W pierwszym, ludzie się stają żartobliwymi, a często i złośliwymi, ztąd wywiązują się zwaśnienia, sprzeczki, kłótnie i niezgody; w drugim, świat się dla człowieka najzupełniej zmienia, wszystko jest teraz dobrém, doskonałem, wyborném, wszyscy ludzie mili i kochani, a kobiety... istnemi aniołami, szczytem piękna i marzeń, jedynemi istotami, stworzonymi dla uszczęśliwienia człowieka; w trzecim nareszcie stanie, ludzie, niestety, przestają być ludźmi i spadają... niżej zwierzęcia; o tém więc niema już nic do mówienia. Żaden przeto z tych stanów nie jest naturalnym, a zatém ani dobrym, ani pożytecznym, lubo dla wielu może być każdy z nich, aż do ostatniego, miłym i pożądanym.

JMPan Stefan, choć pić nie lubił, musiał się wszelako do towarzystwa stosować, a lubo od wielkich roztruchanów wywijał się zrzęcznie, pił jednak немало, i szczęśliwie jakoś, a prędko najpierwsze działanie wina przeszedłszy, znalazł się w owym drugim stanie. Świat mu się tedy wydał cały już cudownie pięknym i miłym, kobiety posłannikami łaskawego nieba, z nich zaś wszystkich, ciągle się jakoś nawijająca na oczy, istotnie urocza i ponętna gospodyni, cudniejszą od całego świata. Wśród tłumu gości, znajdowała ona co chwila sposobność zbliżania się do Stefana, posyłania mu słodkiego uśmiechu, rzu-

cania wabiącego spojrzenia, lub miłego słówka, wyciągania wreszcie na dłuższe nieco rozmowy, jakby sam na sam, które dla otaczających ginęły wśród powszechnego gwaru, zgiełku i hałaśliwej muzyki. Stefanowi ciążył na sumieniu ów pierścień, który mu Rosnowska przysłała, zaraz więc przy pierwszej sposobności chciał się od jego przyjęcia wymówić.

Piękna podstolina, nim słowo odrzekła, zatopiła naprzód głębokie i przeciągłe wejrzenie swych ciemno-szafirowych źrenic w oczach pana Stefana, który też pod tym magnetycznym prądem bezwiednie zmieształ się i oniemiał prawie; jak owa nieszczęśliwa ofiara, którą lew przed pożarciem, jedném spojrzeniem, na bezwładność skazuje.

— Jakto?—szepnęła wreszcie—waćpan nie chcesz przyjąć od przyjaciółki tej małej paniątki?...

I położyła swą drobną a pulchną rączkę na dłoni Stefana.

Biednemu Russyanowiczowi słów jakoś zabrakło do odpowiedzi.

— Owszem... ale... w istocie, nie wiem—jąkał się nieśmiało.

— Ach! — westchnęła pani Kamilla — w mojem nieszczęściu chciałabym choć jednego szczerego przyjaciela znaleźć; o! pan nie wiesz, panie Stefanie, jak ja przez całe życie byłam nieszczęśliwą! Mój nieboszczyk mąż...

— Ależ, pani...—przerwał Stefan—może on nie zginął, niewiadomo...

— Oh! zginął... zginął pewnie—mówiła wzdychając podstolina—ale—dodała zcicha—niech mu tam Pan Bóg przebaczy! miałam z nim bardzo ciężkie życie... Zręda był stary, gwałtowny, zazdrosny... a jednakże, ja i jego żałowałam; płakałam... ach! jak płakałam! Bo cóż? ja teraz sierota, sama jedna na świecie; któż się mną zaopiekuje? Taki już mój los nieszczęśliwy...

Tu nachyliła się do gościa swego bliżej i zaczęła się cichsza rozmowa.

Nieopodal, z współnadmitym kielichem w ręce, stojący pan Hrehory, nie mogąc dosłyszeć, ale widząc przedłużającą się i coraz bardziej ożywioną rozmowę pięknej gospodyni ze Stefanem, mruknął sam do siebie:

— Oho! już go ma! a to szatan, nie babina, z tej naszej Kamilki!

I już krok postąpił, ażeby się do nich zbliżyć, gdy z drugiej izby, gdzie się mężczyźni zbrali, doleciał donośny głos jakiejś pieśni; zaczęto się cisnąć do drzwi, aby lepij słyszeć. Zaintonował właśnie JPan Bukowski, stawny, stary wiersz do wina, który, jak powiada-no, przez jakiegoś moczygębę, jednego z palestrantów lubelskich, niedawno z łacińskiego na polski język niezbyt szczęśliwie, ale prawie dosłownie, został przełożony.

Winny trunku, trosk ratunku,
Wzgardzony Turkom gatunku,
Chrześcianom zaś miły!

Ciebie pije szlachta z pany,
 Pije burmistrz i mieszczany,
 Gardzi żebrak odrapany,
 Że niéma w mieższku siły.
 I król pije małmazyje,
 Senat zdjąwszy ferezyje,
 Likwor reński smakuje.
 Hetman bynajmniej nie gani,
 Po zwycięztwie w srebrnej bani
 Marsa pławiąc w Falernie.
 I rycerstwo pije czerstwo,
 Strojąc sobie ztąd szyderstwo,
 Oszukani w hibernie.
 Przy ofierze w naszej wierze,
 Trzykroć wina w kielich bierze
 Kapłan ofiarujący;
 Gdzie go zbywa, mszy nie bywa,
 Sakramentu nie używa
 Lud, wina niemający.
 Piją mniszy sobie w ciszy,
 Nikt i krzyku nie usłyszysz:
 Milcz bracie przeorze.
 Piją mniszki swe kieliszki,
 Każda do swój towarzyszki,
 W cichości, w pokorze.
 Niech Bartole co na stole
 Z pandektami, gryzą mole;
 Nasi w prawie biegli,
 Zdjąwszy szuby tną czekuby,
 Do rozumu czasem zguby
 Aż w poduszce legli.
 I pedogrze, choć nie dobrze,
 Z Węgry jednak gada szczerze
 Rad się winem chłodzi;
 Nogi wzięła, chód odjęła,
 Ręce, palce pokrzymała,
 Lecz gardłu nie szkodzi.
 Piją kupcy, bo nie głupcy,
 Powróciwszy z Lipska z kupczy,
 Jak towary złożą;
 Bracia mili, co przepili,
 To zaś sobie nagrodzili,
 Gdy handle podróżą.
 Aryani precz wygnani,
 Żydzi, Turcy i cygani,
 Żłopiają jako szkapy wodę;

Nam ochłoda, a wam woda,
 Jam przy pełnej wojewoda!
 Tyś osysek ziemi.
 Bachu stary, coś madziary
 Sobie przybrał do ofiary,
 Mnóż nam twe wygody;
 My Polacy, czy pijacy,
 Twoich winnic, jako ptacy,
 Skubiemy jagody.

Pieśń to była, przyznać trzeba, godna owój nieszczęsnej epoki i przykład idzie zgóry; nie pijał natenczas sam jeden chyba Karol XII, ostatni może z rycerzy dawnego pokroju. Ale za to król August, car Piotr, przyjaciel jego, a sprzymierzeniec, magnaci, ministrowie i generałowie, jako i dygnitarze, i adherenci szwedzcy, wszyscy, co do jednego, między bitwą a naradą ministeryalną, w polu, w lesie na polowaniu i w domu w dzień i w nocy, bez pełnego kielicha zgoła nie pojmowali zabawy. Ale nie obwiniajmy przodków naszych, nie obejrzawszy się, jak też było gdzieindziej. Obyczaj ten nie u nas się wcale urodził, przed laty jeszcze przyszedł on od naszych sąsiadów. Pili natenczas i oddawna tak samo Niemcy i Francuzi, i Holendrzy i Szwedzi. Czasy to były, w których urosło owo przysłowie o ludziach odważnych, dzielnych i wesołych, że są „do wypitej i do wybitej.” A dodać też należy i tę rzecz najpewniejszą i dowiedzioną, że lubo w zebranem towarzystwie rzadko się bez pijatyki obeszło, natomiast szlachcic nasz siedząc w domu, sam jeden, przy gospodarce miesiącami całemi, raczył się jedynie wodą, albo cienkim podpiwkim i wiódł najwstrzemięźliwsze życie; gdy zamożny Anglik do dziśdnia, sam na sam, często kończy swój powszedni obiad—pod stołem.

Zabawa u pani Rosnowskiej przeciągnęła się do białego dnia, a że się kulię na jój domu kończył, bo tu już całe sąsiedztwo było zebrane, goście się przeto pojedynczo rozjeżdżać zaczęli. Stefan z Hrehorym znalazłszy się nad ranem w przeznaczonój dla siebie izdebce, zmęczeni podróżą i całonocną zabawą, wnet się na postanie rzucili, a sen twardy przymknął im natychmiast znużone powieki.

Już było dobrze z południa, kiedy Hrehory przeciągając się na łóżku, ziewnął głośno i szeroko, a spostrzegłszy, że i Stefan nie śpi, ozwał się jeszcze nawpół z dalszém ziewaniem.

— No, a tośmy spali! musi być już blisko wieczora, bo mi się jeść chce kaducznie.

Stefan spojrzął na cebulowaty pektoralik, co przy łóżku leżał.

— Druga godzina—odrzekł—ja już dawno nie śpię i właśnie myślę sobie, że się nam trzeba porozumieć, boć tu przecie siedzieć nie będziemy.

— Acha, otóżto, dobrze gadasz—odparł Hrehory—bo to, proszę ja ciebie, wylecieliśmy ze Lwowa jak z procy, w drodze nie mogliśmy

z sobą spokojnie pogadać, tyle tylko, coś ty do mnie powiedział, że się na Zamość kierujesz; no, i moja droga w tę samą stronę. Trzeba nam szukać swoich; ale... bo, uważasz—dodał namyślając się—są różne circumstancese...

Zamilkł, a po chwili zapytał żywo:

— Proszę ja ciebie, co ty myślisz o starym Mazepie?

— Co?—zapytał Stefan zdziwiony i usiadł na łóżku—więc i ty coś wiesz?

— Cha! cha!—zaśmiał się Puzyrowicz—tośmy oba w domu! chwata Bogu! zkądże wiesz?

— Od naszej starszyny—odrzekł Stefan—dano mi i pismo do niego, a ty?

— Oho, proszę ja ciebie—mówił śmiejąc się Hrehory—ja jestem wielkim posłem... od wielkiego ołtarza i to na dwa boki!!

— Co to jest? jakto? gadaj jasno—przerwał Stefan—zebyśmy wiedzieli co i jak robić.

— Ha, oczywiście, co dwóch, to nie jeden—począł Puzyrowicz—otóż, proszę ja ciebie, złapał mnie miecznik Dąbrowski, co jest u księżnej Dalskiej marszałkiem dworu; bo to jeszcze dawny mego ojca przyjaciel i wujaszek mojej panny Justyny; a trzeba wiedzieć, że księżna Jejmość i jój powiernik, ksiądz rektor Załęski, już się widać dawno z Mazepą zwąchali i przeciągnęli go na naszą stronę; tylko że stary hetman musi widać do czasu temporyzować—więc tedy dali mi dwa małe karteluski i kazali, żebym wedle circumstancesy się stosował. Jeden mam dowieźć i oddać nieodmiennie biskupowi Zielińskiemu, co gdzieś jest teraz pod Toruniem; a gdybym tam się dobrać nie mógł, mam tedy z drugim karteluszem przebierać się do Mazepy; a że tam już u niego są chorągwie z naszej szlachty złożone, żebym tedy tam został, jeśli chcę. Ot, cała rzecz; ale, proszę ja ciebie—dodał kiwając głową—hde Rym, hde Krym, hde Hubiński je korczymy!! Gdzie tu mnie od Torunia do Wołynia! dyabli wiedzą co robić?

Stefan zamyślił się chwilę.

— A no—odrzekł—to niema co długo deliberować; ja muszę omijać Lwów, więc na Tomaszów, Zamość i Włodzimierz pojedę do obozu Mazepy; w tamtych stronach teraz będzie dosyć bezpiecznie, ale ty, jadąc do biskupa, masz drogi kawał haniebny; wypadnie ci się przebierać albo na Stopnicę, albo na Sandomierz do Piotrkowa i ztamtąd ku Toruniowi; tu będziesz miał na karku dywizyą hetmańską Prązmowskiego, co się teraz po Krakowskiem i Sandomierskiem włóczy, a tam dalej Moskwa na Wielkopolsce gospodaruje: sprawa nie łatwa!

— Otóżto—mruknął Puzyrowicz pokręcając głową—ale—dodał wesoło—rzemiennym dyszlem się pojedzie, od dworu do dworu; znam cały kraj, wszędzie się jakiś swojak znajdzie. Dyabła zjedzą, nim mnie ułowią; a zresztą, proszę ja ciebie, na łbie mi nie napisano przecie komu ja służę.

Wśród tej rozmowy towarzysze powstawali i już się kończyli

ubierać, kiedy Stefan roztargniony nieco i zamyślony, zwrócił się jeszcze do Hrehorego.

— No—ozwał się—to nam się tu drogi rozchodzą, pożegnamy się i ja dziś jadę.

— Co? dziś?—zawołał Puzyrowicz—sfiksowałeś, czy co? toż trzeba odpocząć; a zresztą podstolina cię nie puści: to darmo.

— A! to niepodobieństwo—odrzekł Stefan—muszę jechać.

— Cóż ci tak pilnego?

— Czegóż mam siedzieć? nawet... niewypada.

— Aha!—zaśmiał się Hrehory—tak! boisz się pięknych oczu Kamilki; ale to darmo, miły bracie, już ty się od niej nie wywiniesz, daj pokój; onaby i świętego zbałamuciła.

— A no—odparł Stefan z uśmiechem—to téż sam widzisz, trzeba tém bardziej uciekać.

— Cha! cha! cha! at dziwaczysz—mówił Puzyrowicz—toż to śliczności kobiątka, sama się do ciebie garnie; nie jedenby przed nią na kolana padał, a ty chcesz uciekać!

— Ależ zapominasz—przerwał Russyanowicz—że ja jestem zaręczony.

Puzyrowicz rzucił głową pogardliwie.

— O! zaręczony!—powtórzył—wielka mi rzecz; zaręczyny, proszę ja ciebie, to jeszcze nie ślub!

— At, pleciesz—odrzekł Stefan—gadaj zdrów, a ja dziś jadę.

— Dobrze, dobrze—uśmiechając się, mruknął Hrehory—zobaczmy.

Tymczasem w domu już powstawano; z gości pozostał tu był jeszcze JMPan łowczy Bukowski z córkami, oraz kilku młodzieży, między którymi pan Jastrzębski, towarzysz pancerny z chorągwi pisarza polnego koronnego, Potockiego Michała. I on téż z pod Kalisza wyrwał się szczęśliwie, a bawiąc w tych stronach, zaczął się niby zalecać do panny Anny Bukowskiej, trzeciej z rzędu, co do wieku, łowczanki; ale jakoś widać namyślić się nie mógł; stary téż łowczy niecierpliwił się tém nawet trochę, że już o pannie nic nie powiemy, bo Jastrzębski raz wdychał, to znów się usuwał i nie można było zgoła postępowania tego zrozumieć.

Po śniadaniu, gdy goście jedni barszczykiem lub kawą, inni polówką i zrazami się posilili, już się zabierano do odjazdu; pozachodziły sianie i siodłowe konie, na których młodszy damom towarzyszyli przy saniach; Hrehory jeszcze zostawał, Stefana napróżno usiłowała zatrzymać piękna gospodyni. Przepraszał, submitował się, ale i swoje konie zaprządź kazał: nie było sposobu na niego. Puzyrowicz nie rad, skubał krótkie swoje, po szwedzku przystrzygane wąsy, chodził i mruczał pod nosem; przydybał wreszcie krzątającą się gospodynią.

— Nie wiedziałem—rzekł zcicha—że Stefan taki uparty; boi się ciebie, siostruniu—dodał z uśmiechem.

Podstolina, rzuciwszy okiem czy ich kto nie podsłucha, szepnęła mu do ucha:

— Jeszcze ja mam jeden sposób na ostatek: zobaczysz! Jak mi się to uda, będzie podwójna wygrana, tylko wnieś zaraz zdrowie łowczego dużym kielichem, ale nieinaczéj, jak starym sektem, który już ma brat Paweł w pogotowiu.

Poszła tedy koléj owym sektem hiszpańskim i potężną miarą, a że śniadanie poprzedziła wódka, nie było więcéj potrzeba do wysokiego i wybornego nastrojenia humorów.

Zaczęto się wreszcie żegnać, panowie powskakiwali na konie i po dziedzińcu wyprawiali harce; kobiety w szubkach i okrywkach powychodziły na ganek, gdzie się już towarzystwo całe wytoczyło z domu. Miały właśnie do sań wsiadać panny Bukowskie, kiedy podstolina szepnęła coś do uszka pannie Annie łowczance; ta się naprzd mocno zarumieniła, potem się rozśmiała i kiwnęła główką, jakby na znak zezwolenia.

Piękna gospodyni wysunęła się na przód ganku.

— Ależ, moi państwo!—zawołała—czyż godzi się tak odjeżdżać... na sucho; to despekt dla mojego domu! proszę, proszę jeszcze strzeżmiennego, i panie i panowie wypić muszą.

Zwróciła się do swego wice-gospodarza.

— Panie Pawle! podaj waćpan kielich pannie Annie, niech ona zaczyna.

Mężczyźni na koniach poskoczyli pod ganek.

Łowczanka wzięła śmiało duży kielich węgryzna i zwracając się do siedzącego tuż na koniu Jastrzębskiego, rzekła z wdzięcznym uśmiechem:

— W ręce pańskie, panie Adamie!

A do ust, różowych jak malina, przyłożywszy kielich i nadpiwszy bursztynowego płynu część znaczną, podała go, jak był napoczęty, panu Jastrzębskiemu.

Ten był już nieco i winem i harcami na koniu rozgrzany; żelazną tedy ręką osadził wierzchowca, a puhar jednym haustem dokończywszy, zawołał:

— Już z niego więcéj nikt pić nie będzie!

Tu, rzucił kielich w górę, w mgnieniu oka wyrwał z olstry pistolet i trafny na podziw strzałem w drobne go kawałki roztrzaskał; zanim zaś wszyscy ze zdziwienia ochłonać zdołali, już on zeskoczywszy z konia u nóg panny klęczał, a całując jéj rękę i zwracając się do JMPana Bukowskiego, zawołał:

— Mości łowczy dobrodzieju! albo mi tu w łeb wypal, albo mi córkę swoję daj!

— Vivat! vivat!—poczęto wołać dokoła.

Panna stała zmieszana i zarumieniona.

Bukowski zwrócił się do córki.

— Chcesz pójść, Andziu, za pana Jastrzębskiego?

— Chcę—odrzekła śmiało panna.

— A no, to niech was Pan Bóg błogosławi! — mówił łowczy wzruszony, kreśląc pobożnie krzyż nad głowami młodej pary, gdy już oboje, klęcząc u nóg ojca, kolana jego ściskali.

Tego więc dnia nie mógł już nikt i myśleć nawet o odjeździe, zostali wszyscy; bez pijatyki jednak i ekscesów, pięknie a wesoło, do późna zabawiano się gawędką, przy małych tylko lampeczkach, tańcami, lub muzyką. A pan Jastrzębski jakby w inną skórę wlażł, tylko oczyma za swoją panną wodził, a po rękach ją całował, że niebożatko, dla ludzkich wejrzeń a uśmiechów, piekła ustawicznie raki i choć może nie rada, często nawet od niego i uciekać musiała. Reszta też młodzieży, jakgdyby zazdroszcząc Jastrzębskiemu, przysiadła się do panien ze słodkimi słówkami, bawiąc je conceptami i wesołą rozmową.

Zręczna a dowcipna podstolina wygrała więc jedną sprawę napewno, jak to zawczasu Hrehoremu zapowiedziała; wygrała i drugą w tém, że pan Stefan mimo silnego niby postanowienia, odjechać nie mógł, a powabna gospodyni gościnnością grzeczność jego wynagradzając, szczerze gościa swego bawiła, igrała z nim jak kot z myszką i bądź cobądź, choć Russyanowicz tarł nieraz czuprynę zafrasowany, nie musiał się jednak nudzić zbyt, bo, niewiadomo czy proszony, i drugi dzień jeszcze pozostał; trzeciego wreszcie, choć go usilnie przytrzymywano, pożegnany serdecznie, wyrwał się przecie z owego zakłętego koła, w którym go czarodziejska moc więziła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

wszy zjazd lekarski w Pradze, a zadowoleni z jego przebiegu, zamierzali pierwotnie zaraz w następnym roku odbyć zjazd drugi; gdy wszakże z różnych powodów okazało się niemożliwem to uczynić, postanowili zwołać zjazd drugi na Zielone Świątki b. r., a skoro odnośne pozwolenie nadeszło, komitet zjazdowy rozpoczął swą czynność. Postanowiono przedewszystkiem otworzyć wystawę przyrodniczo-lekarską, któraby obznajmiła lekarzy i przyrodników, z najnowszymi zdobyczami na ich polu. Kierunek nad zorganizowaniem takiej wystawy, przyjął prof. A. Fricz z przybranym komitetem, złożonym z pp. Bergera, Bielohradsky'ego, Czardy, Jandousz'a i innych; w komitecie zaś zjazdowym zasiedli dr. B. Eiselt, jako prezes, oraz profesorowie d-wie Fricze, Korzystky, Krejczy, Studniczka. Komitet zjazdowy uchwalił, aby w czasie trwania zjazdu wydawać dziennik pod tytułem: „Oznamovatel,“ a nadto, aby wydać Pamiętnik zjazdu (Památnik). Pierwszy, poświęcony bieżącym sprawom zjazdu, był redagowany przez J. Thomayer'a; drugi, pod redakcją Raymana, Maixnera i Bauszego, stanowi tomik o 148 stronach i zawiera krótką historią założenia uniwersytetu Karola IV (1348 r.), oraz przeglądy prac czeskich na polu matematyki, fizyki, astronomii, historii naturalnej, chemii, medycyny w ostatniej formie, rys dziejów fakultetu lekarskiego, zdrowotne ustawy pragskie, archeologią, a wreszcie wiadomość o towarzystwach naukowych w Pradze. W każdym z tych przeglądów, opracowanych przez specjalistę, wskazane są zasoby, jakimi rozporządza naukowość czeska, tak pod względem zbiorów, dzieł i czasopism, jak również pod względem pracowników na polu przyrodniczym i medycznym. Każdy przeglądający Pamiętnik, uderzony być musi gorączkową działalnością lekarzy i przyrodników czeskich, którzy w ciągu 20 lat, t. j. od r. 1860 utworzyli szereg podręczników początkowych i specjalnych, potrzebnych w nauce, stworzyli język naukowy i zebrali bogate zbiory muzealne, któremi szczycić się mogą. Takiej płodnej i sumiennnej pracy należy się najgorętsze uznanie, więcęć nawet, należy się hołd i uwielbienie!

Pamiętnik nadzwyczaj starannie wydany, w ładnej oprawie, oraz 5 numerów dziennika zostały doręczone uczestnikom zjazdu bezpłatnie. Nadto gościom poza pragskim doręczono zaraz pierwszego dnia otwarcia zjazdu Przewodnik po Pradze i okolicy z planem miasta, wydany w roku zeszłym, a będący częścią Przewodnika po Królestwie Czeskiem.

Komitet zjazdowy rozesał zaproszenia różnym korporacyom lekarskim i przyrodniczym, nietylko w Czechach, lecz i po całej Słowiańszczyźnie istniejącym. W oczekiwaniach swych nie został zawiedzionym; z licznych żądań biletów dla członków zjazdu, można się było spodziewać, że drugi zjazd pragski wypadnie o wiele świetniej niż pierwszy. Aby, o ile można, uprzystępnić uczestnikom zjazdu możliwość przedsięwzięcia podróży, komitet odniósł się do zarządów dróg żelaznych o zniżenie cen biletów i na odezwę swą otrzymał po większej

części przychylną odpowiedź. Dyrekcyje kolei austriackich zniżyły cenę o $\frac{1}{4}$, lecz tylko na pociągi zwyczajne i mieszane, za to dyrekcyja drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej wydawała bitety na wszystkie pociągi i to za pół ceny. Od 25 maja poczęli się zjeżdżać uczestnicy zjazdu, oczekiwani na wszystkich pociągach przez delegowanych z komitetu członków. Przybywających witano radośnie i serdecznie, odwożono ich w miejskich powozach do hoteli: „pod czarnym koniem,“ „saski dwór“ i „belgicki dwór,“ gdzie dawano im lokale, za które płaćcia municypalność miasta.

W ogóle przybyło na zjazd z Czech i Morawii 250 osób, z różnych dzielnic Polski 100, Słowian z różnych części około 40, a doliczwszy do tego uczestników z samej Pragi, ogólna liczba biorących udział w zjeździe dochodziła 700. Śmiało twierdzić można, że liczba gości byłaby jeszcze znacznie większą, gdyby pora zjazdu była dogodniejszą, w maju bowiem, tak lekarze, jak i przyrodnicy, będący najczęściej profesorami, nie mogą porzucić swych zajęć, bądźto ze względów finansowych, bądź też obowiązkowych i urzędowych.

W piątek 26 maja uczestnicy zjazdu zebrali się, według uprzednio ułożonego programu, na wyspie Zofii, leżącej na rzece Wełtawie. Na małej tej wysepce, powstałej po wielkiej powodzi w 1784 r., a nazwanej na cześć arcyksiężniczki Zofii, znajduje się największa sala publiczna, w której w 1848 r. zagajonym był wielki zjazd słowiański.

Celem piątkowego zebrania, było zbliżenie między sobą gości, wzajemne przedstawiania się, słowem poznanie i pogawędka, a dokonano się to przy dźwiękach wyborniej orkiestry, w pięknie przyozdobionej sali. Tu także odczytano pierwsze listy i telegramy, jakie nadeszły od pojedynczych uczonych lub od Towarzystw, nie mogących przyjąć bezpośredniego udziału w zjeździe. Zauważyliśmy między innymi odezwę, znanego chemika Butlerowa, jubilata profesora Sawicza, list z Kalkuty paleontologa O. Feistmantela i sędziwego a niezmordowanego jubilata J. I. Kraszewskiego. Z telegramów zaś wspomnimy o nadesłanych od nowosanddeckiego Towarzystwa lekarzy galicyjskich, od kazańskiego Towarzystwa badaczy przyrody, od Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, od koła artystyczno-literackiego w Krakowie, od warszawskiego Towarzystwa lekarskiego.

W tejże sali na wyspie Zofii, został w sobotę rano zagajonym II-gi zjazd lekarzy i przyrodników czeskich, przez znakomitego lekarza d-ra Eiselta. W zagajeniu mówca podniósł ważność bieżącej chwili a mianowicie zwrócił uwagę na dokonane utworzenie oddziału na prastarym uniwersytecie Karola-Ferdynanda z wykładowym językiem czeskim.

Z kolei przystąpiono do wyboru prezesa i wiceprezesów zjazdu, i na wniosek prof. Krejczego przez aklamacją powołano na pierwszą godność d-ra Eiselta, a na drugą dr. Jakubowskiego z Krakowa, oraz prof. Czelakowskiego.

Następnie burmistrz miasta, Skramlik, wypowiedział mowę powitalną, którą zakończył życzeniami powodzenia dla prac zjazdu.

Po mowie p. Skramlika, wiceprezes zjazdu odczytał nazwiska reprezentantów deputacyi, wysłanych przez różne towarzystwa.

Daléj dr. Chodounsky odczytał liczny szereg telegramów, których liczba wraz z czytaniem dnia poprzedniego do stu dochodzi.

Potém dr. Jakubowski wypowiedział mowę, dotyczącą odwiecznych stosunków czesko-polskich i zwrócił uwagę że:

„Zespolenie narodów czeskiego i polskiego na polu nauki, trwa już od wieków. Z bijącym sercem śledziliśmy doniesienia, co do założenia czeskiej wszechnicy w Pradze, a pomyślny wynik usiłowań patriotów czeskich, z najwyższą radością powitano w naszej ojczyźnie. Wszakże to wspólny nasz cel rozślawić na polu nauk i pracy imię czeskie i polskie! Wszak to wspólne zadanie: utwierdzić i stale utrzymać rękojmie pracy w duchu narodowym!

„Oto ogniwa, które nas wiążą! Oto pobudki, które jakby prądem elektrycznym spajają dłoń polską z dłonią czeską! Temi kierujemy się zasadami w naszej wspólnej dążności, a nasze studia lekarskie i przyrodnicze prawdziwy nam przyniosą pożytek!“

Na zakończenie posiedzenia, słynny podróżnik czeski, dr. E. Hołub, odczytał rozprawę „O ważności stanu lekarskiego w zaatlantycznych okolicach i oddziaływaniu onego na naukę i ekonomią społeczną w ojczyźnie i państwie.“ (Důležitost stavu lékařského v krajích zaokeánských i jeho vzratný vliv na vědu o narodohospodárství ve vlasti a říši).

Oto jest możliwie krótka treść wypowiedzianej rozprawki wraz z uwagą, jak nam się przy jej słyszeniu nastręczyła.

„Pobudki, skłaniające biédnego słowaka z pod Trenczyna do opuszczenia ojczystej ziemi, są zupełnie różne od przyczyn, dla których bogaty lord Raglas podąży w nieznane afrykańskie puszcze. Pierwszego wygania biéda i niemożność utrzymania się na ojczystej ziemi, drugi pragnie wzbogacić swą wiedzę nowymi wiadomościami, a pracą i odkryciami przyczynić się do podniesienia ojczystej nauki i stać się pożytecznym swemu narodowi, a wreszcie zostać wiernym zasadom swych przodków. Zasady zaś te aż nadto ujawniły się w rezultatach, bo 33 milionowy naród panuje nad połową niemal nowego świata, a zawdzięcza to wytrwałej swéj naturze i zimnej rozwadze, przy pomocy których Anglicy pokonali swoich rywali Hiszpanów, Portugalczyków i Holendrów.“

Zwracając się zaś do Czechów, dr. Hołub gorąco przemawia za czasową emigracją do krajów półdzikich, i zapewnia ludziom inteligentnym, a zwłaszcza lekarzom, pewne powodzenie.

Lekarz, zdaniem Hołuba, ma najwięcej warunków do podjęcia pracy cywilizacyjnej w krajach dzikich. Nauka jego jest kosmopolityczna; ona otwiera mu drogę do rozmaitych badań i jest nadzwyczaj cenioną u wszystkich dzikich plemion. Lekarza uważają tam za isto-

tę wyższą, zostającą w bezpośrednim stosunku z siłami przyrody i dlatego boją go się a zarazem szanują.

Znaczenie lekarza, osiadłego w zaoceañskich krajach, może być rozpatrywane z rozmaitych względów. I tak, jako lekarz z powołania, może on czynić spostrzeżenia co do endemicznych i epidemicznych chorób, może poznawać nowe leki, stosowane empirycznie a skutecznie przez samychże mieszkańców; może wreszcie śledzić powstawanie chorób zaraźliwych, które przenoszą się do Europy, a jednocześnie zarazem podać skuteczne środki do powstrzymania zła w samym zarodzie. Powtóre, lekarz przy swych wiadomościach anatomicznych i fizyologicznych, może oddać znaczne usługi antropologii i etnologii, bo pierwsza szuka wyjaśnienia niektórych spraw właśnie wśród dzikich plemion, a obcowanie z ludźmi, należącymi do rozmaitych plemion, dostarcza obfitego materiału dla drugiej. Potrzebie, lekarz musi być choć w części przyrodnikiem, a jak dziś bywa, często specjalistą w jakiejś gałęzi nauk przyrodniczych. Otóż lekarz-przyrodnik będzie niezawodnie zbierał okazy, z których zwolna utworzą się muzea w jego ojczystym kraju. Po czwarte, lekarz, jako psycholog, ma wielkie pole do czynienia ciekawych i ważnych spostrzeżeń, nie spuści on z uwagi stosunków rodzinnych, społecznych i politycznych, co jest cennym przedmiotem dla jego studiów psychologicznych.

„Poznawszy naturę, charakter i obyczaje plemion, wśród których osiadł, powinien lekarz podać do ogólnej wiadomości swych ziomek owoce swych badań, aby tym sposobem ułatwić swym następcom dalsze poznawanie tychże plemion.“

„Lekarz, wydalający się do odległych krain, powraca do ojczystego dopióro po zabezpieczeniu sobie materialnego bytu na przyszłość.“

Zdaniem Hołuba uczynić to łatwo, zważywszy, że lekarz zarabia tam od 1,000 do 3,000 funtów szterlingów rocznie. Zebrany na obczyźnie majątek, spożytkowuje przeto we własnym kraju.

„Przebywając na obczyźnie, stara się zaspakajać różne potrzeby domowe wyrobami z własnego kraju, a tém samym może być pośrednikiem między miejscową ludnością, a przemysłowcami własnego kraju. Po powrocie zaś do swoich, nastęrcza mu się sposobność zwracania uwagi kupców i przemysłowców rodzinnego kraju, na te produkty, które możnaby z korzyścią sprowadzać z miejsc, w których przebywał.“

„Nareszcie lekarz-podróżnik może we własnym kraju, za pośrednictwem dzienników, przedstawić, jakich sił roboczych, przemysłowych lub handlowych, brakuje w kraju przez niego czasowo zamieszkałym, a przez to może wywołać wychodztwo odpowiednich jednostek, które gdy czasem do ojczyzny wrócą, będą zamożniejsze, ruchliwsze i praktyczniejsze.“

„Aby zaś można było puścić się do odległych krain, nie potrzeba, zdaniem mówcy, dużych zasobów pieniężnych, dla lekarza bowiem jego wiedza jest złotem, przewodnikiem i obrońcą. Na miejscu zaś

lekarzowi jest najłatwiej zdobyć sobie niezależne stanowisko, a zdobywszy takowe, może z wielką korzyścią oddawać się pracy naukowej na jakimkolwiek polu. Liwingstone doszedł do świetnych rezultatów, a zawdzięczał je właśnie dokładnej znajomości nauki lekarskiej.“

W zakończeniu dr. Hołuba zwraca się do młodzieży, poświęcającej się zawodowi lekarskiemu i zachęca ją do pilnego studyowania nauk przyrodniczych, które w wyprawach zamorskich wielką im oddać mogą usługę. Zachęca ich do zakosztowania owoców pionierstwa między półdzikimi ludami, bo taka dobrowolna emigracja wyjść może na dobre im samym, a na chwałę narodu i państwa.

Z rozprawy d-ra Hołuba, którą w osobnej odblacie rozdawano obecnym na posiedzeniu, widać dzielnego podróżnika, jak to mówią, całą duszą, czuć, że słowa jego płyną z głębokiego przekonania, którym pragnąłby zniewolić młodych lekarzów do puszczenia się swemi ślady. Czy liczba ich w Czechach już jest tak wielką, że aż o emigracji myśleć należy, nie wiemy, zdaje nam się wszakże, że temat d-ra Hołuba nie był szczęśliwie wybrany, mógł on zresztą zainteresować jakieś jednostki, lecz dla ogółu słuchaczy musiał, jak sądzimy, pozostać obojętnym. Zarzucilibyśmy rozprawce zbyt jedną stronnością; zanadto w niej wiele o różnego rodzaju korzyściach emigracji, a nic o stratach, jakie z ubytku sił pełnych nadziei ponosi rodzina, społeczność i kraj.

Synowie Albionu niewiele mają wspólnego ze szczepem Słowian, a jak odmiennymi są ich natury, tak niemniej różniami są cele, ku którym dążą. Pozostawmy rybom wody, dla ciepłokrwistych istot pobyt na stałym lądzie będzie zawsze upragnionym.

Po odczycie dr. Hołuba, wybrano na wniosek prezesa zjazdu, przewodniczącym na drugie ogólne posiedzenie prof. Szafarzyka, a na wiceprezesów prof. Radziszewskiego ze Lwowa i d-ra Wankła z Blaska.

Większość zebranych na posiedzeniu, udała się następnie na otwarcie wystawy przyrodniczo-lekarskiej, pomieszczonej w górnych salach mieszczańskiego klubu (Měštánská beseda). Tu przemówił przewodniczący w komitecie wystawy prof. Fricz, a zwróciwszy uwagę na całość wystawy, nadmienił, że jeśli dziś już można się pochlubić w postępie, jaki zbiory lub wyroby wystawowe okazują, to po latach 10 trwania czeskiej wszechnicy, można będzie z dumą szczyścić się tego rodzaju wystawą, lecz w szerszym już dokonaną rozmiarze. W rzeczy samej, pragska wystawa przyrodniczo-lekarska przedstawiła się w całości bardzo dobrze, a w szczegółach nawet wytwornie.

Cel, jaki sobie założono, był tu dwojaki: chodziło bowiem o dane poglądowego obrazu prac lekarzy i przyrodników czeskich, a nadto o obznajmienie zwiedzających z najnowszemi przyrządami do badań ściśle naukowych i demonstracyjno-szkolnych.

Wystawa składała się z oddziału lekarskiego, obejmującego

działy: 1) literatury medycznój; 2) preparatów, modeli, diagramów; 3) przyrządów lekarskich; 4) ortopedycznych; 5) baleonologicznych i okazów farmakognostycznych.

Oddział przyrodniczy rozpadał się na działy: 1) wydawnictw przyrodniczych; 2) preparatów, modeli i diagramów z botaniki, mineralogii, zoologii, petrografii; 4) fizycznych przyrządów; 5) wydawnictw i przyrządów meteorologicznych; 6) chemikalii, bądź to nowych, bądź dawniejszych, służących do metodycznego nauczania się chemii; 7) z okazów i przyrządów technologii chemicznej; 8) okazów antropologii i archeologii.

Według wydanego Przewodnika po wystawie, przyjęło w nią udział 171 wystawców, z których niektórzy dali całe kolekcje.

W szczegóły wystawy wdawać się nie możemy, lecz niepodobna nam wstrzymać się od wypowiedzenia pochwał komitetowi wystawy, który wszystko na czas urządził, nie opóźniwszy się nawet na godzinę z wydaniem katalogu.

Tegoż dnia po południu odbyły się posiedzenia sekcyjne, tak lekarskie, jak i przyrodnicze. Przedmiotami rozpraw i wykładów były kwestye zbyt specyalne, abyśmy niemi zajmować się mogli, ograniczyliśmy się przeto na wymienieniu niektórych tylko mówców. Ograniczenie to usprawiedliwiamy okolicznością, że wszystkich odczytów i wykładów było przeszło 70. Nawiasowo zaś dodamy, że w powyższej liczbie wykładów obszerniejszych w języku polskim było 11, z nich zaś 3 wygłosili Warszawiacy dr.: Krasiński, Mayzel i Talko.

Otóż w sobotę na posiedzeniu sekcji medycyny wewnętrznej przemawiali doktorowie: Eiselt, Janovský, Maixner, Drozda, Thomayer, Choudounsky; sekcji chirurgicznej doktorowie: Schoebel, Obtulowicz, Matlakowski, Janda, Medal; w sekcji farmaceutycznej zabierali głos: Bělohoubek, Štěpánek, Jandouš. Na posiedzeniu sekcji matematyczno-fizycznej mieli wykłady dr. Weyr, Vaněčka, Jaeger, Bečky; sekcji przyrodniczej dr. Čelakovský, Szyszyłowicz, Bayer, Šitenský, Čermak; sekcji chemicznej Radziszewski, Štolba, Bělohoubek, Šafařík; antropologiczno-archeologicznej dr. Smolik, Jelinek, Wojciechowski.

Wieczorem dano uroczyste przedstawienie, w nowym letnim teatrze, poprzedzone uwerturą Smetany i powitalnym wierszem czeskiego poety Vrchlickiego. Następnie odegrano dwuaktową komedię Em. Bozděcka „Zkouška státnikova“ (Próba dyplomacyi) i operetkę ludową „Tvrdé palice“ (Twarda pałka, Zakuta głowa) J. Štalby. Po odczytaniu przez aktora Seiferta powitalnego wiersza, dał się słyszeć głos z krzesel: „Niech żyją nasi goście!“ a wnet za nim zerwała się burza oklasków i wołań „slava!“ a cała publiczność powstała z swych miejsc.

Mówiąc o wykładach i teatrze, nie od rzeczy będzie nadmienić, o ile też Polacy i Czesi, rozmawiając każdy swoim językiem, porozumieć się mogą? Czytaliśmy w sprawozdaniu jednego z pism codziennych, że porozumienie to idzie nader łatwo, otóż uważamy za właściwe

osłabić to twierdzenie. Że język czeski i polski były niegdyś nadzwyczaj podobne, o tém mówi historia, że i dziś pokrewieństwo między niemi zachodzi, to jest faktem; lecz stopień tego pokrewieństwa znacznie osłabł, tak, że nietylko mówiącego Czecha, ale nawet czytanej książki czeskiej rozumieć niepodobna. Zamiast wmawiać w siebie i ludzi innych, że język czeski mało się od polskiego różni, lepijby może było zwrócić uwagę na potrzebę bliższego poznania języka narodu korony Ś-go Wacława, na brak słownika czesko-polskiego, który, jak słyszeliśmy, spoczywa nawet w rękopiśmie.

Jeżeli świeżo wzmocnione stosunki polsko-czeskie mają wydać naukowe owoce, to inteligencya obu narodów winnaby pomyśleć o nauce się pobratymczego języka, w przeciwnym razie wszelkie zjazdy naukowe czesko-polskie lub polsko-czeskie pozostaną pięknym objawem bratnich uczuć, pozbawionym wszakże praktycznej doniosłości.

Drugi dzień zjazdu przypadał w niedzielę Zielonych Świątek i był przeznaczony przeważnie na zwiedzanie osoblności miasta, chociaż po sekcjach odbywały się posiedzenia o 10 rano. I tak, w sekcji medycyny publicznej mówił przewodniczący dr. Wiktor z Rozwadowa o reformie szczepienia ospy, dr. Záchor: O epidemii cholerycznej w Pradze, dr. Pelc: O zatruciach płynami mefitycznymi, dr. Böhm: O wściekłości. W sekcji medycyny teoretycznej mówił dr. Drozda O chorobliwém skażeniu mowy, dr. Thomayer: O tuberkulozie języka, dr. Krański: O udziale Czechów w rozwoju oświaty i nauki lekarskiej w dawniej Polsce, dr. Chodounsky: O Wojciechu Oczce, lekarzu polskim w XVI wieku.

W sekcji przyrodniczej zabierali głos A. Frič: O jaszczurkach z formacji permskiej; Fr. Šafránek: O nowej skale około Taboru; prof. Rostański: O studyach pr. Nowickiego nad sztuczném rozmnażaniem ryb w rzekach polskich; prof. Kafka: O faunie wód słodkich w Czechach. Na posiedzeniu sekcji pedagogicznej, przemawiali dr. Hejzlar: O dydaktycznych względach przy wykładzie fizyki i astronomii, prof. Nekut o tém, jak urządzać wykłady mineralogii w szkołach średnich; S. Vaněčka: O potrzebie zaprowadzenia wykładów nowszej geometrii w szkołach średnich; dr. Kotal: Uwagi nad przyrodniczymi podręcznikami dla szkół średnich.

Po skończeniu posiedzeń sekcyjnych, goście czescy i polscy udali się pod przewodnictwem znanego pośła Tonnera na Hradczany, w celu poznania zabytków historycznych na zamku królewskim, obejrzenia znajdujących się na Hradczanach pałaców, a zwłaszcza też arcydzieła gotyckiej architektury, jakim jest katedralny kościół Ś-go Wita, na który założył kamień węgielny jeszcze w 1344 r. Karol IV, a który dotąd zaledwie w części jest ukończony. Pomimo to architektura katedry jest tak piękną, że nie ustępuje kolońskiej, a zdaniem Tonnera, nawet ją przewyższa. Świątynia ta ulegała niejednokrotnemu niszczeniu, zwłaszcza podczas pożaru w 1541 r., a także podczas oblężenia Pragi przez wojska pruskie Fryderyka II. Dopiero od 1859 r., za sta-

raniem kanonika Pešiny, utworzyło się stowarzyszenie, którego celem prowadzenie dalszej budowy świątyni. Jakoż w 1873 r. położono kamień węgielny pod budowę nawy głównej, która, choć zwolna, ciągle się wznosi.

Pierwotny plan katedry, jako też i sławnego mostu na Wełtawie, wykonał Matiasz z Arrasu, a dalszemi robotami zajmowali się Piotr, a następnie Jan Parlerowie z pochodzenia Polacy. Z wysokości Hradczan rozpościera się rozległy widok na dolinę Wełtawy i na rozłożoną nad nią stuwieżową Pragę, która na ten przymiotnik najzupełniej zasługuje, liczy bowiem 62 chrześcijańskie kościoły.

Nawiasowo wspomnimy, że Praga ma 162,300 mieszkańców, dzieli się na 5 części: Stare Miasto, Nowe Miasto, Małe Przedmieście (małe strony), Hradczany i Jozefov (żydowska dzielnica). Naokoło miasta rozciągają się przedmieścia w liczbie 5: Karlin, Žyžków, Vinohrady, Wyszehrad i Smichów, które obejmują do 90,000 ludności. Części miasta, leżące po obu brzegach Wełtawy, łączą się pięcioma mostami, nie licząc kolejowych.

O godzinie 8 wieczorem wydaną była uczta na cześć lekarzy i przyrodników, a przyjęło w nią udział 350 osób, między którymi były damy tak Polki, jako i Czeszki.

Przy głównym stole zasiedli: prezes zjazdu dr. Eiselt z małżonką i córką, z prawej strony znany uczony Rieger i dr. Jakubowski (przedstawiciel senatu wszechnicy Jagiellońskiej), a z lewej burmistrz Pragi Skramlik i dr. H. Krasiński; naprzeciwko dr. Eiselta, zajmował miejsce dr. Gepner (jako delegat warszawskiego Towarzystwa lekarskiego); dalej zasiedli przedstawiciele polskich i czeskich stowarzyszeń lekarskich i przyrodniczych, naprzemian Polak z Czechem.

Od połowy trwania uczty rozpoczęły się toasty; pierwszy wniósł prezes zjazdu za cesarza Franciszka Józefa, który spełniając gorące życzenia inteligencji czeskiej, przywrócił w b. r. czeską wszechnicę, zagrożoną w zapomnienie przez wiek cały, od roku bowiem 1783 w uniwersytecie wykładano tylko po niemiecku.

Drugi toast wniósł burmistrz Pragi „za zdrowie zacnych gości, kochanych braci Polaków.“

W odpowiedzi profesor Rostafiński podziękował za toast poprzedni, a zaznaczywszy, „że chwil podobnych do dzisiejszej, pod względem zbratania się, było już kilka, poczynawszy od r. 1420, kiedy panowie czescy wyprawili Wernera z Ropowa do Jagiełły, ofiarując mu tron czeski,“ przeszedł do wypowiedzenia zasad, na których obadwa narody coraz bardziej zbliżać się mogą, nie tracąc swego języka i narodowości.

„W duchu a miłości chcemy się bratać, zbliżać i łączyć, jako nieprzyjaciele wszelkiej buty i brutalnej przemocy, która nigdy podnosić, żadnych wielkich czynów, nic szlachetnego, wzniosłego utworzyć nie zdoła.“

„W Pradze powstało ognisko niezmordowanego narodu czeskiego

pracy. Z téj pięknej Pragi niechaj się na wszystkie strony rozpromienia światło; w Pradze niechaj przyświeca pochodnia cywilizacyi, nie tylko czeskiej ojczyźnie, ale całej Słowiańszczyźnie, całej ludzkości! Praca i nauka niechaj nam zawsze przyświeca bracia Czesi, a wtedy my z wami zwyciężymy pod hasłem: *In hoc signo vinces!*

Następnie przewodzca Czechów dr. Rieger, wznosił puhar za narodową wzajemność i wspólność na polu wiedzy Polaków i Czechów i wyrzekł, że z pomiędzy wszystkich plemion słowiańskich, najbliższym dla Czechów i zawsze będzie naród polski.

„Łączył nas z nim nie tylko język, zwyczaje, obyczaje, ale jeszcze bardziej względy społeczne, oba bowiem narody przyjęły zarówno cywilizację zachodnią, podczas gdy reszta narodów słowiańskich do wschodniej przylgnęła cywilizacyi. A łączyło oba te narody coś więcej jeszcze — wspólność losów.

„Dziś, gdyśmy się zeszli na wspólnym polu pracy i narodowych dążeń, wzbogacimy się nawzajem i obfite owoce przyniesie wasze piękne hasło: „kochajmy się!“

„Nie bądźmy sobie nigdy obcemi, Co wasze, my uważamy za nasze i nawzajem wy co nasze, bierzcie jak swoje. A wtedy nie będziemy utyskiwali na ubóstwo; będziemy bogaci wy i my, albowiem taki to przymiot wiedzy, że każdy, co przyjdzie, zaczerpnie z niej, a jednak jęj nie ubędzie; źródło owszem popłynie tém obficie. Tak staniami się bogatsi na duchu, tak urosną w sławę dwa bratnie narody.“

Niepodobna nam, dla braku miejsca, choćby jaknajtreściwiej podać innych przemów, jak posła J. Czerkawskiego, doktorów Chodounsky'ego, Fricza, Szyszyłowicza, Hołuba, Jordana, Studniczki, Krejczego, Krówczyńskiego, redaktora Turnovsky'ego, delegata Zagrzebskiego uniwersytetu G. Janeček, dr. H. Krasieńskiego, lez musimy przynajmniej wspomnieć o toaście wniesionym po polsku przez Tonnera.

„Biorę udział już w drugim zjeździe lekarzy i przyrodników: w przeszłym roku w Krakowie, a teraz w Pradze, choć nie jestem lekarzem, ani przyrodnikiem. Kocham wprawdzie zacnych synów Eskulapa, pojmuję całe dobrodziejstwo, jakie wyświadczają cierpiącej ludzkości, ale co do méj osoby pragnę wypowiedzieć szczerą prawdę: chciałbym zawsze być od nich zdala i nie korzystać z ich pomocy. Przyrodę znam powierzchownie tylko, lecz wiem, że jest boginią piękną i miłą, ale zarazem okrutną, która bezlitośnie karze zapoznanie jęj praw. W jęj kodeksie zapisano, że wszystko co jednakowego pierwiastku, powinno do siebie należeć, a to co związanem jest wspólnym pierwiastkiem i wspólnym celem, powinno się znać i swą siłę wypróbować, aby żadne nie uległo wpływom obcej przemocy.

„Bacząc na to prawo natury starajmy się, aby nasze narody gruntownie się poznały i wytrwale utrzymywały braterstwo w wspólnym interesie.

„Ponieważ kongresy uczonych towarzystw, mianowicie polskich i czeskich lekarzy wytrwale w tym kierunku pracują, biorę jako gość

w nich udział, bo pracować w duchu zbliżenia naszych narodów, jest najulubieńszą dla mnie pracą." Zaznaczywszy zaś że wśród przybyłych jest wiele Polek i oddawszy im hołd jako westalkom świętego ognia miłości ojczyzny i narodowej ofiarności, mówca zakończył wzniesieniem toastu: „na cześć Polek, na cześć matek, sióstr i cór, na cześć kobiet, co obok ducha i wdzięku Atenek, łączą najharmonijniej i mężny charakter spartańskich bohaterów.”

Zbyteczną byłoby rzeczą nadmieniać, że każdy z toastów przyjmowany był gorącymi okrzykami i oklaskami, które nieraz przerywały mowę wznoszących toast. Uczta rozpoczęta o godzinie ósmej wieczorem, przeciągnęła się do północy; rozchodzący się biesiadnicy odprowadzali się do domów, kończąc po drodze rozpoczęte dysputy.

W poniedziałek 29 maja zwiedzano już o ósmej rano kliniki szpitalne. O dziesiątej rozpoczęły się posiedzenia sekcyjne, które tu i owdzie przeciągnęły się do drugiej a mimo to, nie wszyscy pragnący głos zabrać, mogli zadosyć uczynić swym chęciom.

Na przewodniczących posiedzeniom sekcyjnym wszędzie, w dniu tym wybierano Polaków.

Na posiedzeniu sekcji medycyny wewnętrznej, zabierali głos doktorowie Eiselt o tyfusie; Thomayer o zaniku nerek; Medal o zastosowaniach kąpeli zimnych, do leczenia gorączek.

Członkowie sekcji chirurgicznej zebrali się już o siódmiej rano w celu zwiedzenia kliniki. Powitani przez prof. Weissa, oprowadzeni zostali przez tegoż po salach, gdzie o każdym chorym na cięższą niemoc, prof. Weiss zdawał referaty. Następnie tenże doktor w przytomności obecnych wykonał jedną operację, przy której asystowali doktorowie Matlakowski z Warszawy i Obaliński z Krakowa.

O godzinie 10^{1/2}, rozpoczęło się posiedzenie téjże sekcji, któremu przewodniczył dr. Jordan. Zabierali tu głos lub mieli wykłady doktorowie Talko o uszkodzeniach gałki ocznej przez pijawki, Matlakowski o szczególniej formie ropienia kości (Ostitis chronica purulenta). Prócz tego, mieli tu wykłady doktorowie Ostričil, Czarda, Jerzykowski i inni. Na posiedzeniu sekcji matematyczno fizycznej przewodniczyli dr. Weyr i Eugeniusz Dziewulski. W przedmiotach matematycznych występowali prof. Machovec, Weyr, Procházka, Tomše. Wykłady z fizyki mieli prof. Čecháče, Strouhala, Dziewulski. W sekcji przyrodniczej wybrano za przewodniczących doktorów Krejčí i Mayzla. Ten ostatni powtórzył demonstracją preparatów mikroskopowych, dotyczących dzielenia się jąder w komórkach, dnia bowiem poprzedniego dokonał téj czynności na posiedzeniu sekcji medycyny teoretycznej. Z kolei zabierali głos Novák, Kamiński, Szyszyłowicz, Taranek, Klvana, Čelakovský, Šafranek, Hansgörg, Uličný, Žuliński. Na prezesa sekcji chemicznej zaproszono prof. Radziszewskiego, wykłady mieli tu: Janeček, Wąsowicz, Stoklasa, Wiesner, Rayman i inni.

W sekcji antropologiczno-archeologicznej, przewodniczył G. Osowski, który też opowiedział zebranym o wynikach z badań jaskiń

w okolicach Krakowa; wykłady mieli tu jeszcze Woldřich, Berger, Kopernicki.

W sekcji pedagogicznej przemawiali Klika, Kotal, Zdenek, Tilser. O godzinie trzeciej popołudniu, sala na wyspie Zofii napełniła się po brzegi a to na drugie a zarazem ostatnie posiedzenie ogólne. Zagaił je prof. Šafařik, a po nim zabrał głos doktor Jerzykowski z Poznania, zapraszając imieniem lekarzy i przyrodników poznańskich na IV zjazd polski do Poznania, w roku przyszłym odbyć się mający. Odpowiedział mu dr. Studnička, dziękując za zaproszenie i przyrzekając przyjęcie licznego udziału.

Następnie prof. Eiselt odczytał list Stowarzyszenia zachęty do przemysłu w Czechach, występującego z początkowaniem wzniesienia publicznego pomnika Janowi Świętopełkowi Preslowi, zmarłemu w Pradze 1849 r., który słusznie nazwać się może ojcem nauk przyrodniczych w Czechach. Ono założył z Jungmanem w 1823 r. czasopismo naukowe „Krok“, on dał pierwsze podwaliny Macierzy czeskiej, on też zgromadził wszystkie siły możliwe do użycia w kierunku naukowoliterackim, owocem czego były liczne dzieła z historii naturalnej.

Na odezwę tę, komitet tegorocznego zjazdu dał przychylną odpowiedź; kwestya w zasadzie została rozwiązana a nie wątpimy, że wkrótce urzeczywistnioną zostanie; umieją bowiem w Czechach uczyć imiona znakomitych rodaków.

Według programu nastąpił odczyt prof. Szafarzyka „O celach badań chemicznych.“ W odczycie tym uczony profesor przebiegł historyczny rozwój chemii i jej dążeń od najdawniejszych czasów a wyczerpawszy kwestyę specjalną przeszedł do ogólnej, z której podajeemy w łómaczeniu kilka ustępów.

„Nauka chemii jest podstawą nowoczesnego przemysłu, lecz wartość jej, w oczach myśliciela, nie na tém polega, że ona zaspakaja potrzeby naszego życia i takowe nam uprzyjemnia, lecz na tém, że wyswobadza człowieka z niewoli materji, że mu walkę o byt ułatwia.

„W pracy téj biorą udział wszystkie pokolenia, wszystkie narody, wszystkie rasy począwszy od starożytnych mitycznych Hamitów i synów arabskiej pustyni a skończywszy na najmłodszych potomkach Aryów.

„A cóż my sami wnieśliśmy do téj skarbnicy, lub co w przyszłości wnieść możemy?

„W epoce gdy Galileusz, Descartes i Bacon zakładali węgielny kamień pod budowę gmachu nowoczesnej wiedzy przyrodniczej, gdy Newton pisał swoje „Principia i optykę“, Spinoza „Etykę“, Leibnitz „Monadologię“, w owéj epoce naród czeski złamany klęskami historycznymi, zapadł w stopięćdziesięcioletni sen bez sił. A kiedy na przełomie ostatniego stulecia, wielka burza dziejowa oczyściła z miazmatów powietrze staréj Europy i nawet w naszej kotlinie czeskiej młodą wyhodowała latorośl; czyliż dziwić się i potępiac będziemy, że zdolniejsze umysły, czując w sobie wyższe powołanie, jak owi dwaj twórcy

zasad nowoczesnej medycyny Rokitański i Szkoła, nie wypierając się swego narodu, udali się tam, gdzie dla swój działalności znaleźli grunt i środki.

„Od owęj pory stosunki się zmieniły na korzyść. Jakiegoż wzruszenia doznaliby mężowie naszego odrodzenia, gdyby dziś znaleźli się w naszym gronie! Ale już i tak dają się słyszeć głosy, które nam zewsząd szepcą do ucha: „próżne wasze wysiłki! życie sobie czego chcecie, przekonacie się, że wam sił nie starczy, że nic nie zrobicie; my jesteśmy silniejsi, starsi i bogatsi, daleko wyżsi od was i nigdy nas nie dościgniecie.“ Głosy te odzywają się poczęści z tak wysoka, że słusznie trzeba się zamyśleć.

„Któż bowiem mógł się tego spodziewać, że w austriackiej radzie państwa znajdzie się mąż (Maks Müller) i to mąż uchodzący za pierwszorzędnego myśliciela, który rzuci nam w twarz obelgą, że ze słowiańskimi językami można być tylko... sługą?

„Lecz w czyjjej piersi zdrowe serce bije, kto ma rozsądek, tego nie zmylą napaści ani sofistmata. Zawsze i wszędzie pierwszą było cnotą kochać co własne, rozwijać je i bronić, a drugą szanować cudze. Wy zatem co własnemu ludowi zalecacie, żeby strzegł swego dobra, dlaczegoż nam poczytujecie za wadę, gdy to samo czynimy?

„Maks Müller ostrzega nas, że żaden człowiek, ani naród nie powinien zdawkową monetą spłacać swego długu względem ludzkości; jako przyrodnik, ubolewać muszę iż sławny lingwista zgoła nie pojmuje ducha naszych umiejętności, bo gdyby go pojmował, toby wiedział, że każda całka składa się z nieskończenie wielu różniczek, a nikt nam nie wzbroni, abyśmy i nadal jak dotąd i jeszcze hojniej znosili swoje różniczki do wspólnego celu. Sumę ich zna tylko ten Najwyższy rachmistrz, który według Platona i Gaussa prowadzi księgę rachunkową wszechświata.

„Zaginęli Egipcjanie, Rzymianie i Grecy, a to co stworzyli siłą swęj dłoni i żelaza zamarło wraz z niemi, lecz płody ich ducha żyć będą wiecznie. I myśmy już w historii przebyli krwawą walkę żelazem, a na przyszłość pragnęlibyśmy tylko brać udział w szlachetnej walce myśli, z której każdy może wyjść zwycięzcą a nikt nie musi zostać pokonanym. Co należy narodowi, damy narodowi, co ludzkości, zwrócimy ludzkości: niech hasłem naszym będą piękne słowa tebańskiego wieszczka w czwartęj odzie nemejskiej:

„Od czynów dłużęj żyje słowo, jakie za zrządzeniem Charyt
Język z głębokiego wyrzuca umysłu.“

Po odczycie, prezes zjazdu podziękował zebranyim za przyjęcie udziału w pracach zjazdu, wyraził nadzieję, że z czasem powita Praga reprezentantów wszystkich Słowian, a wreszcie przeproszał, że objawy gościnności czeskiej nie były zapewne tak świetne, jak braci polskiej w przeszłym roku w Krakowie. Na zakończenie wiceprezes po-

siedzenia, profesor Radziszewski, wypowiedział piękną pożegnalną mowę, którą prawie w całości podajemy.

„Przypatrzyliśmy się bliżej waszej cichój, napozór drobnej, a przez wytrwałość wielkiej w następstwa pracy. Dla osiągnięcia najwyższych celów, używacie metody, którą się posługuje przyroda i dlatego też przy was musi pozostać zwycięstwo. Nowoczesne bowiem badania przyrodnicze coraz dobitniej to stwierdzają, że wielkie kataklizmy wywołują tylko miejscowe i przemijające zmiany; to zaś, co stanowczo wpływa na konfigurację ziemi, jej płody i płodów tych kształty, jest skutkiem drobnych czynników, które się potęgują przez ciągłe a systematyczne powtarzanie.

„Niszcząca lawa wulkaniczna pod wpływem niktych niedostrzegalnych wpływów, powolnie się zmienia w żyzną ziemię, na której laur kwitnie, a winna latorośl słodką wydaje jagodę.

„Na miejscu zasypanój Pompei rozciągają się łąny złotokłosego zboża, na gruzach Herkulanum wznosi się dzisiaj szkoła, a tam, gdzie zaginęła starożytna Stabia, leżało Castellamare z swym uroczym portem, którego wody od włoskiego nieba barw zapożyczają.

„Takie to myśli rozdziły się w nas, gdyśmy zwiedzali i podziwiali wasze instytucje naukowe, zbiory, muzea, kluby, towarzystwa, wasze dzieła sztuki i przemysłu.

„Widok tego, coście w tak krótkim czasie swą iście mrówczą pracą dokonać zdołali, musiał wywołać w nas, złączonych z wami wspólnem pochodzeniem i wspólne nadziejami, uczucie najwyższej radości, tej radości, jakiej się doznaje zawsze, patrząc na tryumf słusznej i dobrej sprawy.

„Lawą, która miała was zniszczyć doszczętnie, powoli, lecz stale zamienia się w urodzajną glebę, na której wprawdzie laur jeszcze nie kwitnie, ale już się zieleni latorośl, rodząca nektar, który szlachetne serca zagrzewa do dalszej pracy nad rozwojem wiedzy i postępu.

„Z tém przekonaniem opuszczając będziemy waszą piękną stolicę, a nie potrzebuję dodawać, że przekonanie to opromieniać będzie słodkie wspomnienie braterskich węzłów, jakie między nami a wami za dzierzgnięte zostały.

„Nie będę też słów tracić na podziękowania za serdeczną gościnność, z jaką przyjmowaliście nas w murach stuwieżowej Pragi. Za serce bowiem nie słowami, lecz sercem się płaci! To też żegnając was, wypowiem to tylko, co w sercach naszych na wieczne czasy wyrzycem zostało: Kochanym braciom naszym, Czechom, szczęść Boże!”

Na tém zakończyło się posiedzenie ogólne, a zarazem urzędowe zakończenie zjazdu. Wieczorem urządzonym był koncert przez studentów czytelni akademickiej, a prócz amatorów przyjęły w nim udział cenniejsze siły artystyczne teatru pragskiego.

Dzień wtorkowy (30 maja) przeznaczonym był na wycieczki naukowe, lub rozrywkowe, stosownie do wyboru. I tak: z rana o 7 wyruszone do Przybramia pod przewodnictwem prof. Krejczego, do Karl-

sztyna z prof. Czelakowskim i do Kralup pod kierunkiem prof. Fricza. Pierwsza wycieczka zajęła dwa dni, pozostałe po jednym. Po południu o 1½ około 500 osób wyruszyło statkiem parowym w górę Wełtawy do Zbrastawia, gdzie przepędzono przyjemnie kilka godzin.

Ponieważ wycieczki te odbyły się już poza czasem zjazdowym, chociaż więc niektóre z nich zawierają wiele ciekawego i pouczającego materiału, nie czynimy jednak bliższych o nich wzmianek, bo zbyt pobieżne nie odpowiadałyby celowi, a nieco dłuższe nie mogłyby już znaleźć pomieszczenia w niniejszym artykule. Zresztą czytelnicy nasi znają zapewne opis wycieczki do Zbrastawia, podanej w „Wędrowcu” Nr. 23, wycieczki do Przybramia, umieszczonej w „Kuryerze Warszawskim” Nr. 123, a także w „Gazecie Warszawskiej” Nr. 133.

Zaznaczamy przeto tylko, że wszystkie wycieczki odbyły się pomyślnie, że przybywający goście doznawali serdecznego i uroczystego przyjęcia, a ile razy nadarzyła się ku temu sposobność, Polaków wyróżniano wśród gości. Objawy sympatii pochodziły bardzo często od ludności miejscowej, od górników, robotników i mieszczan, którzy pozdabiali domy chorągiewami, strzelali na wiwat z moździerzy, tworzyli szpalery jakby do tryumfalnego pochodu, a powiewając kapeluszami, witali lub żegnali okrzykami: „slava!”

Takim jest treściwy opis zjazdu i połączonych z nim uroczystości. Specyalne prace, na nim dokonane, nie do nas należą: wyniki ich dopiero przyszłość oceni. Tymczasem zjazd, jako objaw nowego, ściślejszego zbliżenia się dwóch narodów, był aktem podniosłym i tém większego znaczenia, że znać w nim było nie wybuch chwilowego zapątu, ale objaw sojuszu tém szczytniejszego, że zwróconego tylko do wspólnej naukowej pracy.

Cześć wam i chwała! krzewiciele postępu i nauki, zarówno wam, kierownicy elementarnych łódek, jak i wam, sternicy poważnych naukowych monitorów. Cześć wam, dzielni twórcy narodowej sławy, wam leczącym fizyczną niedolę człowieka, jako i wam, badacze języka i historii; wam, założyciele bibliotek, muzeów, wam, miłośnicy sztuk pięknych i znawcy archeologii. Chwała i tobie, wszelkiego wieku młodzi, która umiesz korzystać z udzielanych ci nauk i podążać śladami swych nauczycieli. Chwała i wam, wszelkiego stanu obywatele Pragi, którzy zgromadzając się w specyalnych „spolkach” (towarzystwach), umiecie uradzić i zastosować to wszystko, co się przyczynić może do podniesienia miasta, do jego ozdoby i uzdrowotnienia.

Dzięki wam wszystkim za chwile wśród was spędzone, a dzięki za żywe przykłady waszej energii, troskliwości, a zwłaszcza pracy około tego, co dobre, piękne i szlachetne.

Zamała mieliśmy czasu, aby się od was szczegółów nauczyć, ale aż nadto wiele, aby gorąco zapragnąć przeszczepienia wielu waszych cnót i czynów.

B. P.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa obrazów i rzeźb na Polach Elizejskich.—Puvis de Chavannes: „Ludus pro Patria.“—Beaudoin: „Historya Zboża.—Obrazy religijne: „Fra Angelico“ p. Maignon.—Obrazy historyczne: „Cesarz Rudolf u alchemisty;“ „Trubadur“ p. Brozika.—„Ś-ty Jan Chryzostom“ i „Cesarzowa Eudoksya“ p. Wenkera.—„Vauban“ p. Tonę Robert Fleury.—„Ostatnie chwile cesarza Meksyku Maksymiliana“, przez J. P. Laurent.—„Śmierć zakładników“, p. Motte.—Obrazy mitologiczne: „Homer“, p. Lecomte de Nony.—Portrety, krajobrazy.—Sceny rodzajowe: „Wieczór letni na wsi w okolicach Finisteru“, J. Bretona. „Bezrobocie kowali“, p. Soyer.—Rzeźby: „Obrona Belfortu“, p. Mercie—Malarze polscy: p. Józefa Brandt (Jarmark w Balcie). PP. Chełmoński, Piotrowski, Merwart, Szyndlet, Zier, Loewy, Przepiórski, Bakałowicz, Gąsowski, Kraczkowski, Ciesielski, Karbowski, Krabański, Roszczewski.—Rzeźbiarze polscy: pp. Cypryan Godebski, Kossowski.—Akwarele pani Konstancya Boulard i panna Helena Duchyńska.—„Emalia:” panna Stryjeńska.—Pięćdziesięcioletnia rocznica założenia Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu.

W chwili gdy to piszemy, wystawa Sztuk Pięknych blizką już ukończenia: obrazy osądzone, medale rozdane, radość kilkunastu okupiona zawodami tyłu innych! Tak w tym roku, jak zwykle, salon był przedmiotem ciekawości powszechniej, uprawił w ruch setki piór dziennikarskich, wywołał tysiące najsprzeczniej sędów. Wrzawa ta umilkła już dzisiaj; powstało z niej tylko echo, stwierdzające, że sztuka trzyma się dzielnie we Francyi, że jeśli przechodzi chwilę przełomu i w niektórych działach okazuje zwątlenie, to przecież z łona jój tryśka żywotna siła, zapowiadająca nowy rozkwit.

W wielkim błędzie byłby ten, ktoby chciał z sądów dziennikarzy francuzkich powziąć o wystawie jakieś wyobrażenie. Wyłączywszy dwóch lub trzech wytrawnych krytyków, sądy wszystkich oparte na jakiejś doktrynie społecznej, politycznej i t. p. Legitymisi chwałą obrazy historyczne, jeśli te przypominają jakąś chwilę tryumfu z dawnych czasów; stronnicy rewolucyi podnoszą sceny, przedstawiające Dantonów, Robespierów, Maratów, Dumoulinów i innych koryfeuszów téj epoki; socjaliści przyklaskują wszystkiemu, co rozbudza nienawiść,

co przypomina krzywdę, wymierzoną przez silnych słabszym. Klasycy, zamiłowani w starożytności, których tu jeszcze nie brakuje, szukają wielkiego stylu i pogardliwem okiem patrzą na obrazki rodzajowe, brane ze zwyczajnego życia; zwolennicy sztuki dla sztuki, poprzestają na zaletach technicznych: dla nich alfą i omegą: wierne oddanie prawdy; krzewiciele naturalizmu żądają nakoniec, aby ta prawda wyrażoną była wyłącznie z najszeptniejszej strony.

Są i tacy, którzy w imię patryotyzmu patrzą z trwogą na liczne dzieła cudzoziemców, nadesłane w tym roku na wystawę. Jakoż w rzeczy samėj wzięło w nięj udział 697 artystów zagranicznych, należących do 37 narodowości. Na 5,612 imion, zapisanych w katalogu, liczba obcych dosyć poważna!

Statystyka ta wydobyła palące słowa z pod pióra jednego patryoty. „Strzeżmy się, woła rozpaczliwie, nie dajmy się prześcignąć! Nie trwómy sił i czasu na próżne spory między realizmem a idealizmem, między Cabanelem a Manetem. My kłóćmy się, Wiedeńczyki tymczasem gotowi nas prześcignąć!“

To też każdy utwór obcego pędzla solą jest w oku dla zawistnych sprawozdawców. Jeden w imię patryotyzmu chłoszcze go złośliwie; drugi zbywa pogardliwem milczeniem. Głośny krytyk „Figara“ Albert Wolf, nazwał sałatą z majonezem prześliczny „Jarmark w Bałcie“ Brandta; nie dziwimy się temu, pamiętamy bowiem niedorzeczne pociski, rzucane na „Grunwald,“ na „Batorego“ i inne arcydzieła Matejki, zwane przez Wolfa płodami zawa dy a c t w a polskiego. Jeśli kto okazał się zawa dy a k i e m, to niezawodnie Wolf, który na dzień przed otwarciem salonu, po dwukrotnym przegłądzie, ocenił po swojemu 2,700 obrazów! opisał je w osmnastu kolumnach dziennika swego, paląc z bicia w lewo i w prawo, chwając miernoty, a zbywając szyderstwem dzieła wartości niezaprzeczonėj!

Nic pociesniejszego, jak nawał szumnych ogólników, jakeimi szafują pseudo-krytycy. Im kto więcej szermierzy frazesami, tém pewniejszym być można, że pokrywa niemi brak osobistego sądu. Ci deklamatorowie byli w tym roku mocno zakłopotani: ktoś w Monitorze, na kilka dni przed otwarciem wystawy wydrukował trzy kolumny brzęczących a pustych frazesów, dla ułatwienia pracy przyszłym sprawozdawcom!

Niełatwe to zadanie w rzeczy samėj, przebieudz trzydzieści przeszło sal, zapełnionych kilku tysiącami płócien, w alfabetycznym umieszczonych porządku, a więc bez ładu i systematu. Niejeden cenny obrazek znika zupełnie dla oka, przyćmiony sąsiedztwem innego, panującego nad nim rozmiarami, albo jaskrawym kolorytem. Ta właśnie jaskrawość, cechująca dzisiejsze utwory, wywołała silną reakcją wśród najzdolniejszych malarzy. Zjawiała się nowa szkoła, unikająca gwałtownych efektów; na czele jęj stanął Puviss de Chavannes. Zrazu był on przedmiotem pośmiewiska: szydono z jego obrazów, jakby tonących we mgle; mistrz nie zważał na te pociski, szedł wytrwale obra-

na drogą; brak zewnętrznego blasku zastępował bogactwem kompozycji i harmonijném grupowaniem osób, a co więcej wzniosłą myślą, opromieniającą każdy utwór. Wreszcie Puvis de Chavannes zwyciężył przeciwników i zmusił ich do pochylenia głowy. Salon tegoroczny jest dla niego prawdziwym tryumfem: sąd artystów przyznał mu jednomyślnie honorowy medal za pyszny obraz ogromnych rozmiarów, przedstawiający pierwotne społeczeństwo Gallów w epoce przedhistorycznej.

Mytyczny ten obraz pod tytułem: „Ludus pro patria,“ przeznaczony jest do muzeum w Amiens. Przyjrzyjmy się téj pomnikowej kompozycji. Tło widnokregu zamykają malownicze wzgórza, porośnięte tu i owdzie grupą drzew, albo dalekim lasem. Bliżej, środkiem szerokiej doliny, toczy się rzeka, zapewne Somma; poza nią widać rozrzucone chaty galskie, zbudowane okrągło z drzewa, w kształcie wielkich stogów, jakie opisał Strabon. Z biegiem rzeki płyną tratwy, ładowane zbożem. Na pierwszym planie zapełnia środek obrazu grupa młodych Gallów. Wszyscy trzymają w ręku oszczepy; jeden mierzy w oddalony pień dębu, inni czekają, aż przyjdzie kolój na nich. Po prawej ręce siedzi na wzgórkach starzec, snąc wódz galskiego klanu; sądzi biegłość zapaśników, otoczony starszyzną. Dalej na prawo, stoją zwycięzcy szermierze: jeden pieści niemowlę na ręku młodej matki. Dziewczęta przyglądają się walce. Po lewej ręce niewiasty przyrządzają ucztę, wyjmują z pieca chleb czarny; dzieci w różnym wieku ożywiają obraz: jedno bałkuje na czworakach, drugie płacze nad czerepami garnka i mlekiem, rozlaném białą strugą. Gdzie rzucić okiem, ruch, życie, pogoda i w przyrodzie i w postawie tych prostych ludzi. Każdy rad, bo spełnia powinność: młódź spełnia ją, hartując siły w igrzyskach, starszyzna przewodnicząc młodzieży, niewiasty pilnując dziatwy i ogniska. Na tym kamieniu węgielnym stanął gmach społeczny, który miał przetrwać wieki. Tę myśl uwydatnił Puvis w cudnie pięknym obrazie.

Muzeum w Amiens chlubi się już kilku dziełami tego mistrza. Cztery kompozycje: „Wojna i pokój,“ „Praca i spoczynek“ i olbrzymia postać „Pikardyi,“ pokrywają ściany wielkiej galeryi. Wspaniałém jej uwieńczeniem będzie „Ludus pro patria.“ Inne pomnikowe prace Puvisa, rozrzucone po Francyi, zdobią mnóstwo gmachów publicznych. W ratuszu Marsylskim widzieliśmy na ścianach dwie pyszne sceny: „Przybycie greckich kolonistów“ i „Handel ze Wschodem,“ wyobrażony przez okręt, zawijający do przystani. Miasto Poitiers posiada „Tryumfalny wjazd Karola Martela,“ po zwycięstwie nad Saracenami i „Świętą Radegundę,“ otoczoną gronem uczonych i poetów. W paryzkim nakoniec Panteonie, widzimy legendę Ś téj Genowefy, oddaną z wdziękiem pełnym prostoty i religijnego namaszczenia. Wielkie te kompozycje były ozdobą wystaw poprzednich; o wszystkich mówiliśmy w swoim czasie, z największém uznaniem, wówczas, kiedy Puvis de Chavannes był przedmiotem ogólnych sarkazmów. Tryumf jego cie-

szy nas tém bardziej, żeśmy go przeczuli od lat kilku; ale najwięcej raduje nas ze względu na sztukę samą, jestto bowiem tryumf ducha nad materją, tryumf myśli nad prostą kopją widzianych przedmiotów, czyli nad tak zwanym impresjonizmem.

Szkoła Puvisa znajduje już licznych zwolenników pomiędzy młodymi malarzami. Niektórzy, jak bywa zwykle, naśladowają tylko słabsze strony mistrza, niezdolni osiągnąć jego zalet; inni przecież idą w kierunku wskazanym, bez zatracenia oryginalności własnej. Wspomnijmy tu naprzykład dwie wielkie fryzy, pędzla pana Beaudoin, pod tytułem: „Historja Zboża,“ przeznaczone do sali popisowej w Szkole rolniczej Dombasle. W pośrodku pierwszej kompozycji, wieśniak sieje zboże na poorany zagon; drugi wyczerpał wszystko z płachoty, sypie w nią ziarno młoda dziewczeczka wiejska. Po lewej ręce, oracz pogania woły za pługiem, po prawej, inny rolnik zawłóczy broną świeży posiew. Druga fryza przedstawia dalszy ciąg prac rolniczych; z jednej strony: żeńcy tną sierpem kłosa na zagonie; dalej kobiety zgarniają garście, parobcy wiążą snopy, inni ładują niemi wielki drabiasty wóz, uprzężony w parę wołów, dziewczęta zbierają pokłosie. Słońce pełnym blaskiem oświeca tę scenę rolniczą, odbijającą na błękitném tle nieba.

W przedmiotach religijnych nie znajdujemy nic godnego szczególnej uwagi. Słynny portrecista Carolus Duran, mistrz w oddaniu pędzlem koronek i aksamitnych draperyi, pragnął w tym roku podnieść się duchem w wyższe sfery. Zachęcony może przykładem Munkaczego, wykonał „Złożenie Chrystusa do grobu.“ Niestety, brakło mu natchnienia! Na obliczu Zbawiciela nie dopatrzyć śladu boskości; postacie niewiast pospolite, słowem obraz chybiony. Toż samo powiemy o „Chrystusie w grobie“ Beniamina Constant, świetnego malarza scen wschodnich. O innych nie wspomnimy nawet. Jedyne tylko obrazek p. Maignan, małych rozmiarów, legendywniej raczej, niż religijnej treści, zachwycił nas prawdziwie. Przedstawia on świątobliwego malarza „Fra Angelico,“ w refektarzu klasztornym. Malował własnie swoje nieporównane freski; na stoliku, pod ścianą, widać rozrzucone farby i pędzle, a wśród nich zatkniętą w wazoniku wiązkę lilii białych. Zużony pracą i letnim skwarem, usiadł na ławeczce i zasnął twardo. Tymczasem wsunął się lekko do pracowni prześlizchny anioł, z jasnym włosem i błękitnymi skrzydły; pochwycił pędzel: maluje śpiesznie obraz Bogarodzicy; drugi, mały aniołek, podaje mu palete. Oblicze śpiącego dziwnym promienieje blaskiem, śnać dusza jego we śnie rozmawia z aniołami.

Historyczne obrazy nie odznaczają się ani liczbą, ani wartością. Najudatniejsze z nich mają charakter rodzajowy, łączą się téż z historją słabym zaledwie węzłem. Do tych należą dwa obrazy czeskiego malarza Brozika. Młody artysta jest uczniem Munkaczego, przypomina nieco i Matejkę; ale zapatrując się na mistrzów, zachował przecież osobisty charakter, widoczny i w kolorycie i w kompozycji. Przysłał on dwa obrazy do salonu: jeden przedstawia cesarza Rudolfa

u nadwornego alchemisty. Po lewej ręce, w pośród alembików i retort, stoi uczony starzec, w długiej do ziemi szacie, z białą i bujną brodą, przemawia do obecnych. Po prawej stronie, cesarz niespokojny siedzi obok małżonki; na czole jego wzbiera chmura, snąc gwiazdy nie trafiły w myśl władzcy. Cesarzowa, pochylona naprzód, słucha z wyteżoną uwagą. Na obliczu panów dworskich maluje się trwoga i ciekawość.

Drugi obraz, mniej jeszcze historyczny, przedstawia młodą królewską parę z epoki odrodzenia. Oboje zasiedli na tronie, otoczeni kołem panów, niewiast i dziewic dworskich. Gdzieniegdzie, wśród barwnych bławatów, odbija surowy habit mniszy. Po przeciwnej stronie stoi wędrowny trubadur, w błękitnym płaszczu; w jednym ręku trzyma gitarę, drugą podniósł do góry; z ust jego płyną natchnione słowa. Obecni słuchają z wyteżoną uwagą. Te to obrazy malarza czeskiego wywołały wśród krytyków okrzyk trwogi: „Baczość! Wiedźczyce nas prześcigają!“

Ściślej historycznym jest obraz młodego Alzatzczyka Wenkera, przedstawiający wnętrze bazyliki Carogrodzkiej. Z kazalnicy przemawia święty Jan Złotousty, w obec dworu i licznych tłumów. Na obliczu mówcy widoczna groza: stoi przechylony w tył, z głową do góry podniesioną, z ręką wyciągniętą ku cesarzowej Eudoksyi, która, strojna jak na biesiadę w złotogłów, perły i klejnoty, siedzi dumnie w łoży cesarskiej, otoczona gronem świetnie przybranych niewiast. Obraz ten przypominał nam nieco „Kazanie Skargi,“ ale o ileż arcydzieło Matejki wyższe pod każdym względem! Postać Skargi promienista natchnieniem: oblicze biskupa carogrodzkiego wyraża gniew, połączony z pychą, niegodny złotoustego mówcy: grupy tylko drugorzędnych osób zasługują tu na uwagę.

Tony Robert Fleury wykonał wielki obraz, przeznaczony do Muzeum w Belfort. Na wałach stoi Vauban, wśród kilku dostojników, strojnych w pięt rzaste peruki i bramowane złotem suknie, z epoki Ludwika XIV-go; ukazuje im plan fortyfikacji owego miasta, które samo jedno, z pomiędzy tylu innych, nie uległo przemocy pruskiej, podczas ostatniej wojny.

Z dziejów współczesnych widzimy tu dwa obrazy, dwa smutne świadectwa gwałtów, spełnionych niemal razem, na dwóch półkulach świata. Na pierwszym Jan Paweł Laurent, przedstawia ostatnie chwile cesarza meksykańskiego Maksymiliana. Sąd zapadł; cesarz błądy, nabrzękły, z głową podniesioną, czeka na spełnienie wyroku. Obok delikwenta stoi kapłan; oczy zasłania ręką: u stóp pana kłęczący wierny sługa. W otwartych drzwiach ukazuje się dowódzca meksykański, w ręku trzyma pergamin. Biegły malarz nie dorównał w tym suchym i zimnym obrazie poprzednim pracom swoim.

Boleśniejsze jeszcze wrażenie sprawia ogromny obraz Mottego: „Śmierć zakładników.“ Krwawy dramat tylko co się zakończył w dziedzińcu więzienia. W głębi sceny ustawione szeregiem wojsko. Na

pierwszym planie leży ubroczony w krwi arcybiskup Darbois; na lewo proboszcz Magdaleny, ksiądz Daguerry; w pośród nich stacza się na ziemię, ugodzony prezydent Boujeau: rysy wszystkich trzech uderzające podobieństwem. Dalej widać inne ofiary, a głębiej jeszcze straszne mury Roquettey, rysują się w brzasku rannym.

Pomijamy inne, niemniej przerażające sceny, z czasów konwencji narodowej, jak mordy Żyrodystów, lub egzekucye w Nantes, gdzie topieliska Loary zastępowały gilotynę. Zgroza przejmuje na ten widok.

Obrazów mytologicznych mniej widzimy dziś, niż w innych latach; ale i tak zbyt często spotykamy tu owe Nymfy, Najady i Aurory, których tak bardzo nadużyto. Amor pojawia się téż kilkakrotnie, raz nawet w oryginalnej wcale nie klasycznej postaci. Swawolny młodzik, z ogromnemi skrzydły, uprzął w różowe lejce cztery dorodne dziewoje greckie; uzbrojony długim różowym biczem, popędza je wcał i sam galopuje za niemi.

Z mytycznych przedmiotów, tryptyk p. Lecomte de Nony zasługuje na uwagę nie wykonaniem, ale raczej pomysłem. Środkowy obraz przedstawia Homera z lirą w ręku, a przy nim głęboko uśpione pacholę. Ślepy wieszcz, oddany w realistyczny sposób, nie odpowiedni estetycznym pojęciom Helenów; ale śliczny krajobraz na dalszym planie, uwieńczony murami Akropolu, stanowi uroczę tło kompozycyi. W obrazie drugim, po prawej ręce, nad zdruzgotanym tronem i powalonym na ziemię władczą przelatuje straszna Bellona, z mieczem i zapaloną głownią w ręku. Po lewej stronie, w obrazie trzecim, widzimy Penelopę: trzyma oburącz ogromny łuk Ulyssesa; przy niej krosna i kłębki nici, u stóp jęj stary pies, z równą niecierpliwością wyglądający pana swego. Gdyby wykonanie godném było pomysłu, utwór ten mógłby się stać celniejszą ozdobą wystawy.

Portrety mniej liczne, niż w innych latach, zalecają się mistrzowskim pędzlem. Uderza tu między innemi piękny portret jakiś lady angielskiej, strojuję w złotawy atlas, w koronki, wstęgi i kwiaty, wykonany wytwornym pędzlem Carolusa Duran. Przewyższa go jeszcze przepyszny portret pędzla Bonnata, przedstawiający Puvisa de Chavannes w całkowitej postawie. Ścisła przyjaźń łączy Bounata z Puvistem: snąc przyjaciół spojrzął głęboko w duszę przyjaciela i umiał ją oddać na płótnie.

O krajobrazach powiemy tylko, że młodzi pejzażyści francuzcy utrzymują godnie sławę zmarłych poprzedników: Corrota, Daubignego i innych, którzy od lat trzydziestu podnieśli wysoko ten dział sztuki i prześcignęli w nim tak Włochów, jak Niemców i Anglików. Martwe natury i marynarki oddane także po mistrzowsku.

Przejdźmy nakoniec do obrazów rodzajowych; dział ten rozwija się widocznie z każdym rokiem i przybiera coraz samodzielniejszy kierunek. Za przykładem Juliusza Bretona, wielkiego malarza ludowych typów, młodzi artyści znoszą plony z całej Francyi. Zamiast konwen-

cyonalnych pasterzy i pasterek, malują włościan z cerą ogorzałą, rękoma spracowanymi, niewiasty i dziewczęta przy pracy dziennéj, albo przy domowém ognisku. Szereg tych scen ludowych, oddanych z całą prawdą i prostotą, ważnym jest nabytkiem dla nauki etnograficznój. Dzięki temu kierunkowi sztuki, wszystkie zakątki kraju występują przed okiem zasklepionych w sobie Paryżan, i żywą są protestacją przeciw centralistom, którzy chcieliby uczynić Paryż alfą i omegą całej Francji. Utalentowani cudzoziemcy wzbogacają téż bardzo ów dział etnograficzny. Wielu malarzy węgierskich, szwedzkich, holenderskich, angielskich, a nawet amerykańskich, daje poznać swój lud wieśniaczy, jego prace, obrzędy i tradycyjne zwyczaje.

Niepodobna nam zatrzymywać się nad luźnymi utworami w tym rodzaju; przypatrzmy się tylko najpiękniejszemu z nich, pędzla Juliusza Bretona, pod tytułem: „Wieczór letni na wsi w okolicach Finisteru.“

Mrok zapadł, księżyc w pełni rozjaśnia mglistą przestrzeń. W głębi widać trzody powracające z paszy. Na pierwszym planie, przed chatą zeszły się cztery niewiasty, w bretońskich kornetach i żabotach; rozmawiają nie wypuszczając z rąk wrzeciona. Po prawej ręce na kłocu drzewa siedzą dwie starowinki; jedna zmorzona snem opuściła głowę na piersi. Po lewej ręce koło parkanu, odmienna całkiem scena: młodzian szepce coś do ucha dziewczeczce; ona odwraca główkę zawstydzona; dalej dwoje dziecięć bałkuje się po ziemi. Stary wieśniak siedzi na przyźbie przed chatą, patrzy na drobną dziatwę. Cały obraz tchnie spokojem i prawdziwą poezją.

Breton licznych już przysposobił uczniów; jest on po śmierci Milleta naczelnikiem szkoły ludowój. Niepospolite miejsce w téj szkole zajęła córka mistrza, młoda pani Daimont-Breton. W tym roku wystawiła dwie śliczne sceny z życia rodzinnego. Na jednym obrazku młodzichna matka, uczy dzieciątko stawiać pierwsze kroki, śmieje się patrząc mu w oczęta; na drugim wieśniaczka ukazuje niemowlę mężowi, wracającemu z pracy dziennéj.

Z żalem opuszczamy ten dział: trzeba widzieć te proste obrazki, pełne miejscowój barwy, aby zrozumieć ich piękność. Całe życie ludu odbija w nich, jakby w zwierciadle. Tu zareczyny młodej pary, tam matka nad kotyską, albo nad trumienką dziecięcia; tu wesele, tam pogrzeb! tu druchny przypinają wianek oblubienicy, tam smutne towarzyski otaczają biedną sierotę. Tu młódź wiejska krząta się koło żniwa i kośby, tam niewiasty kopią kartofle, zbierają chróst na opał i t. p.

Życie rzemieślników dostarczyło wątku zdolnym malarzom. Na kilku obrazach widzimy wewnątrz kuźni, oddane z wielkiém życiem; nie-mała téż rola przypadła kowalom w tegorocznym salonie. Trzech malarzy odtworzyło na płótnie dramatyczną scenę Coopego, owo znane powszechnie „Bezrobocie.“ Z pomiędzy tych młody malarz Soyer zwrócił szczególniej uwagę wielkim obrazem. Zbrodnia tylko co po-

pełniona, nad trupem stoi zrozpaczony morderca. Tłum kowali patrzy z przerażeniem i grozą. Najwierniej oddane tu słowa poety:

Trup leży u stóp moich, mózg z czaszki mu ciecze,
 W mą pierś ostre wyrzutu ugodziły miecze;
 Skryłem oczy: ach! straszny odwet się poczynił
 Uzułem cały ogrom boleści Kaina.
 Stoję jak głaz—wtém druby obiegną mnie kołem,
 Chcą mnie ująć... drzę z trwogi... ja na nich skinąłem.
 Odkoczyli jak z procy, patrzą na mnie łzawo,
 Rzekłem: ustąpcie bracia.. sam zdam się pod prawo.

Szczupłe ramy nasze, nie pozwalają nam rozszerzać się dalej nad salonem paryżkim. Opuściliśmy z konieczności mnóstwo obrazów zasługujących na uwagę i ocenienie, opuściliśmy z umysłu mnóstwo innych, wstrętnych dla oka, nacechowanych najgrubszym realizmem. Ohydne te obrazy, biegłą niekiedy wykonane ręką, są tém samém w malarstwie, czém są w literaturze płody Zoli i całej jego szkoły, którą po ostatniej powieści „Pot bouille,“ Paryżanie przezwali trzodą chlewną. Rzućmy więc zasłonę na te bezeceństwa, na tych wywłóczonych z wody pół zgniłych topielców, na te karczmy pełne gawiedzi, owe trzęsawiska paryżkie, rozsiewające zgniły miazmat. Powiedzmy jednak, że jakkolwiek szkoła Maneta i jego adeptów, w smutny sposób cechuje czasy dzisiejsze, nie panuje przecież tak wyłącznie, jak to niektórzy utrzymują. Rozbija się ona o estetyczny smak Francuzów, nie próżno mieniących się nowożytnymi Ateńczykami!

Zajrzyjmy teraz do oszklonego ogrodu, gdzie wśród kwiatów i zieleni, bieleją rozrzucone malowniczo posągi i popiersia. Wiadomo, że wśród różnych działów sztuki, rzeźba we Francyi zajmuje pierwsze miejsce. Koroną tegorocznej wystawy, jest niewątpliwie grupa Merciera, przeznaczona dla miasta Belfort, w nagrodę bohaterskich wysiłków, którym Francya winna zachowanie alzackiej twierdzy. Na złomie muru stoi krzepka Alzatka w malowniczym stroju narodowym, z postawą śmiałą, pełną godności i niezłomnej odwagi. Trzyma w ręku karabin podjęty z rąk ugodzonego śmiertelnie i konającego u nóg jej żołnierza. Mercier mistrzem jest w oddaniu przedmiotów wojskowych; kilka lat temu wykonał pyszną grupę: „Gloria Victis,“ nagrodzoną honorowym medalem, dzisiejsze dzieło nie ustępuje tamtemu.

Tę samą ewolucją, jaką spostrzegamy w malarstwie, przebywa dziś i rzeźba. Zamiast klasycznych bogów i bohaterów, pojawiają się tu coraz częściej typy brane z życia rzeczywistego. Młody artysta Contau, pokazuje nowożytną Cererę w postaci silnej wieśniaczki, zgiętej pod ciężarem płachty pełnej chleba, którą dźwiga na barkach. Tam znów matka rozdaje podwieczorek drobnym dziatkom. Dalej wieśniaczka porzuca grabie w polu, karmi piersią swe niemowlętko. Więcej moglibyśmy naliczyć scen podobnych: szczerze przyklaskujemy pierwszemu próbom.

Z umysłu zostawiliśmy na koniec wzmiankę o polskich artystach, których imiona w liczbie 22, zapisane są w katalogu. Żałujemy szczerze, iż w pośród tych nie znajdujemy imion Matejki ani Siemiradzkiego. Wyobrażamy sobie, jak silne wrażenie sprawiłby tu widok Alberta Pruskiego ukorzonego przed Zygmuntem. Komuż nie miłą pamięć upokorzenia wroga, chociażby w dalekiej przeszłości.

Z utworów polskich na wystawie, wspomnijmy naprzód „Jarmark w Bałcie“ Józefa Brandta. Obraz ten, jak słyszeliśmy, znany w Warszawie; nie będziemy go też opisywać, miło nam tylko poświadczyć, że wszyscy poważniejsi krytycy, wysoko podnieśli jego wartość, że unoszą się nad pełnym życia tabuarem źrebców stepowych. Sąd konkursowy chlubną wzmianką odznaczył piękny utwór; zbyt mała to nagroda: gdyby Brandt był Francuzem, otrzymałby niewątpliwie złoty medal.

Toż samo wyszczególnienie pozyskał pan Chełmoński. Wystawia on dwa obrazki: „Pochód kozaków“ i „Odpoczynek przed karczmą.“ Konie jak zwykle pełne życia, typy kacapów oddane wiernie.

Miłe bardzo wrażenie sprawił na nas obrazek rodzajowy p. Piotrowskiego: „Niedziela na wsi.“ Szlachcic podąża do kościoła bryczką uprzoną w parę dziarskich mierzynków: dziewczęta wiejskie ustępują z drogi. Perspektywa wyborna, z całego obrazka tchnie jakiś swojski powiew, przyjemny dla oka i dla myśli. Szkoda tylko, że zawieszony zbyt wysoko. Jeszcze wyżej pomieszczono drugi obrazek tegoż artysty; poznaliśmy jednak polską dziewczynkę dumającą samotnie w polu.

Niegościnnie też pomieszczony obraz p. Merwarta. Przedstawia on młodą kobietę w więzieniu, spiącą na garści słomy: kształty jej pełne wdzięku, o ile oddalenie widzieć je pozwalało. Clement, poważny krytyk „Debatów,“ podniósł wysoko ten obraz utalentowanego artysty.

Dwa portrety p. Szynclera ściągają powszechną uwagę. Jeden z nich bardzo wiernie odtwarza rysy znakomitego rzeźbiarza Cypryana Godebskiego. Drugi portret pani G. w algierskim kostyumie nadzwyczaj efektowny. Panowie Zier, ojciec i syn, wystawili cztery przedmioty, z tych trzy treści mitologicznej, czwarty wielkich rozmiarów p. Edwarda Ziera, osnuty na Ewangelii, przedstawia ucztę w domu złego bogacza. Łazarz w łachmanach przystępuje do biesiadników; ci z pogardą usuwają się przed nim. Przedmiot to bardzo wymowny, oddany dramatycznie; ogólne też znalazł uznanie.

P. Loewy wykonał nadzwyczaj podobny portret T. Jeża. Pierwsze to wystąpienie młodego artysty, piękną zapowiada mu przyszłość.

Zwraca też uwagę „Skrzypek“ utworu p. Przepiórskiego. Postać melomana oddana z prawdziwym talentem.

P. Bakałowicz wystawia Henryka Walezyusza, otoczonego trefnisiami. Jak zwykle, atłasy i aksamity wykonane wybornie. Oprócz tego, artysta wykonał bardzo udatny portret kobiety, małych rozmiarów.

Wśród krajobrazów odznacza się widok Arkaszonu p. Gąsowskiego. P. Kraczkowski nadesłał „Wieczór na Małorusi;“ p. Ciestelski „Okolicę nad Sarthą.“ Wspomnijmy jeszcze „Targ na ryby“ pana Karbowskiego, portrety panów Krabańskiego i Roszczewskiego.

Wśród rzeźb zwraca uwagę popiersie sławnego wiolonczelisty Servais, dłuta p. Cypryana Godebskiego i „Amor“ tegoż artysty. Pan Kossowski z Krakowa, wystawił figurę gipsową i biust dziecięcia z terakoty. Pan Antokolski popiersie. Panna Dąbrowska, biust kobiety odlany z brązu. Narodowość téj artystki jest dla nas zagadką, zapisana bowiem w katalogu jako urodzona w Wilnie, z rodziców fancuzkich (?).

W dziale akwareli widzimy dwa udatne portrety na porcelanie, pędzla pani konstancyi Boulard i dwa inne bardzo ładne większych rozmiarów, panny Heleny Duchińskiej. Panna Stryjeńska wystawiła piękną emalią na miedzi.

Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu dobiegło właśnie półwiekowego swego istnienia. Z tego powodu sekretarz Towarzystwa, p. Gadon, odczytał na majowym zebraniu rzut oka na pięćdziesięcioletni jego żywot. W przyszłej kronice naszej zwrócimy uwagę na ważniejsze części tego sprawozdania, równie ciekawego, jak w pięknej przedstawionej formie. Dziś podajemy tu warunki nowego konkursu, ogłoszonego na témże zebraniu.

„Rada Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, na konkurs dwulecia 1882—1884, ogłasza zadanie następujące:

„Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych, dokładniej znanych sejmów (1548), aż do zagęszczającej się praktyki Liberum veto w wieku XVII? Czy i jakie starania zdążyły do jego naprawy? Co jój przeszkadzało?”

Ządana praca w języku polskim, odpowiadająca na wymienione zadanie, ma obejmować nie mniej, jak dziesięć arkuszy druku. Autor najlepszej rozprawy otrzyma nagrody 1800 franków; nagroda ta jednak w danym razie będzie mogła być rozdzieloną na dwie części i wtenczas najlepsza praca otrzyma franków 1200, następująca po niej franków 600.

Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopiśmie pod adresem sekretarza Towarzystwa historyczno-literackiego (Paryż, 6, quaid Orleans), albo p. Józefa Szujskiego, profesora historii przy uniwersytecie krakowskim, sekretarza generalnego Akademii Umiejętności (Kraków, w uniwersytecie Jagiellońskim).

Rękopism powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłem wybranem przez autora, a toż samo godło ma się znajdować na liście zapieczętowanym, dołączonym do rękopismu i zawierającym nazwisko autora.

Terminem ostatecznym dla złożenia rękopismów jest dzień 15 lutego 1884 roku.

Na posiedzeniu publiczném 3 maja 1884 r., rada odpieczętuje list noszący godło pracy, której została przyznana nagroda i ogłosi imię jój autora. Inne listy zostaną spalone.

Gdyby do wymienionego terminu nie była przysłana żadna tego rodzaju praca, któraby w myśl obecnego konkursu zasługiwała na nagrodę, w takim razie suma 1800 franków ofiarowaną będzie autorowi dzieła historycznego polskiego, które w ciągu ostatnich dwóch lat wyszło z druku i które rada za najlepsze osądzi. W imieniu rady Towarzystwa, sekretarz L. Gadon.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w roku 1136.“
„Codex diplomaticus Majoris Poloniae,” documenta et jam typis expressa et adhuc inedita complectens Annum 1400 attingentia. Editus cura Soc. litter. poznaniensis. (Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski, obejmujący dokumenta tak już drukowane, jak dotąd nie ogłoszone, sięgające do r. 1400. Wydany staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego). Poznań, 1877—1881, t. I—IV. Tom IV z mapą Wielkopolski epoki Piastowskiej.

W zebraniu i ogłoszeniu dyplomatów, odnoszących się do stosunków przeważnie wewnętrznych Wielkopolski, należy się pierwszeństwo hr. Raczyńskiemu; znacznie atoli większą położyli zasługę następcy jego, którzy dyplomatarysz Wielkopolski do olbrzymich stosunkowo doprowadzili rozmiarów, zamieściwszy w nim poważną liczbę, bo przeszło 2000 dokumentów, sięgających nie dalej, jak po r. 1399.

Lelewel, rozbierając krytycznie Kodeks Wielkopolski Raczyńskiego, wykazał ujemne strony tego wydawnictwa, które pod względem bogactwa nagromadzonych materyałów nie wytrzyma żadnego porównania z Kodeksem Wielkopolskim, wydanym staraniem poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a co do treści pojedynczych dokumentów tyle zawiera błędów i różnic, wynikłych z odmiennego odczytania jednego i tego samego dokumentu, że korzystanie z niego dla prac naukowych staje się prawie niemożliwem.

I tak np.: czyta Raczyński w dyplomie z r. 1231, zamieszczonym w Kodeksie jego pod N. II: „tenentur, tenebrare, cedente, perci-piat,” podczas gdy wydawca nowego Kodeksu Wielkopolskiego z tego samego oryginału (Nr. 134): „trahuntur, tenebar, concedente, perceperat” wyczytał.

Odnoszące się do Gościkowa, czyli Paradyża dokumenta, z których potwierdzenie Pawła, biskupa poznańskiego, zamieszczone jest pod N. III i bez żadnych objaśnień powtórzone raz pod N. V, a drugi raz pod N. VI, z dodatkiem oblaty z r. 1354, kładzie Raczyński pod r. 1234, czytając: „MCCXXXIV, Kalendas Februarii.” Wydawca tymczasem nowego Kodeksu Wielkopolskiego czytał: „MCCXXXII, Kalendas Februarii” i umieścił dokumenta te pod r. 1230, z datą 29 stycznia.

Porównanie dwóch tych Kodeksów Wielkopolskich dostarcza mnóstwa tego rodzaju sprzeczności, o które na inném jeszcze miejscu potrączę.

Z większą starannością i z większym bez porównania zmysłem krytycznym opracowany był Kodeks dyplomatyczny Polski, wydany w kilka lat później po Kodeksie Wielkopolskim Raczyńskiego przez Rzyszczewskiego, Muczковского i Bartoszewicza. Zbiór ten zawiera także dokumenta, które w nowym Kodeksie Wielkopolskim zamieszczone zostały; pierwszy z nich (Nr. 11) jest z r. 1145 i tyczy się klasztoru trzemeszyńskiego.

Różnice w reprodukcji tego dyplomu pochodzą przeważnie ztąd, że Rzyszczewski zastosowywał współczesną grafikę łacińską, podczas gdy wydawca nowego Kodeksu Wielkopolskiego trzymał się ściśle pisoni oryginału, jaki miał przed sobą. Odmiany takie, jak np.: Sedlicovo i Siedlicovo, Corcyn i Korczyn, Wasnow i Waszniów, Strelno i Strzelno i t. d., nie wywołują wprawdzie w tym wypadku żadnych trudności, kopista atoli wystrzegać się ich powinien z uwagi, że przy nazwach, zwłaszcza geograficznych, jedna litera przyczynić się może do niezrozumienia lub do odgadnienia danej miejscowości, jak to w przywiedzionym powyżej dyplomie stało się z nazwą Jesovo prope Wasnow, którą wydawca Kodeksu dyplomatycznego czytając: „Lesovo prope Waszniów,” daremnie szukał takiej, lub podobnej co do brzmienia osady w odnośnych skorowidzach. Wydawca zaś nowego Kodeksu Wielkopolskiego odczytał Jesovo (wymów Jezowo), co go z łatwością naprowadzić mogło na Jeżów, czyli Jeżowo z pod Wasniowa.

Ważniejszą także różnicę stanowi opuszczenie w Kodeksie dyplomatycznym wyrazu Jablovo w zdaniu: „Comes contulit duas villas et Zolaków,” oraz i pominięcie całego zdania następującego: „Dominus Vincencius Gnesnensis canonicus contulit Bezcoristev cum omnibus suis utilitatibus.”

Co wreszcie do objaśnień, znajdujących się pod tym, jak w ogóle pod wszystkimi innemi dokumentami, przytoczę tu dwa tylko następujące przypiski Kodeksu dyplomatycznego dla przeciwstawienia obu wydawnictw pod tym względem:

1. Robakowo non occurrit in propinquo in tabulis geographicis.
2. Cebat frustra in locorum indicibus quaesivimus.

Z Kodeksu natomiast Wielkopolskiego dowiadujemy się, że na-

chodzące się w przywiedzionym powyżej dyplomie Robakowo leżało nad jeziorem Kamień pod Kamieńcem, w okolicy Trzemeszna i Wilatowa i że w r. 1567 już było opuszczone, czyli pustém. „Liber Beneficiorum” Łaskiego wylicza jeszcze toż Robakowo między włościami, należącemi do parafii kamienieckiej.

Cebar jest podług objaśnień tegoż Kodeksu Zbarem, kasztelanią niegdyś i istniejącym jeszcze w XIV wieku grodem, którego nazwa przechowała się w ziemi zbarskiej, a za czasów Łaskiego istniał jeszcze t. z. dekanat zbarski z miasteczkami: Kleczew, Wilczyn, Ślesin, Grzegorzew i Kaźmirz.

In tabulis geographicis i in locorum indicibus, nie znajdzie żaden komentator tego rodzaju szczegółów, po które głębiej sięgać trzeba.

To téż ogłoszone już poprzednio w innych zbiorach dokumenta, które znalazły pomieszczenie w nowym Kodeksie Wielkopolskim, uważam za wydanie o ile możności poprawne i krytycznie objaśnione, jak to następnie wykażę na bulli Innocentego II z r. 1136, potwierdzającej posiadłości pierwszej w Polsce metropolii.

Szczegółowszy rozbiór téj kwestyi pożądanym będzie materiałem dla historyka, badającego początki dziejów państwa polskiego.

Granice arcybiskupstwa gnieźnieńskiego zarysowały się w pierwszych wiekach po zaprowadzeniu Chrześcijaństwa odrazu tak, jak je następnie z większą poznajemy dokładnością.

Archidyakoniat kamieński, sięgający od Noteci ku Bytowu, na Pomorzu przyłączony został później. Z siekierą w ręku, jak mówi Lelewel, szukała tam granic Polska, a pod jej zastoną ustalająca się władza duchowna. Odrywały się wprawdzie z czasem niektóre kończyny arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, za podstawę atoli granic jego przyjąć można bullę papieża Innocentego z dnia 7 lipca 1136 r.

W obec szczupłych stosunkowo wiadomości geograficznych, jakie nam przechowały najdawniejsze kroniki, jest dokument ten, wyliczający kilkadziesiąt miejscowości, bardzo cennem źródłem do częściowego rozpoznania ówczesnych osiedleń między Wisłą, Odrą i Notecią.

Niejedna wprawdzie pozostanie wątpliwość jeszcze co do tożsamości wymienionych osad, w każdym jednak razie, w miarę nowych poszukiwań i badań naukowych, zbliżamy się coraz więcej do prawdy historycznej.

Gdy w r. 1840 Edward Raczyński wydał swój Kodeks Dyplomatyczny Wielkiej Polski, w którym na pierwszym miejscu zamieścił wspomnianą powyżej bullę, rozpatrywał ją Lelewel w II gim tomie swój Polski wieków średnich ¹⁾ i na jej podstawie naszkicował mapę, wyobrażającą rozciągłość posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w r. 1136. Nie mając atoli oryginału pod ręką, dostrzegł kilka błędów rażących, wszystkich przecież domyślcć się nawet nie mógł. To

¹⁾ Str. 452, sqq.

téż mapa jego w obec nowszego Kodeksu Wielkopolskiego, wydanego staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego, stała się niedokładną i błędną.

Komentator tegoż Kodeksu objaśnia w dopiskach każdą prawie miejscowość, o co Raczyński kusił się tylko wyjątkowo. Te dopiski nie są przecież ostatnim odnośnych badań wyrazem, za który uważam dołączony do IV tomu indeks; chwiejne czasem i sprzeczne nieraz z tym indeksem wymagają dalszych badań i stwierdzeń. Prace tego rodzaju opierają się zwykle na zasadach lingwistycznych i byłyby może nieomyślne, gdyby pisarz dokumentu każdą nazwę kreślił poprawnie, a kopia wyczytywał ją i przepisywał bez błędu; gdyby nazwa pierwotna zawsze i wszędzie nietykalną była świętością, której zmieniać nie wolno. Komentator nowszego Kodeksu Wielkopolskiego więcej nierównie w objaśnieniach imion miejscowych zadawał sobie pracy, aniżeli np. wydawcy Kodeksu Dyplomatycznego Polski, wydanego w Warszawie między r. 1847, a 1858. Ci z różnemi skorowidzami miejscowości w rękę, podawali zwykle podobne do brzmienia pierwotworu nazwy, pozostawiając badaczowi przyjemność dalszych i ściślejszych w téj mierze poszukiwań. Same zasady lingwistyczne nie wystarczały tymczasem wydawcy nowszego Kodeksu Wielkopolskiego; okoliczności, jak np. szereg właścicieli z jednego rodu, określenia bliższe pojedynczych miejscowości w dokumentach, porównywanie z nazwami późniejszymi i tym podobne podstawy, służyły mu do objaśnień. Nie wypowiada wprawdzie tego we wszystkich dopiskach, ani nie wyłuszcza całego procesu, za pomocą którego doszedł do osiągniętego rezultatu; łatwo przecież można domyślić się tego i sprawdzić, porównywając np. wszystkie objaśnienia, odnoszące się do jednej nazwy, która kilkakrotnie znachodzi się w Kodeksie.

Na podstawie tedy tych badań naszkicowałem mapę ¹⁾, wyobrażającą posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w roku 1136, a ze względu na przyjęte w niej rozmiary dodałem szczegółową mapkę okolic Żuina, najgęściej osiedlonych. Ażeby zaś poprzec wypowiedziane powyżej zdania i uwydatnić różnice między czytaniem zajmującej mnie tu bulli w jednym a drugim Kodeksie Wielkopolskim, skreśliłem następujące uwagi:

Pierwsze nazwy geograficzne, jakie zachodzą w tym dokumencie, są: *Gnezen*, czyli Gniezno i Ostrow.

Tego Ostrowa, w obec téj rozpowszechnionój od dawien dawna nazwy, nie wiedział Lelewel gdzie podziac i pominął go całkiem. Po dług komentatora zaś nowszego Kodeksu Wielkopolskiego, którego od-

¹⁾ Szkic ten spoczywa dotychczas u mnie w tece, czekając sposobnej pory do ukazania się na widok publiczny. Mapa dołączona do nowszego Kodeksu Wielkopolskiego nie oznacza wszystkich miejscowości odgadnionych, jakie w nim zachodzą i nie dozwala nam zakreślić na nią granic, o które chodzi.

tać zwać będą p. Zakrzewskim, był to gród niegdyś i kasztelania na jeziorze, zwanem Lednicą, leżącym pod Pobiedziskami, na zachód od Gniezna. W Kodeksie zachodzi sześciu kasztelanów ostrowskich między r. 1238 a 1397.

Lecna następnie jest Łeknem na Pałukach, a Nakel, czyli Nakło, powszechnie znane, leży nad Notecią.

Flumen Plitviza objaśnia p. Zakrzewski w Indeksie i w uwagach swoich do Mapy Wielkopolski, zawartych w IV tomie Kodeksu, Plitwicą, rozgraniczającą na wschodzie Krainę od ziemi Wyszogrodzkiej. Rzeczka ta bierze początek w pobliżu ujścia Sępólny do Brdy, na północ Ikoronowa; płynie koło Łącka, Byszewa i Wierzchucina i uchodzi nieopodal Mroczy, o milę na północ od Nakła. Jeżeli w tym wypadku myśl bulli Inocentego III, jest należycie i trafnie wytyłomaczoną, zachodzi też Plitwica poraz wtóry w dyplomacie z dnia 6 stycznia 1341 r. pod nazwą Plutwicza, którą komentator w dopiskach objaśnia Plutwicą; pod tém mianem występuje też w dwóch dyplomatach, z roku 1296 i 1299, zamieszczonych w II-gim tomie Kodeksu Rzysszczewskiego i odnoszących się do klasztoru Byszewskiego. Zachodząca w tych nazwach różnica samogłosek nie wywołuje tu żadnych rażących zamieszkań i dałaby się może usprawiedliwić lingwistycznie; dopisek natomiast, znajdujący się pod bullą z r. 1136 i objaśniający Plitviza Plitnicą, mógłby łatwo w błąd wprowadzić czytelnika, zważywszy, że taka Plitnica istnieje w rzeczy samej w tychże okolicach, mniej więcej ośm mil odległa od Plitwicy p. Zakrzewskiego, jest dopływem Głdy, czyli Chudy w ziemi Wałeckiej i zowie się po niemiecku Plietnitz.

Raczyński w swym Kodeksie Wielkopolskim, zamiast Plitviza, czytał Plitucza, którą Niemcy zwykli objaśniać rzeką Plietnitz; Lelewel zaś wpadł na Potulicę, uchodzącą do Wełny pod Wągrówcem i tam ją oznaczył na swęj mapie, o której wspomniałem powyżej. Między tą Potulicą a Plitwicą jest różnica przeszło ośm mil drogi na południowy zachód od Nakła. Lelewel w ogóle uważa Noteć za granicę północną arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego w 1136 r.

Co do nazwy Plitwicy wreszcie, jest ona nawskroś słowiańską; równobrzmiące miejscowości znachodzą się w Chorwacyi i Styryi, gdzie dotąd jeszcze istnieje wieś tak zwana i góra Plitvicki-Verh.

Po Nakle, wylicza bulla papieżka Landa czyli Łąd, Calis czyli Kalisz, Chezram i Rudę. Łąd, Kalisz i Ruda, z pod Wielunia, leżą w prostym prawie, południowo-wschodnim kierunku od Nakła, co badaczka łatwoby naprowadzić mogło na szukanie między Kaliszem i Rudą wspomnianego Chezram, który w dokumencie z dnia 1 marca 1357 roku, potwierdzającym różne nadania i przywileje kościoła gnieźnieńskiego, występuje pod mianem Czosram. W pierwszym i drugim razie objaśnia p. Zakrzewski tę osadę Czestramem, nie wykazując jej w Indeksie ani pod jedną, ani pod drugą, lecz pod nazwą Szestram.

To Szestram (Szestran na mapie, dołączonej do Kodeksu) leży na zachód od Dupina i Kalisza i odpowiada istniejącemu dziś jeszcze Cze-

stra czyli Czestram, części Golejewka, w której się znajduje kościół i probostwo. Wspominają o tej miejscowości Baliński i Lipiński w Starożytnój Polsce, I, 3, oraz i Łukaszewicz w krótkim opisie historycznym kościołów parochialnych, II, 101; pierwszy pisząc Czestra, drugi Czestram; mapa Chrzanoswskiego oznacza Czestra, a na mapach niemieckich, które mam pod ręką, czytam Szestram. Tę ostatnią pisownią uważam za skażoną.

Lelewel przypuszcza, że Chozram z r. 1136 jest może Ostrzeszowem, leżącym w prostym prawie kierunku na południe od wymienionych w bulli: Nakła, Łądu i Kalisza, tudzież przy drodze handlowej, wiodącej do Wrocławia, i rozwartym kątem na północ-zachód od Rudy Wieluńskiej. To położenie Ostrzeszowa i porządek w wyliczaniu tych miejscowości usprawiedliwia poniekąd domysł Lelewela; za objaśnieniem zaś p. Zakrzewskiego przemawiają względy lingwistyczne, o ile pisownie Chezram i Czosram są poprawne, zwłaszcza z uwagi na końcówkę r a m, która się przechowała po dzień dzisiejszy.

Od Rudy Wieluńskiej zwraca się bulla ku północy i zatrzymując się przy Żninie (Znein), którego okolice obfitują w posiadłości kościelne, wylicza Grochowiska, Stari Biscupici czyli Biskupin i Zagorin (Zagoria u Raczyńskiego) czyli Górę. Osady Zagorin nie odgadł Lelewel, a Górą objaśnia Gorice, o której wspomnę poniżej.

Scaple, które w późniejszych dokumentach ukazują się pod mianem Czaple i które albo całkiem znikły po r. 1357, albo ukryły się pod inną jaką nazwą, kładzie p. Zakrzewski w okolicach Żnina. Raczyński czytał Simple, a Lelewel nie wiedział gdzie je podziąć.

Syrdnici czyli Żerniki leżą nad Wełną i na zachód-południe od Żnina.

Potulino jest Podolinem, na wschód-północ od Łekna, podług p. Zakrzewskiego, a podług Lelewela Potulinkiem, znajdującym się na północ-zachód od tegoż miasta.

Opole i Villa Sagitariorum, nieodgadnione przez Lelewela, objaśnia p. Zakrzewski Obielewem nad Notecią, na północ-wschód od Żnina i Strzelcami z pod Mogilna, na wschód-północ Gniezna. Te Strzelce są już wyliczone między posiadłościami opactwa mogilnickiego w dokumencie z r. 1065, pod nazwą Lubessovo i występują w dyplomatach Nr. 33 i 84 jako Lubeschevo i Lubesowo.

Dochunov czyli Dochanów, wyliczone w bulli dwa razy z różnemi posiadzicielami, leży na północ-zachód od Żnina.

Gorice (u Raczyńskiego Borice) objaśnia p. Zakrzewski Górzycami z pod dopiero co właśnie wspomnianego Dochanowa, a Lelewel Górą, która, podług pierwszego komentatora, pojawia się w bulli pod nazwą Zagorin, jak o tém już wspomniałem.

Na wschód-północ od Górzyc i Dochanowa znajduje się wyliczony następnie Bezcorist czyli Brzyskorzystew.

Villa Piscatorum i Vruti (u Raczyńskiego Uruty) nierozpo-

znane przez Lelewela, są Rybitwami z pod Kłęcka, na zachód od Gniezna i Wrzosami, leżącymi na północ-zachód Żnina.

Vilchecow i Balovesici są Wilczkowem i Białozewinem w okolicach tegoż Żnina.

Osady Lestniz nie zna Lelewel; odosny dopisek w Kodeksie opiewa, że nie jest odgadnioną, a podług Indeksu jest nią dzisiejsze Leśniewo, które wraz z poblizkimi Pierzyskami książę Włodzisław zamienia na wieś Weług z pod Rogoźna w r. 1239. To Leśniewo ma się znajdować pod Skokami, według tegoż Indeksu, który zwykle podaje najbliższe miasteczko lub miasto, pod którym leży wykazana miejscowość. Nie znajdując tam żadnej tegoż imienia wsi, w niemałym znajduję się kłopotcie, jak sobie wytłómaczyć owe Skoki p. Zakrzewskiego, którego pracę wysoko cenię. Bliżej bowiem Gniezna, Czerniejewa, Pobiedzisk, Kiszkowa i Kłęcka, aniżeli Skoków, na południe wsi Żubowo i Pierzyska leży Leśniewo, które, jeżeli nie odpowiada osadzie Lestniz, wymienionej w bulli papieżkiej, jest niezawodnie tą samą, którą książę Włodzisław zamienił na Weług wraz z Pierzyskami. I to Leśniewo wylicza Liber Beneficiorum Łaskiego między włościami, należącymi do parafii łukowskiej.

Wymienione następnie w bulli Chomantowo jest Chomętowem z pod Łabiszyna, na północ-wschód od Żnina.

Silche, nieznane Lelewelowi, jest Sielcem, leżącym na północ od Żernik.

Sodowo jest podług dopisku p. Zakrzewskiego Zendowem, które indeks nie odsyła do bulli Innocentego, lecz do potwierdzenia z r. 1357, wyliczającego Sandowo między Chomętowem i Wilczkowem. I w rzeczy samej graniczy z temże Chomętowem wieś Zendowo, także Sandowo zwana w „Liber Beneficiorum“ Łaskiego ¹⁾ i objaśniona Sendowem przez wydawców i leży o milę na północ od Wilczkowa, a więc pod Żninem, jak opiewa Indeks.

Do bulli natomiast odsyła p. Zakrzewski Sądowo, na północ-wschód Mogilna i na wschód wsi kościelnej Parlinem zwanęj.

Lelewel, pisząc w tekście swęj rozprawy „Sodowo“ (Sadowiec raczej Zendowo na zachód Chomętowa), nie oznacza na wskazaném miejscu téj osady na swęj mapie, lecz na zachód Mogilna. Uważając wreszcie indeks Kodeksu Wielkopolskiego za ostatni wyraz badań p. Zakrzewskiego, który Sędowo z pod Mogilna odsyła do bulli Innocentego II, kładę je na północ-wschód od Mogilna, a Zendowo, odesłane do potwierdzenia króla Kazimierza, uważam za osadę, która po roku 1136 powstała w okolicach Chomętowa i Żnina.

Wymienione następnie w bulli Dobrilevo jest Dobrylewem i leży na północ od Żnina.

Osada Zvepavici (u Raczyńskiego Znepnicy), w téjże samej

¹⁾ Tom I str. 152. Wątpię, ażeby to Sendowo czy Sędowo należało dziś do parafii parlińskiej, jak objaśniają wydawcy.

bulli powtórzona pod nazwą Zvepravici, są to Sweprawice z pod Żnina, które całkiem znikły po roku 1357. Lelewel, przeczuwając poprawność końcówki pravici, nie podaje nic bliższego zresztą o tej miejscowości.

Lissinino, w powtórzeniu Lizininino zwane, jest Łysininem (Lizininem u Lelewela) z pod Gąsawy, na południe-wschód Żnina, a na północ-zachód tegoż Łysinina leżą Skarbienice, w tekście bulli mylnie wytlómaczone pod nazwą Sbarbinichi zamiast Scarbinichi.

Keblovo, zgodnie odczytane w obudwóch Kodeksach Wielkopolskich, naprowadza na Kębłowo z pod Miłostawia, na południe-zachód od Gniezna, jako na miejscowość najbliższą wymienionych powyżej osad; ale ponieważ bulla w wyliczaniu ich nagle tu odskakuje o przeszło ośm mil i znów wraca w okolice Gniezna, objaśnia p. Zakrzewski, że Keblovo jest nieodgadnione, a w Indeksie powątpiewa o tożsamości Kębłowa z pod Miłostawia. Lelewel zaś mylnie czytał Koblewo, w Kodeksie Raczyńskiego, co go naprowadziło na Kowalewo, które na swęj mapie oznacza na północ Gniezna.

Dambnicia Radovit, nazwa złożona jest Dębnicą, na północ-zachód od Gniezna. Lelewel tworzy z niej dwie nazwy i oznaczając Dębnicę na właściwem miejscu, tłómaczy Radovit Redeczem, który kładzie na południe od Żernik.

Pischyno czyli Pyszczyn leży na północ od Gniezna.

Na wschód i w pobliżu tegoż Pyszczyna znajduje się Wełnica nad Wełną, zwana w bulli Villa super flumen Vua. Raczyński czytał Villa super flumen una, czego Lelewel nie odgadł.

Ztąd zwraca się bulla ku Kaliszowi, na wschód którego znajduje się wymienione w niej Raysco czyli Rajsko.

Zzandri jest Swędrnia czyli Szwendry (u Lelewela), dopływ Proсны.

Hllme (u Raczyńskiego Hylme), nierozpoznana przez Lelewela osada, jest podług p. Zakrzewskiego Ilno (Ilmie? na północ-wschód od Kalisza).

Na zachód od tegoż Ilna, z tamtéj strony Proсны leży Sowina, zwana w bulli Sowici. Lochovici jest podług przypuszczenia p. Zakrzewskiego Laszkowem, na prawym brzegu Proсны i na północ od Kalisza, a Vzorovici Sieroszewicami z nad Ołoboczki, na południe-zachód od tegoż miasta. Lelewel nie odgadywał ani jednéj, ani drugiéj miejscowości.

Malonovici czyli Malanów leży na południe-zachód od Turka.

Bralici (u Raczyńskiego Pralici) ma być Bronczynem.

Domanevici Domaninem, pierwszy na południe-wschód, drugi na południe-zachód od Kalisza. I tych osad nie odgadnął Lelewel.

Oloboc jest Ołoboczka czyli Ołobokiem, dopływem Proсны, z lewego jéj brzegu. Oprócz téj rzeczki, oznacza Lelewel, przy jéj ujściu, wieś Ołobok, słynną swego czasu klasztorem Cystersek, która w Kodeksie po raz pierwszy występuje pod r. 1213. Naprowadziło go może

na to, przy równobrzmiącej nazwie wsi i rzeczki czytanie Raczyńskiego super agros zamiast super aquam Ołoboc. Podobnie czytał Raczyński super Zwandry agros zamiast super Zwandri aquam.

Mislentino objaśnia p. Zakrzewski Myślniowem z pod Ostrzeszowa, na południe-zachód od Kalisza. Lelewel oznacza na swój mapie, po lewym brzegu Proсны, między ziemią Rudzką a Wrocławską, Myślony, które położeniem swoim nie odpowiadają wspomnianemu właśnie Myślniowu, a brzmieniem upominają się o osobny komentarz. Tęj bowiem nazwy wsi lub wioski odszukać nie mogą na mapach, jakie mam pod ręką; odległość zaś i oznaczone przez Lelewela miejsce dla Myślonych wskazują na istniejące dotąd Zmysłona i Zamysły, leżące na południe od Kalisza, Ołoboku i późniejszego miasteczka Grabowem zwanego.

DambSCO jest Dębskiem z pod Koźminka na wschód-północ od Kalisza.

Na wschód-południe tegoż Dębska leży Goszczanów, zwany w buli Gostonovici, u Raczyńskiego Kostonowice, a nieodgadniony przez Lelewela.

Zeraz i Ziraz jest znanym powszechnie Sieradzem, na zachód-północ którego Lelewel oznacza Sędzice, w dokumencie zwane Zandevici; p. Zakrzewski objaśnia też osadę Sędziejewicami z pod Łaska, na południo-wschód Sieradza.

Parno, nieznanne Lelewelowi, jest Parznem z pod Bełchatowa, na zachód-północ Rozprzy.

Cluchici objaśnia p. Zakrzewski Klukami, leżącymi w tychże okolicach na zachód Rozprzy, a Lelewel Kliczkowem, które oznacza na zachód-południe Sieradza; zgodnie zaś tłómaczą obaj Coberichezco Koberzyckiem, znajdującem się na zachód-północ od tegoż miasta.

Gambiza, nieodgadnione podług dopisku p. Zakrzewskiego, objaśnia Indeks jego Gębicami z pod Ozorkowa, na południe-wschód Łęczycy. Raczyński czyta Bambiza; Lelewel zauważył wprawdzie, że w Kodeksie wydania jego nieraz Gambiza mylnie poczytanem było za Bambiza, lecz nie zastosował tego w obecnym wypadku.

Jarotici są Jarocice z pod Bużenina, nad Wartą, na południe Sieradza. Również zgodnie objaśniają dwaj wymienieni powyżej komentatorowie Manina Monicami z pod Sieradza, Spitimir Spicimierzem, Janovici Jankowicami z pod Uniejowa, Tadow Tadowem Dolnym z pod Warty, na wschód Kalisza, Smolzco Smolskiem w okolicach Uniejowa i Spicimierza, i Pricuna Przykuną czyli Przykułą z pod Turka.

Turcovici i Turcoviste są, podług dopisków p. Zakrzewskiego, i jedno i drugie, albo Turkiem albo Turkowicami, leżącymi na południe i w pobliżu tegoż miasta. Lelewel poczytuje Turcoviste za Turkowice; drugiej nazwy, czytanęj w Kodeksie Raczyńskiego Trukowici, odgadnąć nie mógł.

Unei evo jest Uniejowem, miastem.

Kurchovo objaśnia p. Zakrzewski Charchowem Księżym, na południe-wschód od wspomnianego miasta, a Lelewel Kurkami, które oznacza na zachód od Spicimierza.

Milostovici podług dopisku, zamieszczonego pod bullą papieżką, są Miłkowicami, które powątpiewając, kładzie indeks pod Wartę, na południe-wschód od Turka; Lelewel tłumaczy je Miłaczówkiem, znajdującym się w tychże okolicach.

Gazovo (u Raczyńskiego Kazowo) jest Kaszewem czyli Kaszowem, Clonova Klonowem, jedna i druga osada z pod Koźminka, na południe Turka.

Na wschód-południe i w pobliżu wymienionych właśnie osad, leży Milodat villa czyli Miłkowska Wólka, której Lelewel nie odgadł. Zambatino „dzisiaj może Ziemięcina,” objaśnia p. Zakrzewski; w indeksie zaś nie odsyłając Ziemięcina do bulli papieżkiej, zamieszcza Zambatino ze znakiem pytania. Wnioskuje ztąd, że szanowny komentator w ciągu swjej pracy około kodeksu, takie spotkał wątpliwości, które go do tego cofnięcia się spowodowały; okoliczność zaś, że p. Zakrzewski nie zwykł wykazywać odmian, jakim ulegały zachodzące w Kodeksie imiona, utwierdza mnie w tém mniemaniu. Lelewel tymczasem, tłumacząc Zambatino Ziemięcinem, oznaczył tę osadę na południe-zachód Spicimierza, na miejscu dzisiejszego Ziemięcina, w pobliżu wspomnianego powyżej Klonowa.

Sulvstovo super fluvium Tena są to Saliszewice nad Cienią, między Kaliszem a Sieradzem. Raczyński czytał Salustowo, a Lelewel nie zdołał dośledzić ani tej osady, ani rzeczki, nad którą się znajdowała. Tena jest Cienią czyli Stawką, prawym dopływem Proсны.

Miliche jest Miliczem, czyli Mieliczem na Szlązku. Raczyński, zamiast Stem de Miliche, czytał Demiliche; Lelewel dostrzegł tego oczywistego błędu, lecz Mielicza nie oznaczył na swjej mapie, ani Małogoszcy, ani Rozprzy, ani Wolborza, z których pierwsza zwie się w bulli Malogost, druga Rospra, a trzeci Wolbor u Raczyńskiego i Voibor, w nowszym Kodeksie.

Bariche jest Baryczą, Lunciz, Lanciz i Lancicia Łęczycą, Sarnov Żarnowem i Skrin Skrzynnem. Dwóch ostatnich grodów nie oznacza mapa Lelewela.

Chrustov jest Chrzastowem, z pod Koniecpola i leży nad Pilicą, na północ Krakowa; Lelewel objaśnia je Krzostowem, który także osobnego wymaga komentarza.

Pelza jest Pilicą, lewym przypiływem Wisły.

Ustęp bulli, w którym zachodzą Treblevici i Radlici, jest całkiem pominięty w Kodeksie Raczyńskiego. Indeks opiewa, że Treblevici leży w Krakowskim, nazwy atoli Radlici daremnie w nim się szuka na właściwem miejscu. Jestto ujemna strona Indeksu, który nieodgadnione, przynajmniej w dopiskach miejscowości, wykazywać powinien pod tą nazwą, pod jaką zachodzą w odnośnym dyploma-

cie; inaczej bowiem, narażając czytelnika na nadzwyczaj zmułne i częstokroć bezskuteczne wertowanie, pozbawia go możności korzystania z mozolnej i pomimo niektórych, nieuniknionych może usterek, bądź co bądź sumienną pracę sz. komentatora. Sam daremnie przeglądałem Indeks, szukając tych Radlic; znalazłem wprawdzie nazwy takie, jakich żadną miarą przyczepić nie zdołałem do odnośnych nazw, zawartych w zajmującym mnie tu dokumencie i o których wspomnę poniżej, ręczyć atoli nie mogę, czym czasem nie przeoczył jakiej siódemki, pod liczbą którą zamieszczoną jest w Kodeksie bulla Innocentego II.

Wymienione następnie Loviche jest Łowiczem, Nir Nerem, Thur Turem z nad Neru i Cholm Chełmem przy ujściu Neru do Warty, na północ Uniejowa.

Pominięcie w Kodeksie Raczyńskiego wyrazu *lacubus* przed nazwami Pretche, Chotle, Bezdeze i Brdovo (u Raczyńskiego *Ordovo*) nie miało sprawiło kłopotu Lelewelowi, który wątpi, ażeby tu mowa była o miastach Przedecz i Chodecz. Według objaśnień p. Zakrzewskiego, są to jeziora: Przedecz, Chotle, Bezdeze i Brdów u źródeł Noteci, w Kujawach, na południe od Włocławka.

Bardzo odbiegają od siebie komentatorowie w tłumaczeniu nazwy Bralin, pochodzącem może z odmiennego czytania wyrazu *nemoribus* u Raczyńskiego a *tutoribus* w nowszym Kodeksie.

Item Bralin, czyta Raczyński *cum sociis suis et vineis duabus et nemoribus earum cum villis suis, quarum una Plocentis, altera Vladislaviensis castelli est.*

„Nie umiem nic innego w tém widzieć, tylko Zbrachlin, blisko Nieszawy, bo w tych stronach tylko może być dominium, którego może wieś jedna do Płockiej liczyć się prowincyi, a inna do inowłocławskiej,“ mówi Lelewel, rozbierając ten ustęp na str. 459 przywiedzonego powyżej dzieła.

I pan Zakrzewski zwracając się odrazu w stronę Płocka i Włocławka, objaśnia w dopiskach swoich, że ów Bralin jest pewnie dzisiajszym Brwilnem i Brwilską Wólką z pod Płocka; między Bralinem a Zbrachlinem chwieje się szanowny komentator jeszcze w II tomie Kodeksu, w dopiskach do zamieszczonego pod Nr. 830 dyplomu; w indeksie twierdzi stanowczo, że to równobrzmiący Bralin na Szlązku, odsyłając także Zbrachlin do zajmującej mnie tu bulli papieżkiej. Wynika ztąd niepewność, która z tej pochodzi okoliczności, że indeks nie uwzględnia równoważników łacińskich, odmiennie objaśnianych w odnośnych dopiskach.

Manina (u Raczyńskiego *Mamma*) jest osadą z pod Sandomierza, Zandomir zwanego w bulli, istniejącą jeszcze około r. 1262, a Solche jest Solcem, po lewym brzegu Wisły, na północ wspomnianego miasta.

Pod Bitom, czyli Bytom, na Górnym Szlązku, kładzie p. Zakrzewski Zversov, czyli Wierszów, którego Lelewel daremnie szuka pod Siewierzem.

Zgodnie objaśniają ci komentatorowie B a b i z a Babicami, leżącymi na zachód od Krakowa, między Zatorem a Chrzanowem.

J u r e v i c i, które Lelewel nie wie gdzie podziąć, tłumaczy p. Zakrzewski Jurkowem, na wschód-północ Krakowa.

D a n c o v o i C o n e c h e n o są podług Lelewela nieokreślone bliżej; Dankowo i Konieczówka w powiecie Krakowskim; podług komentatora zaś Kodeksu jest pierwsza osada Dankowem, pod Krzepie na południow-schód od Rudy Wieluńskiej, a druga Koniecznem z pod Okszy, na zachód Małogoszczy.

W odgadywaniu wyliczonych w bulli miejscowości nie dostrzegł Lelewel, że *t* zamieniało się nieraz na *c*; rozpatrując rzeczkę T e n a, nie wpadł na Cienię, a Tyrno, które jest Ciernem z pod Jędrzejowa, na południo-zachód Małogoszczy, naprowadzało go raczej na Turczy, na jaką Tarnowę, lub Tarnowicę.

C h r o s t l i n o jest Chruszczyną, C r o l e v i c i Królewicami na wschód-północ od Krakowa, a Z r e n a v a znaną powszechnie Szeniawą z pod Wolbroma.

P r e g i n i (u Raczyńskiego Preginy) objaśnia p. Zakrzewski w dopiskach Rudnem, a w indeksie Przeginią, lewym przypiływem Rudawy, która pod Krakowem wpada do Wisły; Lelewel mieni ją być Brinicą, dopływem Czarnej Przemszy i nad tą Brinicą, czyli Brynicą, szuka wyliczonej następnie osady Rudnici (u Raczyńskiego Rudnicz), która odpowiada dzisiejszej Rudawie z pod Krzeszowic, na zachód-północ od Krakowa.

Z r e m jest Śremem z nad Warty, D o l z c o (u Raczyńskiego Dolko) miejsciną Dolskiem zwaną, a C h o l m, czyli Chelm, Chełmcami z pod Radziejowa w Kujawach, na zachód Włocławka.

W tychże okolicach, na północ wspomnianych Chełmc, oznacza Lelewel C o n a r e, czyli Konary; p. Zakrzewski objaśniając „Konary lub Konarzewo,” nie rozwiązał aż do końca swój pracy tej wątpliwości, w indeksie bowiem odsyła jedną i drugą miejscowość do bulli papieżkiej. Toż samo odnosi się do osady B a c h o r a, którą pierwszy uważa za Bachorce, podczas gdy drugi chwije się między Bachorcami a Wolą Bachorną.

Jakkolwiek wspomniany dokument wylicza w ustępie, który mnie tu zajmuje, same tylko osady kujawskie, nie waha się p. Zakrzewski objaśniać P o d d a m b i a miasteczkiem łęczyckim z nad Neru, zwanem Dąbie. Lelewel oznacza Dąbek, czyli Dombek, w okolicach Lubrańca i Brześcia.

H e r m a n o v o uważa pierwszy za Jerzmanowo z pod Lubrańca, na południo-zachód Włocławka, a drugi za Jaronowo, między Zbrachlinem i wspomnianym powyżej Dąbkim.

D r v a l e v o, którego Lelewel odgadnąć nie mógł z powodu odmiennego czytania w Kodeksie Raczyńskiego, który podaje O r w a l o w o, jest równobrzmiącym Drwalewem z pod Radziejewa, na zachód-południe Włocławka.

W końcu powtarza bulla niektóre miejscowości, które poprzednio już były wyliczone, z odmienną nieco pisownią, jak np.: Ilme zamiast Hllme; Zvepravici zamiast Zvepavici; Lizinino zamiast Liczinino; Zagorici zamiast Zagorin i Staribiscubici.

Ganzava (u Raczyńskiego Banzava) jest Gąsawką, lewym przyływem Noteci.

Rilevo jest podług p. Zakrzewskiego Rydlewem, na południe Żnina. Raczyński czytał Kilewo, czego Leleweł nie odgadł.

Na wschód od tegoż Rydlewa leży Podgorino, czyli Podgórzyn.

Chomesa, czy Chomosa, jest Chomiązą, Pnevo Pniewami, Glovotino (u Raczyńskiego Błowotino) Głowami, wszystkie trzy osady z pod Gąsawy, na południo-wschód i południe Żnina.

Na tém kończy się wyliczanie posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w r. 1136.

Pozostanie, jak wspomniałem na wstępie tej pracy, niejedna jeszcze wątpliwość co do tożsamości wymienionych w bulli papieżkiej osad, w każdym przecież razie zbliżamy się do prawdy historycznej, na przebój przez różne niedomagania istniejących i znanych dotąd źródeł i pomników.

Szanowny komentator, objaśniając zachodzące w Kodeksie Wielkopolskim imiona, zadał sobie nierównie więcej pracy, aniżeli jego na tém polu poprzednicy, a mając ogrom całości przed oczami, nie dostrzegł może tych drobnych napozór usterek, które wykazałem powyżej. Pominąwszy także chwiejności, jak np. między Brachlinem a Zbrachlinem, nie odgadł p. Zakrzewski trzech tylko miejscowości: Zambratino, Treblevici i Radlici. Różnicę zaś, zachodzącą między dopiskami a indeksem, tłómaczę sobie nieustanném badaniem, które nieraz doprowadza do różniących się od pierwotnych rezultatów; za ujemną zaś stronę tegoż indeksu uważam nieuwzględnianie ważniejszych odmian i tych imion, które podług objaśnień są nieodgadnione, tudzież odsyłanie do dokumentu jakiego nazwy takiej, która nie znachodzi się ani w tekście, ani w dopiskach.

I tak np., odsyła ten indeks pod dyplomatem siódmy, pod liczbę, którą oznaczona jest bulla papieżka, nie podając w nawiasie odnośnej nazwy łacińskiej: Pruszków z pod Kalisza, Leźnicę z pod Łęczycy, Imielno z pod Pobiedzisk, na zachód-południe Gniezna, i Imiołki z pod KłECKA, na zachód-północ tegoż Gniezna. Leźnica przypomina wprawdzie brzmieniem swoim osadę Lestniz, nie odgadnioną w dopiskach; ale toż samo powiedziećby można o Leśniewie, które indeks także odsyła do wspomnianej bulli. W obec tej niepewności przechylił się korzystający z pracy szanownego komentatora czytelnik na stronę Leśniewa z pod Gniezna czy Skoków, ponieważ miejscowość ta wyliczona jest między takimi, które się w tych właśnie okolicach, a nie pod Łęczycą znajdowały. Pruszkowa niepodobna prawie odnosić do Pricuna, ani do Pretche, a Imielno i Imiołki z okolic Gniezna do Ilna z pod Kalisza.

Takie i tym podobne wątpliwości wywołuje indeks Kodeksu Wielkopolskiego, który bądź co bądź pozostanie pięknym świadectwem pracy, starań i trudów, jakie sobie zadał p. Zakrzewski.

E. Callier.

James John Stuart Mill biography a criticism, with personal Recollections. Przez Baina. T. 2.

Ważny ten przyczynek do dziejów umysłowości w Anglii, wyszedł z pod pióra najbardziej uzdolnionego do podobnej pracy. Rzecz prosta, iż biografia Mill'a ojca, traktowaną jest o wiele szerzej aniżeli syna, jakkolwiek sam autor przyznaje, że największą zasługą pióra jego dla postępu ludzkości, było wykształcenie takiego dziecka. Co za chluba dla ojca, który w swoim następcy wyrobił sobie takiego pomocnika! Właściwie oba tomy jedno stanowią dzieło, związane wspólną myślą przewodnią, zmierzającą do wykazania, jakie wpływy składały się na wyrobienie umysłu i charakteru Johna Stuarta Milla.

Doktryna filozoficzna i literacka produkcya, nie dają się zbadać dokładnie bez znajomości życia myślicieli i ludzi pióra, które najlepiej rozjaśniają współczesne pamiętniki, oraz wspomnienia osobiste. Mill młodszy zostawił własny zyciorys, którym wiele szczegółów, dotąd ciemnych, rozwikłał. Styl jego jasny, wyrazisty i pełny uczucia, lubo nieraz omawia oderwane przedmioty, nosi na sobie cechę jasności poglądu i zdrowych pojęć. Nie wielu pisarzy pod względem siły wypowiedzenia myśli może mu sprostać. Jestto wykład umiejętności połączony z historią własnego żywota. Dzieło Baina wyżej z tytułu podane, jest wyczerpującym komentarzem do autobiografii.

Ścisłość, z jaką wypadki obejmuje w porządku chronologicznym, może się napozór ciężką wydawać, dla poważnego jednak czytelnika, przedstawia silną rękojmią wartości tego, co się powiedziało w książce. Żywot męża takiego jak Mill, nie upływał wesoło i nie przedstawiał pola do wrażeń zbyt licznych; komentator większy tu musi nacisk położyć na rozwój ducha, niż na zwykłe, zewnętrzne przypadłości ludzkiego żywota. Właściwie, dzieło Baina nie jest komentarzem do autobiografii, w której zyciorys Milla przedstawia z taką mistrzowską precyzją, że autor usprawiedliwionym jest zupełnie, twierdząc, iż ciekawi szczegółów, znajdują je w całości, a jego staraniem było jedynie piętno pierwowzoru przelać w swoją pracę.

Formę zatem autor usiłował utrzymać, parafrazując, gdzie tylko się dało, tekst oryginalny. Nie należy mu więc czynić zarzutu, iż unikał samoistnego szkicu, chociażby go stać na to było, bo celem komentarza było jedynie rzucenie światła na znakomitego pisarza w ramach jego własnych spostrzeżeń. Prócz pomienionego, najbardziej wiarogo-

dnego materiału, Bain posługiwał się mnóstwem biografii, oraz artykułów dziennikarskich, co się ukazały w tym przedmiocie, niemniej czerpał z licznych prac Milla, rozsypanych po rozmaitych przeglądach, dając z nich czasem dosyć obszerne wyciągi, wreszcie spożytkował stosy listów, dotąd nie ogłoszonych drukiem.

W drugim tomie czytelnik znajdzie wiele utworów Johna Stuarta, co znakomicie pomnożyło balast źródłowy; podano przytém znaczną ilość interesujących szczegółów, z jego stosunków osobistych, na rok 1842 przypadających, na całość tego składają się wspominki i wrażenia chwil dawniej przebytych. Wydanie rzeczonych prac Milla byłoby nader pożądaném; zanim to jednak nastąpi, obecna książka oddać prawdziwą powinna przysługę. Dodajmy, że nikt więcej od jej autora nie kwalifikuje się do podobnego przedsięwzięcia; on bowiem w tym przedmiocie tyle już pracował, iż korekta naukowa i układ, przyszyby mu bez żadnych trudności. Z podanego materiału widzimy, iż od 18 do 22 roku życia pisywał o następujących kwestyach do „Przeglądu westminsterskiego:” „O prześladowaniu religijném,” „O kosztach wojennych,” „Huma sądy mylne o historii,” „Spory w katolicyzmie,” „Przesilenia handlowe i prawo wzajemności,” „Stan obecny ekonomii,” „Krytyka Sismondi'ego i Mignet'a,” „Ustawy rolne“ i wiele innych.

Niektóre z tych artykułów przejść musiały przez ręce ojca i uleść poprawkom; w każdym razie dowodzą, w młodym umyśle szerszego poglądu i obserwacyi. Rzadko się zdarza, aby ktoś tak pomyślnie życie duchowe przedłużył w osobie potomka, jak to się udało Jakóbowi Mill'owi. Wpływ ten i sukcesyjność ujawniają się w licznych pismach młodszego Milla, nadając im cechę pewnej dawności. Jestto również dowodem, że syna głównie kształcił ojciec, a integralną część téj pracy stanowić musiał wykład logiki. Sposób myślenia przelany umiejętnie przez ojca w syna, już od dwunastego roku życia, uczynił go podwójnie dzieckiem swojego rodzica. Uwagi Baina co do tego, są nadzwyczaj zajmujące (str. 26). Jakkolwiek tom pierwszy poświęcono wykazaniu téj związkowości pomiędzy ojcem i synem, w metodzie oraz ideach, co kierowały ich pismami, niemniej wszakże ważne i ciekawe są ustępy, w których Bain rozwija poglądy swoje o ludziach, wzmiankowanych w życiorysie, jak np. Bentham, Brougham, Ricardo i wielu innych. Sylwetki tych osób oświecone samoistnym talentem autora, są nadzwyczaj interesujące. Niepodobna czytać uwag pomienionych bez wniknięcia w charakterystykę Jakóba Milla, w której przedstawia się jak niepospolity człowiek. Najciekawszą z tych kart jest korespondencya z Bentham'em, gdzie znakomity myśliciel rzuca światło na tę postać, która nie tylko w nauce, ale i ze względu na poprawę systematu państwowego, w dziejach filantropii zaszczytne zajmuje miejsce. Krytyczne uwagi Baina, zawarte w tomie drugim, są cennym przyczynkiem do dziejów filozofii. Że Mill wychodzi z nich w apoteozie, nie można się dziwić... autor sam wiele jego światłu zawdzięcza.

Juliette Lamber: „Poètes grecs contemporains.” Paryż, 1881.

Brakło dotąd wyczerpującego zbioru terażniejszej poezji u Hellenów, z biograficznymi szczegółami główniejszych przedstawicieli tamtejszej literatury; zadanie to podjęła francuzka i wywiązała się z niego chwalebnie, dając ogółowi przekład wierny (lubo prozą) cenniejszych ustępów. Do tego nie wystarczała sama znajomość języka; wypadło walczyć jeszcze z dyalektami, a co więcej z trudnością przekładu rzeczy lokalnych. Pani Lamber wyszła zwycięzko z pomienionej próby, w której dopisał jój polot poetyczny i przejęcie się oryginałem. W wyczerpującej przedmowie dzieli ona pisarzy greckich na cztery szkoły: jońską, konstanyńską, ateńską i epirocką. Ze szkoły jońskiej mamy wyjątki z następujących poetów: Dyonisyosa Solomosa, Andreaśa Kalwosa, Tertsetisa, Typaldosa, Markorasa i Loskarutosa; drugą reprezentują: Risos Nerulos, Elias Tantalidis, Canajotis i Rangabé; trzecią: Vlachos, Zolocostas, Orphanidis, Wassiliadis, Koromilus i kilku innych, wreszcie epirocką: Rhigas, Wilmas, Spirydon Trikupis i Bikolas. Wiele ustępów tak jest pięknych, że nawet w niewiązanej formie nie tracą. Żałować wypada, iż autorka nie przytoczyła wcale tekstów oryginalnych, które w takiej całości imponującej czytelnicy nie łatwo dostaną. Wypada nadmienić, iż pani Lamber niewłaściwie użyła wyrażenia szkoła, gdyż pojęcie to ma raczej zastosowanie do kierunku naukowego a w poezji określa formę i ducha; tu zaś, kiedy mowa o poetach greckich, ma się na widoku ich miejsce urodzenia. Zdaje się, że właściwiej było podzielić pisarzy podług dyalektów jakimi władali. Specjalista nowogreckiej literatury Boltz, robi zarzut autorce, iż jój zdania czasami bywają stanowcze a nawet namiętne, czego przy następnym wydaniu radzi unikać.

Napaść na wszechnięc ateńską, z którą książka nie ma nic wspólnego, niemiłe robi wrażenie, nadto niczem się usprawiedliwić nie da. Pretensya do uniwersytetu, że zamało na utrzymanie czystości ateńskiego języka oddziaływa, jest niesłuszną, bo niema na świecie zakładu, coby korzystał w tym punkcie z siły wykonawczej i mógł zmusić ogół do używania tego, lub innego dyalektu. Każdy pisarz ma prawo tworzenia w języku, jaki mu do gustu przypadnie, byleby ten był poprawny; jeżeli jednak posługuje się narzeczem, winien pamiętać, iż pracuje nie dla całego narodu, ale dla jednego ułomku. Pomijając te drobne usterki, antologią pani Lamber zalecić wypada jako dobry podręcznik dla tych, co pragną pojęcia nabrać o literaturze, która u nas tak mało, prawie wcale nie jest znaną. A. N.

„Pan ślepy Paweł,” napisał T. Hodi; Warszawa; nakładem Gebethnera i Wolffa, 1881, w 8ce mn., str. 292.

„Pan ślepy Paweł”? Dziwny to tytuł, ale powiedzieć można, że i książka cokolwiek dziwna.

Nie jestto zapewne zarzut postawiony z góry, bo jak powiedział starożytny znawca człowieczego ducha, Sofokles: „wiele jest dziwów, lecz nic dziwniejszego nad człowieka.” Książka obejmująca ustęp z życia człowieka, jak zwykle powieść, ma to właśnie zadanie, żeby odślonić cokolwiek téj wielkiej i ciągle trwającej zagadki życiowej.

Takie téż zapewne było zadanie autora niniejszej powieści, bo z całego jój toku wnosić trudno, żeby napisaną była dla tak zwanéj tendencji. Właściwie zaś powieść jest tu tylko rodzajem, układ rzeczy niezupełnie odpowiada warunkom wykończonéj powieści, brak tu akcyi, gry charakterów; jest tylko wątek powieściowy, obrazki maleńkiego świata, wirujące około niewielkiej téż co prawda osoby bohatera, jeżeli tak można nazwać tego, kto dużo może rozmyśla, czuje głęboko; ale czynem nie wykazał się istotnie żadnym.

Liryczny nastrój, zdaniem naszym, dużo ujmuje powieści, odbiera jój a przynajmniej zacierą właściwą cechę. Autor odpowiednią potemu obrał formę autobiograficzną, ma ona tę zaletę, że czytelnikowi, dla którego „serce-życie,” obiecuje wynagrodzić brak tego, co istotę powieści stanowi, przez odświeżenie czułych jakich wspomnień, choćby tylko wymarzonych.

Jestto początki niezbędném, dlatego, że sama fabuła zamało dostarcza materyału, choćby na jednotomową powieść.

Było dwóch przyjaciół, ot tak niby jak Orest i Pylades. Różnica jest wszakże, bo Pylades przeniewierzył się Orestowi, a Orest wprzód jeszcze oszalał, nim się przekonał o zdradzie przyjaciela. Już zaraz na początku opowiadania, pokazują się chmurki na horyzoncie przyjaźni. Braterstwu dwóch młodzieńców, wychowanych w jednym domu, ale nie z jednéj rodziny, staje naprzek pewna różnica stanowiska społecznego. Paweł jest sierota, syn ubogiego parocha ruskiego, przyjęty w dom ojca Dyonizego dziedzica, przez filantropia, czy z jakich prywatnych niewyjaśnionych w opowiadaniu powodów. Stosunek ten oziębła się od chwili, jak Dyonizy po śmierci ojca zostaje dziedzicem obszernych włości, w których przysposobionemu jego bratu Pawłowi, skromny dostaje się udział. Więcej jednak niż różnica majątku i urodzenia, oddała ich od siebie odmienne usposobienie. Na Dyonizego niewiele widać poskutkowały nauki, których udzielał mu starszy jego przyjaciel Paweł, korepetytor Dyonizego w szkołach. Epikurejczyk nowożytny zapatrywał się na życie, jako na używanie. Zawód swój obywatelski zaczął, jak wypadało, od sprzedania lasu i wojażu do Paryża, dokąd powoływał go obowiązek honorowy ratowania u-

ciśniętego przez wierzyieli jakiegoś kuzynka, może i zmyślnego. Właściwie zaś, paniczowi sprzykrzyły się już zaloty do wiejskich dzieweczek, z których niejedna, jak tego nieostrożnie doświadczył, miała ciężką rękę.

Idealista Paweł znajdował swój Paryż w rodzinnych Niewyhryczach; plebania niewyhrycka, gdzie ojciec jego kiedyś piastował urząd, była mu światem, a słońcem jego, jasna twarz Mici (Michaliny), siostry żony nowego plebana. Niewiadomo czy to słońce nie było bez plam, tego rozpoznać trudno przez zamglony teleskop obserwacyi opowiadacza. Choć nie jest ów Paweł wcale ślepym, owszem widzi, i może na swoje nieszczęście, widzi zawiele, lecz i Argusowe oko zazdrosnego kochanka nie ustrzeże zdrady. Czy popadanie uwiodła myśl zostania mozną panią, czy rozpustnik nadużył zaufania niedoświadczonj panienki, czy jej gołębia prostota była tylko maską w zarodzie już skażonego serca, które rwało się do pustoty ziemskiej; tego wszystkiego opowiadający domyślać się pozwala. Dosyć, że wypadek wkrótce ziścił najposępniejsze podejrzenia kochanka Mici. Zeszedł z nią uwodziciela czy współnika zdrady na nocném spotkaniu w krzakach nad rzeką. Rozmowa, oprócz niezbyt pochlebnych wyrazów o tym, który podsłuchiwał, nie zawierała widocznej wskazówki o stosunku, który w owj chwili zachodził pomiędzy Dyonizym a Michaliną; lecz w obec faktu takiej schadzki, była już rzeczą dodatkową. Zdaje się, że Paweł którego uczucie dla Michaliny już było znacznie ochłodzone, wahał się z wystąpieniem. Zdecydowało go dopiéro, gdy Dyonizy gwałtownie napađnięty przez psa z plebanii, widocznie przez kogoś podszczonego, przez złość za wydanie tajemnej schadzki (a może nieumiejąc się obronić, cokolwiek ze strachu, gdyż nie widać żeby odznaczał się wielką odwagą) —zastrzelił tego starego stróża plebanii. Wtedy Pawłowi „ręce urosły jak u Cyklopa, kark stęzał, głowa zaciężyła jak skała... wysunął się z zarośli... całą siłą skupionych ramion, głowy, uderzył prosto w pierś jego... Pomiedzy nimi wszczęła się walka ręczna, której rezultatem było to, że Paweł zbyt wiele widzący, został „ślepy Pawłem.”

A Dyonizy? Z opowiadania owego zejścia, czytelnik miałby pewnością, że utonął, gdyby z epilogu cokolwiek niespodzianie, nie okazało się, że w tej walce śmiertelnej nad brzegiem rzeki utonął tylko młody rozpustnik, a powstał „zacyjny jak jego ojciec dziedzic Niewyhrycz.”

Mniej jeszcze wyjaśnioną jest zagadka owj Mici. W epilogu czytamy, że jest w szpitalu wileńskim (obłąkanych? a może Siostrą miłosierdzia?). Gdy Paweł ociemniał, „związał się, gmatwał i znowu rozplątywał wątek głosów przyduszonych, zapartych, jakoby za mur grubym, powtarzających coś, kędyś, przypominających kogoś...” Przyłożyłem głowę do ziemi... Przemówiła. Bicie jej serca posłyszałem, i pierś moję skurczoną od chłodu, jakoby kto naraz oblał ciepłą wodą łez matczynych.” Byłaż to Michalina? A może Joanna siostra Dyonizego, która w jednej czulszej chwili cokolwiek dwuznacznie nazywa go „bratem” i daje mu na pamiątkę medalionik ze znakiem krzyża—sym-

bol dosyć niejasnej obojga ich niedoli. Stosunek jego z Joanną, poczęści jednakowego jest pochodzenia ze stosunkiem do Michaliny i obydwa związane w dzieciństwie. Wprawdzie Joanna powiada „co ojciec kazał... i jakie... muszą być” jój uczucia. Z późniejszej z nią rozmowy, dowiaduje się nasz Paweł o kolejach losu swojej rodzonej siostry, którą w czasie poprzedzającym niniejsze opowiadanie, wtrącił do grobu rozpustny p. Wincenty, „potomek starożytnego rodu” ów właśnie „kuzynek” paryzki Dyonizego. Odchyła to rąbek zasłony jakichś stosunków pokrewieństwa w dworze niewyhryckim, które jednak zagadkowemi być nie przestają.

W ogóle, w całym tém opowiadaniu to jest charakterystycznym, że machiny jego ukryte za kulisami, objawiają się znużonemu a czasem i znudzonemu czytelnikowi, w zamglonych obrazach, dyalogach ciągle urywanych a nieraz od sprzeczności nie wolnych, pozostawiając na scenie, zawiele widzieć pragnącego a skazanego na ślepotę opowiadacza, o którym złośliwie może, ale jakoś przekonywająco powiada, przed ową katastrofą nadrzeczną, Dyonizy: „bije się biedactwo jak bąk w kapuście, galopuje od rana do nocy, żeby gdzie na płocie plebanii zobaczyć spódniczkę lub pończoszki, trątuje zboże pod pozorem ekonomicznym (?), zagląda o drugiej z północy poprzez drzewa... męczennik prawdziwy!” Zaiste „Pan ślepy Paweł” opowiadając te dzieje, musiał chyba wybaczyć, że go za niezupełnie zdrowego uważano.

Migocą na téj scenie dosyć liczne postaci osób wchodzących do opowiadania, niepozbawione czasem pewnych oznak charakterystycznych; ale w głównym toku rzeczy więcej sprawiające zamęt niż ożywienia. Czasem, jak przez usta, Koi Baby albo Hrycia Mańkuta, służą do wypowiedzenia jakiejś głębszej myśli ze sfery społecznej (str. 261), czasem znowu jak Wielki Iwan i córka jego Jaguś, albo Paraśka, ochmistrzyni plebanii, do zarysowania sielankowego tła kolorytu miejscowego, częściej jak ks. Faustyn i małżonka jego Tatyana, burmistrz Kalisewicz, lub służa cerkiewny Klemens; w umyśle czytelnika zostawiają tylko głucho czegoś niedopowiedzianego.

Z niektórych rysów, oraz z zakończenia przedmowy wnosićby można, że w opowiadaniu tém wyczytaćby należało pewną myśl głębszą, osnowy społecznej, tém bardziej, że rzecz odbywa się na starém Podlasiu w punkcie zejścia trzech żywiołów składowych dawnéj Polski, Lechii, Rusi i Litwy. Ta ostatnia pozostaje na stronie, ale ta waśń zakończona walką bratobójczą starego szlachcica Dyonizego z szlachcicem wprawdzie, ale świeżej daty, potomkiem parocha Pawłem, z chłopami pobratanym, wspomnienie smutnego losu jego siostry, ofiary zepsutego paniczka świętego rodu; wszystko to może zostało rzucone nie dla samego odświeżenia osobistych wspomnień autora? Lecz w takim razie żałować wypada, że nie postarał się lepij rozwinąć swojej myśli, że wątek jój osłonił taką mgłą widziadeł, marzeń i westchnień biédnego zapaleńca, iż sądzićby można, że autorowi właśnie zależało na wywiciwieniu domyslności czytelnika, że czuje się jakoby usprawiedliwionym

zawiścią ślepego opowiadacza, załującego bliźnim tego światła, którego sam został pozbawionym.

R. B.

„Ostatni list,” skreślił Aleksander Chomiński. W 8-ce, str. 92.
Warszawa, 1882.

Bohater opowiadania zawartego w tym „Ostatnim liście,” pochodził z rodziny czeskiej, jakby z przyrodzenia muzykalnie usposobionej i mającej legendę, która zwiastowała przyjście na świat wielkiego mistrza tej sztuki. Z głęboką wiarą w to swoje powołanie, wywołaną nieostrożnemi pochlebstwami rodziców, a stanowczą odrazą do pracy i nauki, nasz bohater w dziewiętnastej wiosnie swego życia, wystąpił poraz pierwszy przed publicznością, ziścił młodociane marzenie, „siłą geniuszu zmuszać ludzi do płaczu lub śmiechu, do trwogi lub wesela.” Było to pierwsze rozczarowanie niedoszłego mistrza, które się zaczęło od pomieszania i fałszywych tonów a skończyło przeciągłym sykaniem i rzuceniem o ziemię skrzypców zrozpaczonego wirtuoza. Kiedy ochłonnawszy z przykrego wrażenia doznanego kłęski, myśli o jej powetowaniu, staje przed nim poeta jak on młody, zarozumiały i proponuje mu opracowanie wspólnemi siłami opery. Dwaj młodzieńcy z zapalem wzięli się do dzieła; ale rezultat nieodpowiedział świetnym nadziejom. Nakładcy nie chcieli wydać utworu, reżysera zaledwie zgodziła się na jego wystawienie; w dodatku kompozytor muzyki naraził sobie recenzenta teatralnego i wywołał nieprzyjazną odezwę o mającej ukazać się operze. Pod tak złą wróżbą wystawiona sztuka skończyła się wywołaniem autora... aby usłyszał sykanie. Kompozytor i autor libretta rozdrażnieni, czynią sobie wzajemne wyrzuty i wyzywają się na pojedynki. Muzyk zabija poetę, serdecznego przyjaciela i narzeczonego swjej siostry. Nadchodzi nędza, różne ciosy rodzinne obok wyrzutów sumienia. Pierwsza kochanka artysty, przebacząc mu niewierność, na łożu śmiertelnym bierze z nim ślub, aby swoim majątkiem wydzwignąć go z biedy. Po jej zgonie, kompletnie zwaryował nasz bohater, który i przedtym nieszczególnie miał w głowie.

Otóż i cała historia, może niecałkiem zmyślona, tylko nie nowa. Ten zły duch pychy i nienasyceń, żądny uwielbień bez zasługi, którego po mistrzowsku odtworzył H. Jabłoński w „Gwidonie,” pokutuje ciągle po świecie, zbierając ofiary wypróbowanej miłości własnej osobników, które przecież, w mierności swojej mogłyby przydać się na coś społeczeństwu. Biędni ci artyści z tą swoją pretensją do latania po obłokach, nie nauczywszy się chodzić po ziemi! Ale szkoda i książki, w której rzecz sama napisana niezgorzej, oskrzydłona jest niezdrowo romantycznym wstępem a nakońcu, zbyt długim bredzeniem szalonego.

R. B.

KORESPONDENCYA

Do Redakcy Biblioteki Warszawskiej.

(Co do ostatnich pism o Staszicu).

Wzmianka Redakcy „Biblioteki Warszawskiej” co do ostatnich pism o Stanisławie Staszicu (Tom IV, 1881 r., str. 421), z powodu broszury p. J. Goldszmita: „Dobroczyńca jakich mało, ks. Stanisław Staszic, jako filantrop i mąż stanu” (Warszawa, 1881), następcza mi następujące uwagi. Redakcy „Bibl. Warsz.,” uznając dobre intencje p. G., a zarazem niezadawalniąc się zbyt krótkim szkicem biograficznym, niezaspokajającym potrzeb nawet „maluczkich” czytelników, objawia zdanie, że pożądaną byłaby nowa dokładna praca o Staszicu, oceniająca go jako męża stanu, z uwzględnieniem jego poglądów w sferze kwestyi ekonomicznych, które musiały być niezbyt szerokie, gdy mąż tak wielkich zasług obywatelskich, jak Staszic, nie pojmował należycie dobrodziejstwa takiej instytucyi kredytowej, jaką było projektowane wówczas Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiem. Obok tego, uważa Red. za dodatnią stronę wzmiankowanej broszury to, co p. G. mówi o Towarzystwie Rolniczém Hrubieszowskiém, tudzież o testamencie Staszica.

Niziej podpisany, pragnąłby niniejszém przyczynić się do objaśnienia, o ile można ze swój strony, rzeczy powyższych, a mianowicie:

a) Pod względem biograficznym nadmieniamy, że Staszic powołany w r. 1801 na członka nowo utworzonego Towarzystwa Przyj. Nauk w Warszawie, w r. 1806 zakupił obszerną posesyą na Kanonii, którą zabudował i ofiarował na własność temu Towarzystwu; ale nie odrazu (jak twierdzi p. G., str. 10) na Nowym-Świecie, gdyż na to miejsce dopiero w r. 1823, po zamianie posesyi na Kanonii na posesyą na Nowym-Świecie (róg Krakowskiego-Przedmieścia), przeniosło się Towarzystwo Przyjaciół Nauk do wspaniałego pałacu Staszicowego. Co do urządzenia szkół, nie można samemu jedynie Staszicowi przyznawać téj zasługi, gdyż brał w tém dziele Stanisław Potocki znakomity udział. Śmierć Staszica nie 22-go, ale 20-go stycznia 1826 roku

przypadła. Co do ogłoszenia drukiem mowy ks. J. Falkowskiego nad grobem Staszica w „Gazecie Warszawskiej,” miał autor broszury sprostowanie w mojej pracy, w r. 1879 drukowanej p. t.: „Stanisław Wawrzyniec Staszic,” str. II. Z téjże pracy (str. 18—31) przekonałby się, że Staszic zachęcał do nauki młodzież publicznie na 16 dni przed śmiercią, nie 4 sierpnia, ale 4 stycznia 1826 r.

b) Co do Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego, wyjaśniliśmy obszernie i źródłowo i teraz powtarzamy, że Staszic nabył dobra Hrubieszów nie wprost r. 1797 od rządu austriackiego (jak i dziś twierdzi p. G.), ale od książąt Sapiehów (r. 1801), którzy nabyli je poprzednio (r. 1800) od hr. Cettnera, a ten otrzymał je był w zamian za inne dobra roku poprzedniego od rządu austriackiego.

Według obowiązującej do dziś ustawy Tow. Hrubieszowskiego z r. 1822 (art. 5), wynosił każdy dział, nadany jednemu osadnikowi, morgów 60, z możliwością powiększenia go do maximum morgów polskich 100, a nie 80, jak to mylnie wyrażono w broszurze p. G., wedle dawniejszego kontraktu Towarzystwa z 1816 r. (na miarę wied.). (Zob.: „Stanisław Wawrzyniec Staszic,” str. 30).

Przez tę ustawę zamierzał Staszic „ustalić zawsze pomyślność mieszkańców” Hrubieszowskiej gminy „przez trwałe połączenie ich ku jednemu wspólnemu celowi, t. j. ku wspólnej i wzajemnej pomocy w potrzebach” (société de secour mutuel). Zob. akt urzędowy notaryalny z dnia 7 lutego r. 1822, uchwalający tę ustawę, jak i postanowienie monarsze, zatwierdzające tę ustawę z d. 13 (25) czerwca tegoż roku, gdzie mowa o ustawie „stowarzyszenia wzajemnej pomocy.” Art. zaś 32—47 stanowią „fundusze Banku pożyczkowego na udoskonalenie rolnictwa, na fabryki, kupiectwo i na murowanie domu.” Art. 41 reguluje stosunki hipoteczne własności gminy; lecz zapowiedzianych tam hipotek wiejskich gminnych „dla szczególnych każdego właściciela posesyi” nie doczekaliśmy się dotychczas.

c) Co do testamentu Staszica, mylnie głosi p. G., jakoby dokument ten w całości nigdzie przedtém nie był drukowany, bo gdyby p. G. nie traktował tak powierzchownie swojego przedmiotu, byłby go mógł między innymi czytać u Wł. Zawadzkiego („St. Staszic,” Lwów, 1860), jak to już w r. 1876 wyjaśniałem w „Gaz. Polskiej” co do „Gaz. Lub.” Pamiętać o tém trzeba, że w dotychczasowych drukach poczyniono liczne pomyłki, a w ostatnim u p. G. poprzestawiano wiele ustępów w niewłaściwe miejsca, nie odczytawszy uważnie pracy, na której opierano się; tak np. co do wyrażenia: „Summy powinny być lokowane” i t. p. Zob. zresztą Encykl. Roln.: „St. Wawrz. Staszic,” jak i oddzielną pod tym tyt. zwiększoną pracę J. W. z r. 1879 („Uzupełnienia”), z kąp p. G. wiele uwag swoich swobodnie, a o źródle zamilczając (np. cały przypisek, str. 20—21, o kapitałach Staszica), bierze na swój dowolny użytek.

d) Co do opozycyi Staszica przeciw instytucyi Tow. Kred. Ziem., to ta nie wyływała z niskiego poziomu ówczesnej wiedzy na polu nauk

ekonomicznych; ale Staszic, oceniając dobrodziejstwo takiej instytucji, nie godził się na przymus wierzycieli do przyjmowania w nominalnej wartości Listów zastawnych ¹⁾, czegooby zapewne i dzisiejsza nauka nie poczytała za błąd Staszicowi, zwłaszcza, że wprowadzone w myśl St. niektóre poprawki do projektu ustawy Tow. Kred. Ziem. z r. 1825, praktyka późniejszych statystów (niekoniecznie „kapitalistów“) za racjonalne uznała, i, stosując dopłatę różnicy kursu w razie spłaty długu hipotecznego—do dnia dzisiejszego uznaje (zob. studjum moje: „Stan. Wawrz. Staszic“). Jako wielki fundator ludowego Tow. Roln. Hrub., jako autor „Ziemiorodztwa“, założyciel górnictwa krajowego, jako dobroczyńca szpitala Dzieciątka Jezus, jako zapisodawca na tak dawno oczekiwany „Dom zarobkowy dla ubogich w Warszawie“, jako „Obrońca funduszu edukacyjnego“ i późniejszy prezes Tow. Przyj. Nauk—był Staszic nie tylko filantropem, ale i ekonomistą rozważnym i głębokim myślicielem.

W ogólności, co do broszury o wielkim obywatelu, p. n.: „Dobroczyńca, jakich mało“, jednocześnie drukowanej dosłownie w Kalendrze p. G. na r. 1882 pod tytułem zmienionym: „Warszawianin“, że jest pracą bardzo powierzchowną i za pośpiesznie kompilacyjną, nie potrzebujemy tego bardziej szczegółowo dowodzić; nie przeczymy tylko dobrych chęci i gładkiego pióra. Nawet pochwały ułudne dla piszących nie znaczą nic i raczej szkodzą, zwłaszcza w razie i w obec pominięcia gruntu rzeczy, t. j. prawdy, która zawsze dla osób, zaszczyconych pochwałami—jest najważniejszą (sine qua non) żywotnością, a dla ogółu społecznego, jako tém bardziej nie mogącego być w błędzie, jest najkonieczniejszą potrzebą. „Veritas“—ponad wszystko.

Czekamy zresztą od p. G. zapowiadanych już od tylu lat nowych wiadomości i faktów o Staszicu, któreby, odkrywając nowe źródła, ukazały wielkiego obywatela Staszica, jak tego słusznie pragnie „Biblioteka Warszawska“ (1881, t. IV, str. 421), nie tylko jako szlachetnego filantropa, ale jako głębokiego i przezornego męża stanu. Do tego zadania, w miarę naszych sił i sposobności staraliśmy się i nie przestaniemy się przykładać (o ile Bóg życia dozwoli) możliwą, choć skromną (nie fantazyowaną) cegiełkę do przyszłego wielostronnego gmachu jasnej prawdy o wielkości i niespożytej zasłudze Staszica dla kraju.

Warszawa, w lutym 1882 r.

Justyn Wojewódzki.

¹⁾ Zob. obszernie studjum Fl. Czerwińskiego w „Bibl. Warsz.“, 1864 i 1865 p. n.: „O Tow. Kr. Ziemsk. w Kr. Polskim“, mianowicie co do tej kwestyi, t. IV z r. 1864, str. 330—346, gdzie znajdujemy całą mowę Staszica.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1882 r.— Dnia 16 czerwca r. b. komitet „Kasy Pomocy naukowej imienia Mianowskiego“ odbył w mieszkaniu swego wiceprezesa, p. Stanisława Kronenberga, posiedzenie nadzwyczajne, gdyż z udziałem kilkudziesięciu zaproszonych uczestników kasy ¹⁾, pod przewodnictwem d-ra Tytusa Chałubińskiego. Na posiedzeniu tém Czł. Komitetu kasyer p. Karol Deike, przedstawił stan kasy, która dziś, po ośmiu zaledwie miesiącach istnienia, ma już przeszło 22,000 rs. majątku, a Czł. Kom. sekretarz p. Konrad Dobrski, zdał sprawę z dotychczasowej działalności kasy, poczem prezes Komitetu p. Tytus Chałubiński prosił zebranych gości, a członków kasy, żeby raczyli działalność tę roztrząsnąć i udzielić Komitetowi uwag swoich, co do środków rozwoju dalszej działalności kasy. Kasa imienia Mianowskiego, jak wiadomo, ma zadanie bądź dawać zapomogi potrzebującym pracownikom na polu naukowym, bądź wydawać ich dzieła, któreby innego nakładcy nie znalazły, a także dawać pożyczki na wyjazd za granicę, w celu dalszego kształcenia się. Rzeczona kasa obiera sobie tedy zakres pracy, dotychczas w kraju naszym systematycznie nieuprawianej. Zjawiali się u nas w różnych czasach i stronach kraju mecenasi badań ścisłych, poważnych, które nigdzie nie są popłatne, a tém bardziej u nas. Ale taka pomoc z hojnej ręki zamożnego obywatela kraju, ze śmiercią jego zwykle ustawała. I teraz liczne wydawnictwa nie zapomnianego Tytusa i syna jego Jana hr. Działyńskiego są w zawieszeniu. Członkowie, których powinno być tylu, ilu jest w kraju naszym czytających książki, oraz umiejętny zarząd, zapewnią kasie Mianowskiego trwałość. Udział w niej winno wziąć całe społeczeństwo, kasa wówczas stanie się rodzajem instytucji naukowej, a wsparcia, przez nią dawane, będą miały

¹⁾ Pisma codzienne nazwały niewłaściwie to prywatne zebranie „ogólnóm zgromadzeniem Członków kasy,“ gdyż, według ustawy, kasa nie odbywa zebrań ogólnych wszystkich uczestników.

Przyp. Red.

charakter pożyczek na czas dłuższy lub krótszy. Pole do działania obszerne, od społeczeństwa całego zależy, aby nie leżało odłogiem. Już teraz w samym zawiązku tej szlachetnej instytucji, udzielono wsparć ludziom pracującym na polu naukowym, a znajdującym się w niedostatku na sumę 395 rubli, oraz pożyczek na wyjazd za granicę 1,780 rubli. Kilka tysięcy ma być przeznaczonych na wydawnictwa. Obecnie kasa posiada 48 członków założycieli, 62 członków honorowych i 487 rzeczywistych, czyli razem 597 członków. Fundusz kasy, powstały ze składek członków, oraz ofiar, wynosi 22,115 rubli 93 kop. Z nich użyto już 2,377 r. Niewątpliwie fundusz ten zwiększać się będzie nieustannie, i nawet spodziewać się należy, że zwiększy się znacznie, albowiem z niektórych okolic kraju dotąd wpłynęły bardzo nieliczne ofiary. Oprócz Warszawy (9,437 rub. 84 kop.) i gubernii Lubelskiej (2,180 rub.), inne gubernie Królestwa Polskiego, nie wyłączając Warszawskiej, nie złożyły nawet po 200 rubli każda, to jest mniej niż Petersburg (662 rub.), Irkuck (476 rub.), gubernia Kijowska (345 rubli), Podolska (185 rub.). Składka na członka rzeczywistego wynosi tylko 5 rubli rocznie. Ze sprawozdania odczytanego przez p. Dobrskiego, wymienimy najważniejsze dotychczasowe postanowienia kasy. Udzielono:

a) pożyczkę rs. 1,000 d-rowsi Teodorowi Duninowi na wyjazd za granicę w celu naukowym;

b) taką pożyczkę i w podobnym celu d-rowsi Julianowi Ochowiczowi;

c) taką pożyczkę p. Henrykowi Merczyngowi, studentowi uniw. Warsz., po otrzymaniu przez siebie stopnia w tym uniwersytecie w r. b., na wyjazd do Petersburga, w celu specjalnego poświęcenia się fizyce matematycznej;

d) zapomogę rs. 400 pp. Mierzyńskiemu i Kaszewskiemu na wydanie polskiego przekładu jednego z pisarzy klasycznych, używanych w szkołach średnich, zaopatrzonego w odpowiednie komentarze lingwistyczne i historyczne;

e) honorarium około 500 rs. dla pp. Minkowieckiego i Komarnickiego, za wygotowanie przedmiotowego i chronologicznego katalogu do Bibliografii XIX wieku Estreichera. Katalogi te, na żądanie i według wskazówek autora ułożone, wyjdą następnie z pod prasy kosztem Akademii Umiejętności w Krakowie;

f) zapomogę 500 rs. p. Trejdosiewiczowi na dalsze w r. b. poszukiwania geologiczne w Królestwie Polskiem, prowadzone dotąd przez niego, przy pomocy innych funduszy;

g) zapomogę 4,500 rs. p. Maryanowi Baranieckiemu na ogłoszenie drukiem „Biblioteki matematyczno-fizycznej“ z 22 tomów w 4-ch seryach.

Prócz tego Komitet kasy udzielił różnym osobom na mniejsze co do kosztów cele naukowe, ogółem do 500 rs.; kilkanaście zaś poda

oddalił, jako nieusprawiedliwionych dostatecznie lub zupełnie się niekwalifikujących.

Z ożywionej dyskusji członków, na posiedzenie zaproszonych, wynieśliśmy to miłe przeświadczenie, że instytucja kasy okazała się bardzo pożyteczną i potrzebną, tudzież że uczestnicy zgadzają się z komitetem dzisiejszym co do kierunku, jaki jój nadano. Mamy téż nadzieję, że ogół nasz będzie coraz skuteczniej ją popierał.

Niemniej pocieszającą była wiadomość, że Kasa otrzymała dwa piękne zapisy testamentowe: od d-ra Landego rs. 500 i od ś. p. J. N. Jaskowskiego obywatela powiatu Rawskiego rs. 15,000, które zapewne niebawem powiększą jój dotychczasowy stan czynny, powyżej podany.

— „Biblioteka matematyczno-fizyczna.“ Pod takim tytułem dr. M. A. Baraniecki wydawać będzie z zapomogi, jaką mu udzielił Komitet kasy imienia Mianowskiego, zbiór systematyczny podręczników z matematyki, fizyki, geografii fizycznej i mechaniki. Podręczniki będą opracowane przy współdziałaniu autorów, obrabiających najbliższe treścią tomy, tak, iż „Biblioteka“ nie będzie zbiorem luźnych prac, ale jój tomy będą ściśle z sobą związane. Całą „Bibliotekę“ dzielą autorowie na cztery serye a mianowicie: pierwsza mieć będzie na uwadze wychowanie elementarne; druga profesjonalne ogólne i szkoły żeńskie, trzecia systematyczne średnie; czwarta zaś obejmie ogólne kursy wyższego nauczania na uniwersytetach i szkołach inżynierskich. Wydawnictwo to będzie się ciągnęło 4 do 5 lat. Przy téj sposobności układać się będzie słownik matematyczno-fizyczny, którego opracowanie zajmie również lat kilka. Prenumeraty na to wydawnictwo nie będzie ogłoszonej. Tomy będą wychodziły oddzielnie, niekiedy jednocześnie z różnych seryi. W końcu r. b. podamy więcej szczegółów o tém poważnym wydawnictwie.

— Koło artystyczno-literackie, wypełniając uchwałę swego waleznego Zgromadzenia z d. 10 maja r. b., ogłasza konkurs na napisanie dokładnego i krytycznego życiorysu Adama Mickiewicza. Zanim dzieła i życie wielkiego wieszczka znajdą godnego siebie w literaturze biografa i krytyka, pragnie Koło tymczasem przygotować niejako grunt dla niego, przez krytyczne zebranie i uporządkowanie szczegółów życia Adama od kolebki aż do śmierci. Nie idzie zatém o wyczerpujące studjum, o pomnik literacki poety, lecz o życiorys treściwy, opowiedziany przystępnie, zalecający się tak stylem poprawnym, jak i czystością języka. Autor pracy, odpowiadającej tym warunkom, otrzyma 500 złr. nagrody, oraz 15% od ceny netto każdego sprzedanego egzemplarza, co prawdopodobnie drugie tyle mu przyniesie.

„Koło“ wydaje rękopism własnym nakładem, najdalej w 3 miesiące po ogłoszeniu rezultatu konkursu i zastrzega sobie jego własność na przeciąg lat pięciu. W razie gdyby pierwsze wydanie, przed ubie-

giem tego czasu, wyczerpaném zostało, autor zaś pracę swoją pragnąłby powiększyć, uczyni to bez osobnego wynagrodzenia, zwłaszcza, że podwyższona wówczas cena drugiej rozszerzonej edycji, zapewni mu większą tantiemę. Autor nagrodzony, obowiązuje się, w razie potrzeby, uczynić zmiany lub poprawki, wskazane przez Komitet oceniający. Objętość rękopismu, nadesłanego na konkurs, powinna wynosić 10 do 12 arkuszy druku. Ostateczny termin nadesłania prac, oznaczony jest na dzień 1 kwietnia r. 1883. Nagrodę otrzyma autor natychmiast po jej przyznaniu, tantiemą zaś po każdym półrocznym obliczeniu będzie wypłacaną. Do Komitetu oceniającego, zaprosił wydział „Koła artystyczno-literackiego” pp. Władysława Ludwika Anczyca, d-ra Adama Asnyka, Michała Bałuckiego, Kazimierza Bartoszewicza, d-ra Adama Bełcikowskiego, d-ra Piotra Chmielowskiego, d-ra Ludomiła Germana, d-ra Antoniego Małeckiego, Mieczysława Pawlikowskiego, ks. Ignacego Polkowskiego, d-ra Stanisława Smolkę i d-ra Stanisława hr. Tarnowskiego.

Rękopisy, wraz z kopertą zapieczętowaną, zawierającą nazwisko autora, winny być nadesłane pod adresem: „Koło artystyczno-literackie w Krakowie.”

— „Acta Illustrissimae et antiquissimae Domus Lasociorum ex armis Dołenga, Opera et jussu Magnifici Domini Valentini Lasocki, Succamerarii terrae Wissogrodiensis hoc in libro connotata in haereditaria Villa Kempe die Secunda Mensis Augusti An. Dni. 1652.” Pod tym tytułem mamy przed sobą rękopism, zawierający dzieje starożytnego i dobrze zasłużonego krajowi domu Lasockich, herbu Dołęga; jestto jedna z tych niewielu już istniejących, a niegdyś licznych, kronik domowych, w których nasi przodkowie zapisywali, nietylko rozrodzenie swych rodzin, lecz i dokumenta je obchodzące, jak przywileje monarchów, dyplomy na dostojęstwa, akta, dotyczące nabycia i sprzedaży dóbr, a często i rzeczy ogólnego interesu, jak: ważniejsze uniwersały i listy królów i historycznych osób, mowy sejmowe, traktaty i układy z sąsiednimi mocarstwami i t. p. Jak więc dla dziejów rodzin, tak i kraju, takie kroniki są ważnym nabytkiem. Na nieszczęście przez lat przeszło czterdzieści mojego zajmowania się odszukiwaniem i zbieraniem dzieł podobnych, kilkanaście tylko w urywkach, a ledwie siedm w całości podpadły mi pod rękę. Z urywkowych posiadam Pamiętnika domu Myszkowskich z XVI-go wieku kilkanaście arkuszy, kronikę Lubienieckich (prawie całą), kronikę Suheckich, herbu Poraj, w większej połowie, mniej więcej trzecią część historii rozrodzenia domu Wierzyńków i części kronik rodzin Gostomskich, Męcińskich, Lanckorońskich i Grzymałów; z całych, które znam, kronika Doliwów Rozrażewskich jest obecnie w posiadaniu hr. Jana Sceptyckiego w Galicyi, kronika domu Zadorów (w zakładzie Ossolińskich we Lwowie). Pamiętnik z XVII-go stulecia Lubienieckich w moim zbiorze, a kronika Lasockich w bogatym familijnym archiwum hr. Bronisława Lasockiego w Kra-

kwie. Co się dotyczy téj ostatniej, zajmuje ona blisko ośmdziesiąt arkuszy in folio, pismem ściśłym, dobrym łacińskim językiem, a zawiera, oprócz historyi i rozrodzenia domu Lasockich, ważne szczegóły o więcéj niż trzyestu rodzinach z niemi spokrewnionych, a kilkunastu dość obszerne monografie; że zaś na każdą osobę, jéj dostojność, majątki, małżeństwo, dzieci i t. p., cytuje jużto urzędowy dokument, już téż ten dokument dosłownie przytacza; szczegóły przez nią podane nie ulegają żadnej wątpliwości, wiele zaś z tych dokumentów, jak: listy i przywileje królewskie, nadania majątków i t. p., mają ogólną dziejową ważność.

Podaję wiadomość o téj kronice, nietylko ze względu na jéj wartość heraldyczną i historyczną, lecz i dla pobudzenia osób posiadających podobne, aby zechciały zawiadomić o nich publiczność; słyzałem bowiem o kilku bezużytecznie kryjących się w zbiorach i bibliotekach prywatnych, jak np. o kronice domów wywodzących się od Gedymina, ogromném, dwutomowém, o kilkuset arkuszach dziele, o kronice Moskorzewskich, Pamiętniku Mięcińskich, herbu Poraj i kronice domu Konopackich i z nim spokrewnionych Czapskich, Działyńskich i Kretkowskich; sam téż, przed trzydziestu mniej więcéj latami, miałem w ręku *Silva rerum* Oborskich, Pinińskich i Starzeńskich i kroniki domowe Gostomskich i Potulickich, o których obecnym losie nie mam wiadomości, oby jak setki innych nie zbutwiały pod strychem lub nie poszły pod placki.

Ad. Am. Kosiński.

— W Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu, na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego zdawał p. Kazimierz Jarochowski sprawę z V-go tomu wydawnictwa komisyi historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie, a mianowicie z pracy p. Kazimierza Waliszewskiego, p. t. „Archiwum spraw zagranicznych francuzkie do dziejów Jana III-go, 1677—1679.” Dokumenta, z których czerpał p. Waliszewski, składają się przeważnie z korespondencyi posta francuzkiego, markiza de Béthune, z Ludwikiem XIV, ministrem jego spraw zagranicznych, p. Z. de Pomponne, i dworem polskim, zapisków i listów agenta, p. de Baluze, z dworem wersalskim. Mimo niektórych usterek, jak np. nazywanie Brodnicy Strassburgiem, biskupa de Luceorie bisk. łuckim i t. p., praca p. Waliszewskiego jest, zdaniem p. Jarochowskiego, nader ważnym przyczynkiem do dziejów panowania pogromcy Turków z pod Chocima i Wiednia, tém ważniejszym, że dokumenta przytoczone przez p. Waliszewskiego dowodzą, iż Jan III głębiej i rozumniej pojmował politykę swego kraju niż dotąd ogólnie przypuszczano. Dzieło autora rozpoczyna się od rozbioru trzech traktatów zawartych w myśl polityki francuzkiej ze strony Polski, a mianowicie traktatu jaworowskiego z dnia 11-go czerwca 1675 r. z Francją przeciw elektorowi brandeburskiemu, traktatu zórawińskiego z Portą ottomańską w październiku 1676 r. i traktatu gdańskiego z 21 sierpnia 1677 r. pomiędzy Polską a Szwecją. Zadaniem ówczesnej polityki polskiej

było uspokojenie burzy tureckiej, by tém silniej i skuteczniej wystąpić na dwóch widowniach ważniejszego interesu polskiego, t. j. w Księstwie Pruskiem i na Węgrzech. Moralnie rzecz biorąc, przedstawia polityka polsko-francuzka przykre i smutne widowisko, bo chociaż Jan III sprowadzić się starał politykę polską na naturalne jej tory, to przeszkody, jakich w téj mierze doznawał, smutne rzucają światło na ówczesne stosunki. Elektor brandeburski pragnie sojuszowi temu przeszkodzić, nie przebiegając w intrydze, niecnym spekulacjach a nawet i groźbach. Miejscem, gdzie plany elektora wychodzą na jaw, a zarazem w czyn się zamieniają, jest, niestety! sam dwór polski, bawiący w Prusiech, w Gdańsku i w Wielkopolsce. Marya Kazimiera smutną i niezbyt szlachetną tutaj odgrywa rolę. Pokrzyżowała akcją przymierza szwedzko-polsko-francuzkiego, wchodziła w poufałość z nuncyuszem papieżkim Martell'im, jedném słowem wszelkich dokładała starań, aby utorować drogę intrydze, mającej na celu zniweczenie uświęconego traktatami z r. 1675, 1676 i 1677 systemu aliansów polskich. W r. 1678 wyjeżdża dwór polski do Lublina, by następnie przenieść się na pobyt do Żółkwi i Janowa. W owym czasie wre na Węgrzech pod egidą Emeryka Tekelego i hr. Nemezaniego podżegane przez Francją powstanie przeciw domowi rakuskiemu. Dla Ludwika XIV było powstanie to środkiem dywersyjnym w wojnie jego z cesarzem. W Polsce kwestya węgierska stała się powodem różnych planów i nieporozumień. Gdy Jan III myśli o oderwaniu Węgier od domu austriackiego i Cesarstwa Niemieckiego, a nadto pragnie federacyi Węgier z polską — „królowa Marysienka” podżega różnemi sztuczkami wielkiego hetmana koronnego, Dymitra Wiśniowieckiego, przeciw usiłowaniom akcji polskiej na Węgrzech. I dom austriacki intryguje przeciw Janowi III. Wśród takich okoliczności następuje wyprawa szwedzka z Infiant do Księstwa Pruskiego w listopadzie 1678 r. Szwedzi zajęli kraj, a mianowicie Tylgę i Klajpedę. Była to chwila, zdaniem p. J., nader dla Polski korzystna. Polsce nadarzyła się bowiem teraz sposobność naprawy błędu Jagiełłów i Jana Kazimierza, opanowania brzegów morskich, upokorzenia wiarołomnego lennika i podania ręki tęskniącej do związku z Rzeczpospolitą ludności. Lecz znów intryga domowa, nierozum i niecnota ziomków staje na przeszkodzie. Sejm grodzieński groźnie dla polityki królewskiej przedstawia widowisko, a Howerbeck, rezydent pruski i nuncyusz papieżki zarzucają sieci swych planów na wszystkie strony. I cóż się dzieje? Pruska wyprawa Szwedów kończy się w styczniu 1679 r. zupełną klęską, poczem nadchodzi tuż wiadomość o zawarciu traktatu pokoju między Ludwikiem XIV a cesarzem w Nimwedze w dniu 5 lutego 1676 r. Traktat nimwedzki to przełom w polityce Francyi względem Polski i Jana III. Odtąd rozpoczyna się też przemiana polityki polskiej, opartej racjonalnie na przymierzu szwedzko-francuzkiem, na ową wprawdzie świetną w tryumfy wojenne, lecz czerzą niestety! w rezultatach późniejszych politykę rzymsko rakuską. Nader wiele przyczyniło się do téj radykalnej zmiany dotychczasowego syste-

mu aliansów zawarcie pokoju pomiędzy Ludwikiem XIV a elektorem brandeburskim i traktatu przymierza w Xantenie 29 czerwca 1679 r. a następnie w Saint-Germain en Laye 25 października 1679 r. Politycznie dobrze obmyślane przez Jana III plany odwetu na Brandenburgii i pomysł federacyi z Węgrami spełzły tedy na niczem. Marya Kazimiera, mało dbając o dobro Polski, stara się jedynie namówić Jana III do przymierza austriackiego, aby może przez to uzyskać to, czego nie mogła otrzymać od Ludwika XIV, t. j. tytułu dla ojca swego markiza d'Arquien. Ludwik XIV i markiz de Béthune i teraz jeszcze chcieliby odwrócić Polskę od rakuskiego przymierza. W ich usiłowaniach niedwuznacznie pewna przebija się sympatya dla samych Turków. Zdaniem p. J., z dokumentów wyżej wspomnianych, a niedawno dość sumiennie ocenionych przez p. Lukas'a, wynika, że Jan III prawdziwym był politykiem, dbającym o dobro kraju i starającym się odzyskać dla Polski to, co straciła przez traktat krakowski w r. 1525. Niestety! intryga w własnym kraju plany Jana III zniweczyła jak najzupełniej, a elektor brandeburski umiał z tego odpowiednio korzystać. Wielka szkoda, mówi p. J. w końcu swego nader interesującego sprawozdania, że w pracy p. Waliszewskiego stosunkowo zbyt mało jest wiadomości o tajnych sprężynach elektora ku podkopaniu systemu polityki francuzko-polskiej. W archiwach berlińskim i wiedeńskim niejedną może ważną znalazłby się do tego przyczynek.

— Opis podróży pułkownika Przewalskiego po Azji środkowej i Chinach wkrótce ma być oddany do druku staraniem petersburskiego towarzystwa geograficznego. Dzieło Przewalskiego wyjdzie w sześciu tomach i obejmować będzie topografią i etnografią, zwierzęta czworonożne, ptaki, ryby, płazy, rośliny i t. d. Do dwóch pierwszych tomów ma się dołączyć przeszło sto arkuszy rysunków.

— Ludność Państwa Rossyjskiego, wedle spisu z r. b. wynosi 100,038,348 mieszkańców, a mianowicie: w Rosyi europejskiej 75,604,788 mieszcz., w Królestwie Polskiem 7,219,077 mieszcz.; w Finlandyi (1880 r.) 2,028,021 mieszcz. Na Kaukazie, w Syberyi i Azji Środkowej 15,186,456 mieszcz. W r. 1870 Rosyja europejska liczyła 65,991,910 mieszcz. Królestwo Polskie 6,078,564 mieszcz.; Finlandya 1,732,621 mieszcz.; Kaukaz, Syberya i Azya środkowa 11,767,551 mieszcz. Całe tedy Państwo Rossyjskie 85,570,646 mieszcz., a zatem teraz jest o 14,467,696 osób więcej niż przed 12-tu laty. Uwzględniwszy zaś przyrost ludności finlandzkiej w 2-ch ostatnich latach, będzie co najmniej o 14½ mil. więcej. Przyrost ludności wynosił w ostatnich 12 latach w Rosyi europejskiej 15%, w Królestwie Polskiem 19,8%, w Finlandyi (w 10 ciu latach) 17,1%, w Rosyi azyatyckiej 29%. Jeszcze większy jest przyrost ludności w wielkich miastach, a mianowicie: Petersburg w roku 1860 liczył 667,000, a dziś 927,000 mieszcz.; Warszawa w 1860 r. 271,000, dziś 401,000 mieszcz.; Odessa w 1860 r. 127,000, dziś 198,000 mieszcz.; Kijów w 1860 r. 82,000, dziś 167,000 mieszcz.; Charków w 1860 r. 65,000, dziś 107,000 mieszcz.; Chersoń w 1860 r.

46,000, dziś 128,000 mieszk., Łódź w 1860 r. 38,000 dziś 80,000 mieszk.; Elizawetgrad w 1860 r. 32,000, dziś 63,003 mieszk.; Dynaburg w 1860 r. 25,000, dziś 52,000 mieszk.; Helsingfors w 1860 r. 28,000, dziś 45,000. Podajemy szczegółowsze porównanie wzrostu ludności w Królestwie Polskiem: Liczyło ono w 1816 roku 2,717,287 mieszk.; w 1832 r. 3,914,665 mieszk.; w 1862 r. 4,972,193 mieszk.; w 1870 r. 6,078,564 mieszk.; w 1881 r. 7,219,077 mieszk. Widzimy z tych liczb, iż w przeciągu lat 65-u ludność Królestwa Polskiego wzrosła o 166%.

Ludność Austrii podług narodowości. Wypadki spisu ludności Austrii 31 grudnia r. 1880 dopiero teraz zostały w całości obliczone. Ogólne ich cyfry, wyrażające zaludnienie krajów koronnych podaliśmy przed rokiem; szczegóły dotyczące Galicyi w zestawieniu z innemi naszymi ziemiami zamieściła „Biblioteka Warszawska” w osobnym artykule ¹⁾. Z danych dotyczących całego państwa, w obecnych okolicznościach szczególnego nabierają znaczenia liczby narodowości, tembardziej, że poprzedni spis (31 grudnia r. 1869) pominął tę rubrykę, to co więc dotąd podawano, były tylko obliczenia mniej więcej prawdopodobne, oparte na bardzo dawnym już spisie r. 1857, dokonanym w warunkach odmiennych i pod tym względem, może mniej dokładnym.

Rząd węgierski dotychczas nie ogłosił szczegółowych cyfr ostatniego spisu; niewiemy nawet na pewno, czy takowy obejmuje rubrykę „narodowości,” której wyszczególnieniu Rząd ów zawsze był przeciwny. Dane więc niniejsze dotyczą niemiecko-słowiańskiej połowy państwa, czyli tak zwanęj Przedlitawii.

Otóż spis ostatni wykazuje następujące grupy narodowe, ściśle zaś biorąc językowe, gdyż za podstawę wyróżnienia służy tu mowa używana w zwykłych stosunkach (Umgangssprache), gdy w spisie roku 1857 brano także pod uwagę plemiona.

Niemców albo osób mówiących po niemiecku wykazało się.	8,008,864
Czechów (incl. Słowaków i Morawian)	5,180,908
Polaków	3,238,543
Rusinów i Rusniaków.	2,792,667
Słowenów albo windów illirskich	1,140,304
Włochów	668,653
Chorwatów i Serbów	563,165
Rumunów.	190,792
Węgrów	9,887
	<hr/>
	21,793,881

Resztę z całkowitej ludności objętej spisem t. j. 22,130,705, stanowią narodowości mówiące innemi językami, głównie żydzi, obstarający przy zupełnej swojej odrębności od ludów rzeszy austriackiej.

¹⁾ Ludność Galicyi podług ostatniego spisu. styczeń r. b.

W ogólnej tedy ludności Przedlitawii, Niemcy stanowią 367 na 1,000, Czesi 238, Polacy 141, Rusini 128, Sloweni 47, Włosi 30, Serbo-Chorwaci 26, Rumuni 9, Węgrzy 0,4.

Podług spisu r. 1857, Niemców w krajach dzisiejszej Przedlitawii było 6,492,727 czyli w stosunku 1,000 ówczesnej ludności 360, Czechów 4,290,234 czyli 238, Polaków 2,159,648 czyli 120, Rusinów 2,274,029 czyli 127, Slowenów 1,156,641 czyli 64, Włochów 547,239 czyli 30, Chorwatów i Serbów 510,659 czyli 28, Rumunów 176,579 czyli blisko 10, Węgrów 7,400 czyli 0,4.

Z tego się pokazuje, że lubo bezwzględnie biorąc, wszystkie ludy z wyjątkiem Slowenów liczebnie się powiększyły, stosunkowa ich jednak waga w ogólnym szeregu narodowym Rzeszy Przedlitawskiej zmieniła się dosyć znacznie. Czesi, Włosi i Węgrzy pozostali na stanowisku jakiego zajmowali przed 20 laty, Rumuni, Serbo-Chorwaci i Rusini mniej lub więcej stosunkowo stracili; bezwarunkowo zaś wzmoгли się: Niemcy i Polacy.

Znaczenie tego wypadku polega niemało na geograficznym stosunku tych ludów: łatwo bowiem pojąć, że przyrost pewnej społeczności tem więcej znaczy, im bardziej postępuje w oznaczonym kierunku geograficznym, szerząc swój wpływ na graniczne, sporne niejako, terytoria. W kraju bowiem oddawna osiadłym, zaludnionym, ludność napływowa, rozpierzchła, przy największym przyroście, o przyszłości etnograficznej kraju decydować nie może. Prędzej czy później utonąć musi w massie ludności miejscowej, albo jeżeli się z nią zamalgamować nie może—ustąpić. Widzimy to np. na żydach w guberniach dawniej polskich cesarstwa Rosyjskiego.

Wypada więc objaśnić, że charakter taki ludności napływowej, z wymienionych powyżej narodów Rzeszy Przedlitawskiej mają tylko dwa: Niemcy i Węgrzy, z tą oczywiście różnicą, że ci ostatni rozproszeni po Bukowinie i w stolicy państwa Wiednia, nie mają żadnej terytorjalnej podstawy w granicach Przedlitawii, gdzie stanowią nader szczupłą gromadkę; przeciwnie, Niemcy stanowią rdzenną ludność w trzech prowincjach (Austrii dolnej, górnej i Salcburgu) również w północnym Tyrolu i w pewnych okręgach królestwa Czeskiego; nadto Karyntya, Styrya i Szlązk austriacki, z wyjątkiem księstwa Cieszyńskiego dla ich przewagi liczebnej, słusznie za prowincye niemieckie Przedlitawii uważane być mogą. Tu zasługuje na uwagę, że w tych rdzennie lub przeważnie niemieckich ziemiach, żywioł niemiecki w r. 1880 pozostał niezmiennie tém, czem był r. 1857, w Czechach i Morawii cokolwiek nawet stracił (z 376 do 317 na 1,000), wzmoógł się zaś najwięcej na Szlązku austriackim (w okr. Opawskim) w ziemiach zamieszkałych przez Slowenów (Styryi południowej i Krainie) wreszcie na Bukowinie, w ziemi leżącej daleko poza kresami germanizmu. Dzisiejszej wygórowanej pysze narodowej Niemców zdobycz taka może pochlebiać, zbyt wiele atoli potrzeba, aby otoczona ziemiami Słowian, Węgrów i Wołochów, Bukowina, gdzie mowy niemieckiej pomimo wyż wspomnionego

wzrostu Niemców używa zaledwie 10% ludności w obec 40% Rumunów i tyluż prawie Rusinów, mogła się stać niemiecką, pomimo sławy i zasług naukowych uniwersytetu czerniowieckiego.

Zaprzeczyć jednak trudno, że w ogólności, spis ostatni nie ziszcil obaw wypowiedzianych przez zbyt troskliwych o los swojego rodu, austro-niemieckich patryotów (ze sfer dziennikarstwa wiedeńskiego koterii centralistycznej); oprócz bowiem nieznaczącego ubytku w Czechach, narodowość ta utrzymała się zupełnie na stanowisku zajętem przed 20 laty a poczęści je pomnożyła.

Co do Polaków, nadmienić wypada, że z powyższej liczby 3,238,534, w Galicyi mieszka 3,053,634, z pozostałych 184,900, w księstwie Cieszyńskiem mieszka 114 tys., na Bukowinie 20 tys., reszta w rozproszeniu, a największą załogę (do 50 tys.) ma w Wiedniu, która od lat 20 wielce się pomnożyła.

Szczupła liczba Polaków na Bukowinie lubo stosunkowo większa niż przed 20 laty, sprawia, że ta prowincya, aczkolwiek pograniczna z Galicyą i do r. 1860, administracyjnie z nią połączona, niemoże mieć dla nas takiego znaczenia, do jakiego sobie roszczą prawo Niemcy, lubo małoco liczniejsi od Polaków. Na Szlązku austryackim oraz w Galicyi zachodniej żywiol polski pozostał w tymże stosunku co w roku 1857. Główny zaś jego przyrost oprócz Wiednia, gdzie jest napływowy, przypada na Galicyą wschodnią. W 45 powiatach wschodnich (z tych wyłączamy Lwów, oraz te powiaty gdzie ludność polska stanowczo przeważa) na 3,862,532 mieszkańców, osób mówiących po polsku, wykazuje się 870,507, gdy przed 20 laty na 2,895,661 było ich 600,837. Żywiol polski stanowił wówczas 208 z 1,000, obecnie 226. Znaczenie jego polega na tém, że jest mniej więcej rozsiadły w całej prowincyi (tylko w 3-ch zapadłych powiatach podkarpackich, Turczańskim, Kosowskim i Nadworneńskim szczupłą wykazuje się cyfrą), stanowczo przeważa po miastach (z wyjątkiem Brodów, Drohobyczy i Kołomyi, gdzie więcej jest osób mówiących po niemiecku), że nakoniec z małemi wyjątkami, język jego jest językiem krajowej inteligencji, jakkolwiek pomiędzy szlachtą Galicyi wschodniej przeważna większość jest pochodzenia rusińskiego lub (jak na Pokuciu) ormiańskiego.

Wzrost żywiolu polskiego zarówno jak niemieckiego w ziemiach, które nie są rdzennie polskie lub niemieckie, nie daje się wytłómaczyć w zupełności, przyptływem ich ludności, lub kolonizacyą; pierwszy bowiem wymaga otworzenia nowych źródeł zarobku, jakie daje przemysł, drugie, ziem leżących odłogiem. Tego już niema w ziemiach mających ludność polską a prawie wyłącznie rolniczych. Jak wykazaliśmy w innym miejscu, Galicya wschodnia jest już dosyć gęsto zaludnioną, lubo cokolwiek mniej niż zachodnia, warunki zaś miejscowe, rozwojowi przemysłu nie sprzyjają. Niema wyraźnych faktów świadczących o przyptywie ludności mazurskiej do okolic zamieszkałych przez Rusinów. Przyptyw ten w każdym razie na powyższy rezultat nie wiele wpłynął, tak, że po wsiach Galicyi wschodniej rozproszeni w małej liczbie mazu-

rzy, częstokroć przyjmują mowę otaczającej ludności ruskiej. Daleko większy jest wprawdzie przypływ i kolonizacja ludności niemieckiej w ziemiach słowiańskich, któremu jednak stawiają zapory, z jednej strony, jak na północy dźwiganie się Czechów (w królestwie Czeskim żywiół słowiański zwiększył się cokolwiek od 623,6 do 6,277 na 1,000) z drugiej, od południa, współzawodnictwo Włochów. Tak w Tryeście i otaczającym to miasto pasie nadbrzeżnym (Littorale) żywiół włoski widocznie bierze górę nie tylko nad słowiańskim ale i niemieckim. Ten ostatni wzmoął się w stosunku 30%, włoski 45%.

Wyjaśnienie wyż wskazanego wzrostu żywiółów niemieckiego i polskiego, znajdujemy głównie w rubryce „innych narodowości,” w której jak wspomnieliśmy, główną rolę odgrywa lud nie mający własnej ziemi, żydowski. Rubryka ta wykazuje obecnie 336,824 głów, gdy w r. 1857 wynosiła 1,209,949. Łatwo to wytłómaczyć się daje, że żydzi we wszystkich niemieckich prowincjach Austrii lub w których żywiół niemiecki pod jakimkolwiek względem góruje, przyłączają się do narodowości niemieckiej; w Galicyi wszakże większa ich połowa stanęła już po stronie polskiej, jak to wskazuje fakt, że na 685,942 mieszkańców wyznania Mojżeszowego, mówiących po niemiecku, wykazało się tylko 318,248, gdy Niemców (pochodzenia germańskiego) spis r. 1857 wykazał 114,293.

Jak więc wzrost żywiółu niemieckiego w Przedlitawii obecnym spisem wykazany, nie świadczy o ubytku słowiańskiego, tak i wzmoczenie się żywiółu polskiego nie odbyło się wcale kosztem ludności ruskiej. Jak wykazało się w innem miejscu, Rusini więcej nawet zyskali stosunkowo niż Mazury. Wzmoczenie się nasze w Przedlitawii ma więcej znaczenia, niż gdyby było skutkiem przyrostu plemiennego; bo dowodzi rozszerzenia się świadomości narodowej, która po nad materyałami plemiennymi, słowiańskim, germańskim lub semickim, jest żywiółem decydującym.

R. B.

— Wyszedł z druku przekład „Don Żuana“ Bajrona, pieśni V i VI p. t. „W haremie,” VII, VIII, IX i X p. t. „Caryca,” przez Wiktora z Bawarowa (hr. Bawarowskiego), w Tarnopolu, nakładem tłómacza, w 8-ce, str. 176, przypisków s. XVIII i errata. Największe to i najwszechstronniej charakteryzujące poetę dzieło, ledwie nie najpóźniej ukazuje się w naszym języku. Powodem tego, obok drażliwości przedmiotu, była zapewne trudność odtworzenia tego dziwnego arcydzieła, w którym cechujący autora ponury sceptycyzm, objawiający się złośliwymi alluzjami, sarkazmami, i cyniczną nagością, występuje w szczególnej harmonii ze wzniosłą filantropią, a zapał wysokiego natchnienia ścina się w ciągłym lodowatym szyderstwie. Sposób pisania oryginalny, który posłużył za wzór tyle pokrewnemu z „Don Żuanem“ „Beniowskiemu“ J. Słowackiego (pomijając już „Don Żuana poznańskiego“ R. Berwińskiego), w ciągłych zboczeniach i alluzjach do spraw i osób, nie wszystkim znanych, pomnażają trudności tego dzieła, którego samo czytanie wymaga pewnych studyów.

Ze zdaniem o niniejszym przekładzie, wypada się wstrzymać aż do jego ukończenia, którego spodziewać się można, sądząc z cierpliwéj pracy tłumacza, który jéj wiele lat poświęcił. Przeszło 30 lat temu, wyszły próby jego w „Bibliotece Warszawskiej.“ Cała pieśń I wyszła osobno w r. 1863, potem wyszło tłumaczenie p. II—IV. W obecnej książce znajduje się najtrudniejsza część dzieła, najwięcej obejmująca rzeczy drażliwych. Nie roztrząsając, o ile zwycięzko wyszedł z tych trudności tłumacz, powiedzieć możemy, że spełnił należycie najtrudniejszy warunek tłumaczenia—wierność, co pozwala wnosić, że dokonaniem całości przekładu, obznajmi należycie czytelników polskich z tą wielką epopeją XIX-go wieku, z jéj duchem i treścią, choć może nie ze wszystkimi pięknosciami poetycznymi oryginału. *R. B.*

— P. August Sokołowski napisał bardzo ważną rozprawę p. n. „Przed rokoszem,“ studjum historyczne z czasów Zygmunta III, która wydrukowana pierwotnie w XV tomie „Rozpraw Akad. Umiejętności wydz. filozof.“ wyszła teraz (Kraków, 1882, str. 227) w osobnej odbitce. Przedmiot, którego rozbiorem zajął się p. Sokołowski, nadzwyczaj ważny w rozwoju ustroju wewnętrznego życia politycznego naszej zbyt patryarchalnej republiki, nie mieszczącej się w ciasnym a misternie przykrojonym płaszczu monarchii, jest faktem historycznym, na który politykujący historycy bardzo rozmaicie się zapatrywali i zapatrują. Nie przesądzając z tego ustępu, (będącego zdaje się, przedsiönkiem obszernym do wielkiej budowy), ostatecznych konkluzji historycznych autora, nadmieniamy, że p. Sokołowski w sprawiedliwém poczuciu znaczenia historycznego tego faktu, nie policzkuje namiętną prawicą monarchisty rozzuchwalonych rokoszan, jako zbrodniarzy i anarchistów, ani téż za przykładem H. Schmita nie idealizuje Brutusików z pod Guzowa, jako reformatorów szarpanej przez możnowładców Rzeczypospolitej; ale analizuje z powagą historyka ową „krew zmieszana z ołowiem“ i dochodzi do przekonania, że główną sprężyną rokoszu była kamaryla dworska, otaczająca Zygmunta III. Ona odepchnęła swoim postępowaniem porywczém i gwałtowném Zamojskiego, ona już w spółce z królem zgotowała sejm inkwizycyjny i sponiewierała majestat narodu, ona przygotowała, w chwili najniestowniejszej drugie małżeństwo królewskie, a dopełniwszy przez to miary złęgo, popchnęła naród do powstania. Nie spotykamy u p. Sokołowskiego, wymotywowanej opinii o hipotezie Szujskiego i ks. Kalinki, jakoby Dymitr był narzędziem rokoszanów, pragnących posadzić go na tronie polskim, z którego Zygmunta III-go stracić zamierzyli. W obec przytaczanych na poparcie téj hipotezy dowodów, należy rozebrać szczegółowo tę kwestyę. Dzieło p. Sokołowskiego jest pracą gruntowną i sumienną. Autor nie ograniczył się na materyale drukowanym, ale korzystał wedle zasad metodologicznej krytyki z obfitego materyału rękopiśmiennego, jaki w muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie miał pod ręką. I pod względem stylu nie rażą czytelnika coraz częstsze dzisiaj horrenda. Osnowa dzieła przedstawia treść następującą: po Wstę-

pie, określającym stanowisko autora do danej kwestyi, czytamy następujące rozdziały p. n.: 1) Szlachta. 2) Mieszczaństwo i Kmiecie. 3) Rząd. 4) Myśl reformy. 5) Król i Kanclerz. 6) Zatargi z kanclerzem. 7) Sejm z r. 1603. 8) Zamiary króla: Artykuły bełzkie. Sejm z r. 1605. Śmierć Zamojskiego. W dodatku czytamy (str. 201—212): 1) Instrukcją posłom na sejm r. 1605 przez kancl. J. Zamojskiego pisaną; 2) Artykuły bełzkie, podane na sejmie 1605 r. (str. 213—227).

— Znany u nas archeolog i pisarz na niwie historycznej, p. Cezar Biernacki, wydał świeżo broszurę p. n. „Hołdy pruskie,“ podług źródła dziejowych. Warsz., 1882 r., str. 54. Historyk nie będzie się mógł zgodzić na wiele zdań, wypowiedzianych we wstępie, który mówi „o rodowitości polskiej Prus i zaszyłych w tej krainie zdarzeniach ważniejszych,“ bo i na polu etnografii nie wolno dzisiaj fantazyować; ale resztę rozdziałów (VI), opisujących sześć hołdów, które książęta pruscy składali królom polskim, to w Krakowie (1525, 1550 r.), to w Lublinie (1569 r.), to w Warszawie (1578, 1611 i 1641 r.) z wdzięcznością powita, jako dokładną relacją tych faktów historycznych. W dodatku załącza autor objaśnienie wyrazu i pojęcia lenno (feudum) dla dokładniejszego zrozumienia politycznego znaczenia takiej ceremonii, jak składanie hołdu. Praca, o której mówimy, budzi sama przez się dosyć interesu, tak, że skromność autora niesłusznie porusza ją protekcji obudzonego dla obrazu J. Matejki interesu.

— „Encyklopedyi wychowawczej“ wyszedł z druku tom II, zeszyt 7, a całego wydawnictwa zeszyt 15 i zawiera następujące artykuły: „Chemia“ (dok.), przez A. M.; „Chiny,“ przez J. A. Świąteczkiego; „Chojnacki,“ „Choroby w ogóle,“ przez B. Lutostańskiego; „Chreptowicz,“ przez P. Chmielowskiego (początek). Każdy z tych artykułów jest nader pożądanym wzbogaceniem naszej ubogiej literatury pedagogicznej, która dotychczas nie rachowała się dosyć troskliwie z zasadami tej nauki filozoficznej, opierającej się na psychologii i etyce, ale postępowała drogą zewnętrznej obserwacji, naukowo nie wymotywowanej. Wśród dzisiejszych warunków nie można spodziewać się prędkiego postępu na polu dydaktyki i metodologii szkolnej; ale to można prędko powetować, skoro znajdziemy dobrze uprawiony grunt działu filozoficznego i historycznego tej gałęzi wiedzy ludzkiej.

— Z uniwersytetu. Wydział prawny Uniwersytetu warszawskiego ogłosił następujące temata dla uzyskania medali za rozprawy w przyszłym roku akademickim: 1) Z historii prawodawstw słowiańskich: „Był prawny i polityczny Polski według kroniki Gallusa.“ 2) Z prawa państwowego: „Współczesny rozdział władzy w teorii i w praktyce.“ 3) Z prawa cywilnego: „O prawie rozporządzania majątkiem za pomocą darów i zapisów. Na oddziale nauk wydziału fizyko-matematycznego podano następujący temat: „Sprawdzić istniejące w nauce badania co do historii rozwoju tak zwanego Cyklopa, oraz

przedstawić opis téj historii rozwoju na podstawie własnych doświadczeń.“ Temata na wydziale lekarskim nie zostały jeszcze ogłoszone. Termin składania rozpraw upływa z dniem 1 maja 1883 r.

— W sprawie początkowego nauczania po wsiach ogłasza świeżo „Prawit. Wiestn.“ bardzo ważny okólnik do kuratorów okręgów naukowych, w którym ministeryum oświecenia wspólnie z ministeryum spraw wewnętrznych, między innymi oświadcza: „Pod decyzją ministeryum wychowania złożono wnioski jednego z ziemstw powiatowych co do nadzoru nad domową nauką czytania i pisania wpośród ludności wiejskiej, przez osoby niemające odpowiednich kwalifikacji nauczycielskich. Wniosek ten powstał z powodu następujących okoliczności: 1) Rodzice włościanie, nie będąc w stanie uczyć swych dzieci w szkołach, a nie chcąc pozostawić ich bez żadnej nauki, uczą je czytać i pisać w domu, po większej części przy pomocy mieszkańców téj samej wsi, którzy się uczyli w szkołach wiejskich, lub téż którzy nauczyli się czytać i pisać także sposobem domowym. 2) Nauczanie domowe dzieci, obok istniejących szkół wiejskich, dowodzi wpośród miejscowej ludności szczeréj chęci do nauk, a zarazem niemożności uczenia dzieci w szkołach, wskutek rzadko rozrzuconych osad i znacznej odległości szkół. 3) Wymaganie kwalifikacji nauczycielskich od uczących dzieci włościańskie jedynie czytania i pisania, spowodowałoby zupełne usunięcie elementarnego nauczania domowego, albowiem te osoby nie byłyby w stanie złożyć stosownych egzaminów celem otrzymania patentu nauczycielskiego. Z tych względów i w zastosowaniu się do praw obowiązujących, ministeryum wychowania uważa: 1) Najwyżej zatwierdzona w dniu 25 maja 1874 r. ustawa dla szkół elementarnych ludowych, jak to widać z jéj § 2, nie stosuje się wcale do początkowego nauczania w domach przez osoby różnego stanu. 2) Przy układaniu ustaw obowiązujących, według których prawo nauczania w domach prywatnych zależy od stosownej kwalifikacji, nie brano na uwagę domowego nauczania elementarnego, a wskutek tego rzezcone ustawy nie mogą być stosowane do tego rodzaju nauki. Tym sposobem, chociaż na zasadzie prawa z dnia 25 maja 1874 r., osoby zajmujące się nauką domową i prywatną podlegają władzy dyrektorów i inspektorów szkół ludowych, lecz nadzór dyrektorów i inspektorów nad osobami, uczącemi czytać i pisać dzieci wiejskie, nie ściąga się do ich naukowej kwalifikacji, może mieć tylko znaczenie co do politycznej i moralnej o nich opinii. 3) W tym celu nadzór nad temi osobami rozciągać winny władze policyjne i duchowne. Wskutek tego i dla uniknienia na przyszłość podobnych nieporozumień w przedmiocie domowego nauczania wśród ludności wiejskiej, ministeryum wychowania po porozumieniu się z ministeryum spraw wewnętrznych i naczelnym prokuratorem synodu, uznało za niezbędne: 1) Wyjaśnić, że od osób, zajmujących się we wsiach krzewieniem wiadomości elementarnych, nie jest wymagana kwalifikacja nauczycielska. 2) Powierzyć miejscowym władzom poli-

cyjnym, tak wiejskim, jak ogólnym, a także duchownym władzom parafialnym, nadzór nad tém, aby nauką elementarną nie zajmowali się ludzie używający złej opinii pod względem politycznym i moralnym, w razie zaś pojawienia się takich osób, wskazać je naczelnikowi powiatu, który winien zabronić im dalszego nauczania, a w danym razie przedsięwziąć środki celem zupełnego wydalenia ich z danej miejscowości.“

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone naukom, literaturze, sztukom i przemysłowi, wychodzi w roku 1882 na początku każdego miesiąca zeszytami, obejmującymi najmniej 10 arkuszy druku.

Usilne staranie Bibl. Warsz. o utrzymanie peryodyczności naukowej w literaturze polskiej; gruntowny rozbiór spraw nie tylko swojskich, ale i obcych, społeczeństwo nasze żywo obchodzących; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk dokonany, z uwzględnieniem zadania naszej cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknej, zajmującej nie tylko fantazją, ale całą umysłowość naszą—to są ideały, które Biblioteka Warszawska od lat czterdziestu urzeczywistnić pragnie. Program z tych myśli wysnuty i szczegółowo w zeszycie grudniowym z roku 1880 przedstawiony, będzie i nadal celem, który Redakcja Biblioteki Warszawskiej osiągnąć zamierza, a to w następujących działach:

I. Z dziedziny **filozofii**: rozbiór nie tylko systemów filozoficznych, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.

II. W zakresie **historii** i **geografii**: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju.

III. Z nauki **statystyki**, ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.

IV. **Nauki przyrodzone** w ich rozwoju i praktycznym zastosowaniu.

V. **Pedagogia** i **filologia** wraz z **lingwistyką**, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.

VI. **Literatura** i **sztuki piękne**: poezya i proza (powieść, dramaty, poematy).

VII. Korespondencye o różnych szczegółach naukowych.

VIII. Sprawozdania i **krytyki** z piśmiennictwa polskiego i obcego.

IX. Kronikę z kraju i z zagranicy.

X. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie, artystyczne i społeczne.

Juliette Lamber: „Poètes grecs contemporains.“ Paryż, 1881.	145
„Pan ślepy Paweł,“ napisał T. Hodi; Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1881, w 8-cc mn., str. 292. Przez R. B. . . .	146
„Ostatni list,“ skreślił Aleksander Chomiński. W 8-cc, str. 92. Warszawa, 1882. Przez R. B.	149
IX. Korespondencya do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. (Co do ostatnich pism o Staszicu). Przez Justyna Wojewódzkiego. . . .	150
X. Wiadomości bieżące, naukowe, artystyczne i społeczne.— Kasa pomocy naukowej imienia Mianowskiego (str. 153—155).— „Biblioteka matematyczno-fizyczna.“—Konkurs „Koła artystyczno- literackiego“ p. n.: „Życiorys Adama Mickiewicza“ (155).—Kronika rodziny Lasockich (156).—„Archiwum spraw zagranicznych francuz- kie do dziejów Jana III, 1677—1679“ (157—159).—Podróż Prze- walskiego do Azji.—Ludność państwa Rosyjskiego (159).—Ludność Austrii podług narodowości (160—163).—„Don Żuan“ Byrona, przez W. hr. Baworowskiego (163).—Aug. Sokołowski: „Przed rokoszem,“ studjum historyczne z epoki Zygmunta III (164).—Cezary Biernacki: „Hołdy pruskie.“—„Encyklopedia wychowawcza,“ zeszyt 15.—Kon- kurs Uniwersytetu warszawskiego (165).—Okólnik w sprawie naucza- nia początkowego po wsiach (166).	153—166
XI. Od Redakcyi.	
XII. Ogłoszenia księgarskie.	

O G Ł O S Z E N I A.

RODZINA KAKTUSÓW,

opisana i w systematycznym porządku przedstawiona, z dodaniem wiadomości o hodowli i pielęgnowaniu tych roślin, przez *Józefa Bergera*. Z 24 drzeworytami. Warszawa, 1882. Nakład autora; 8-ka, str. VIII, 233 i III. Cena rs. 1 kop. 50. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA,

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wносить przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

 **WARUNKI PRENUMERATY.** 

Prenumerata na rok 1882 wynosi w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego:

	Rocznie . . .	rs. 12 kop. —
	Półrocznie . . .	„ 6 „ —
W Warszawie zaś:		
	Rocznie . . .	„ 10 „ —
	Półrocznie . . .	„ 5 „ —
	Kwartalnie . . .	„ 2 „ 50

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Świat, Nr. 68.**

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Nadmieniamy, że dla informacji czytelników, wyjednaliśmy sobie pozwolenie dołączania do pojedynczych zeszytów (jak to czynią i pisma zagraniczne) wszelkich ogłoszeń, które prócz handlu księgarskiego i antykwarskiego, mogą się także odnosić i do innych interesów. Opłata za te ogłoszenia wynosi:

Za ogłoszenie, zappełniające 1 całą stronę formatu Bibl. Warsz.	rs	5
„ „ 1/2 strony	„	3
„ „ 1/4 „	„	2



**Redakcyja Biblioteki Warszawskiej:
Nowy-Świat, Nr. 68.**